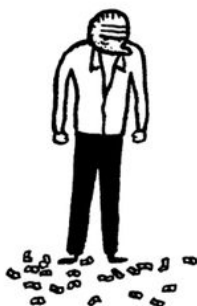


#manto



ŁUKASZ ORBITOWSKI

#manto

Powstaniu *#manta* towarzyszyło wiele perypetii. Ta sympatyczna (mam nadzieję) nowelka odbyła długą drogę, nim trafiła do Was, czyli do czytelników.

Pierwsza wersja tekstu powstawała w kooperacji z pewnym dużym koncernem technologicznym. Planowaliśmy stworzenie specjalnej aplikacji opartej o tzw. rzeczywistość rozszerzoną. Tekst przygotowany przeze mnie miał być tylko częścią tej multimedialnej przygody. Nic z tego nie wyszło, ale ślady tego zamysłu wybrzmiewają w tekście. Mam na myśli pewne detale w świecie przedstawionym, a nade wszystko gadżet, czyli telefon w którego posiadanie wchodzi Irek, główny bohater tej historii.

Mam nadzieję, że polubicie go i jego przygody. Cieszę się, że wreszcie jest taka możliwość. Jeszcze większą radość sprawiły mi wspaniałe ilustracje Jacka Świdzińskiego. Praca z tym facetem to zaszczyt, ale i kawał radochy. To samo mogę powiedzieć o dwojgu dobrych duszków tego przedsięwzięcia: Barbarze Klickiej i Jarosławie Lipszycu. Dziękuję Wam i do zobaczenia.

Na przykład w knajpie, gdzie pracuje Irek.

Lukasz Orbitowski

PROLOG

Nazywam się Irek Król, mam pięćdziesiąt lat i pracuję jako kelner. Niedługo przestanę pracować, bo będę martwy. Szybko poszło, ale przynajmniej dobrze się bawiłem. Teraz jednak bawi się ktoś inny.

Sukinsyn wali mnie z łokcia w nos, chwyta za uszy i uderza moim łbem o obraz zawieszony na oślepiająco białej ścianie. Widzę skalistą wyspę pełną grobów i łódeczkę z trumną dobijającą brzegu, a potem słyszę wybuch, jakby orkiestra strażyacka weszła na minę.

Oddałbym mu, tylko spalił mnie paralizatorem. Robię niezdarny zamach i znów obrzucam, tym razem w splot słoneczny. Tracę oddech. Na moment wpadam w ciemność. Wylatuję z niej tylko po to, by nadziać się na piączę.

A jeszcze niedawno miałem dobre życie.

Kelner jest trochę jak lekarz, kominiarz albo chłopak na taryfie. Jego chwała należy do przeszłości. Ćwierć wieku temu ludzie zabiegali o naszą łaskę. Teraz my się łasimy. Dukaty zmieniły się w miedziaki, a złoto w liście. O tym właśnie myślę, gdy ten bydlak pakuje mi głowę do telewizora. O upadku mojego zawodu.

Na upartego nic mi nie brakowało. Miałem pracę w restauracji, dobrej jak na nasze skundlone czasy, a w domu codziennie dostawałem jedzenie pod ryj. Zawsze wysuplałem na piwko i skołowałem szlugi. Zasypiałem w czystej pościeli, a w wolny dzionek mogłem posiedzieć z książką i pić po bramach. Ludzie zabiliby za takie życie. Mi nie wystarczało. Chciałem więcej.

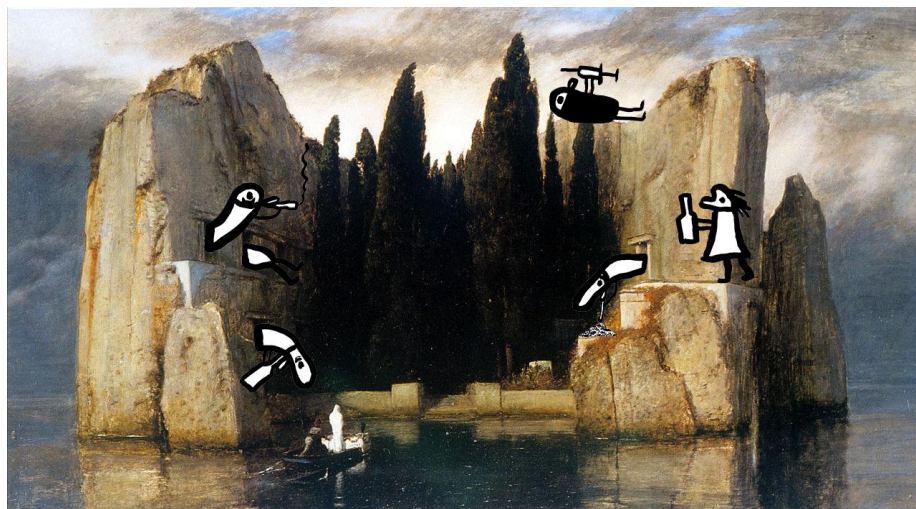
Pragnąłem życia zgodnego z moim nazwiskiem. Chciałem żyć jak Król.

A teraz pełnę po podłodze. Odłamki z rozbitego ekranu rozkrwawiły mi dłonie i przedramiona. Próbuję dotrzeć do drzwi, co oczywiście nie może się udać. Pełnę, żeby pełznąć, a to bydlę chwyta mnie jak kota i ciska o ścianę. Kot zawsze spada na cztery łapy. O mnie trudno to powiedzieć, zwłaszcza że szykuje się poprawka. Szybuję niby gołąbek

pokoju, by runąć na stół. Stół wali się pod moim ciężarem. Trzaskają nogi. Nie wiem nawet — drewniane czy moje.

Jakim cudem wpakowałem się w tę kabałę? Od czego zaczęło się to wszystko? Pytania krążą w mojej głowie jak śnięte ryby pod lodem, tymczasem prześladowca zdejmuję obraz ze ściany i unosi go wysoko. Rama jest ciężka. Bardzo ciężka. Chryste Panie na furmanie, jak mnie tym grzmotnie, powiększę grono aniołków bez dwóch zdań.

Obraz namalował Boecklin. Nosi tytuł *Wyspa umarłych*, co dodaje perspektywie śmierci szczyptę okrutnego humoru.



Życie powinno przelecieć mi przed oczami, lecz ono się przewala, powoli i bezładnie, jak kubły opróżniane do śmieciarki. Przynajmniej wiem, w którym momencie wszystko się pokiełbało.

Zaczął się od telefonu Kutavaggia.

JEDEN DZIEŃ W BALATONIE

I.

Do pracy przychodzę wcześniej. Patrzę, jak ludzie się spieszą.

Zacina deszcz. Wyjmuję paczkę chesterfieldów i chesterfielda z tej paczki, w pobliskiej kałuży parkuje toyota na długich światłach. Wycieraczki chodzą jak puls przed zawalem.

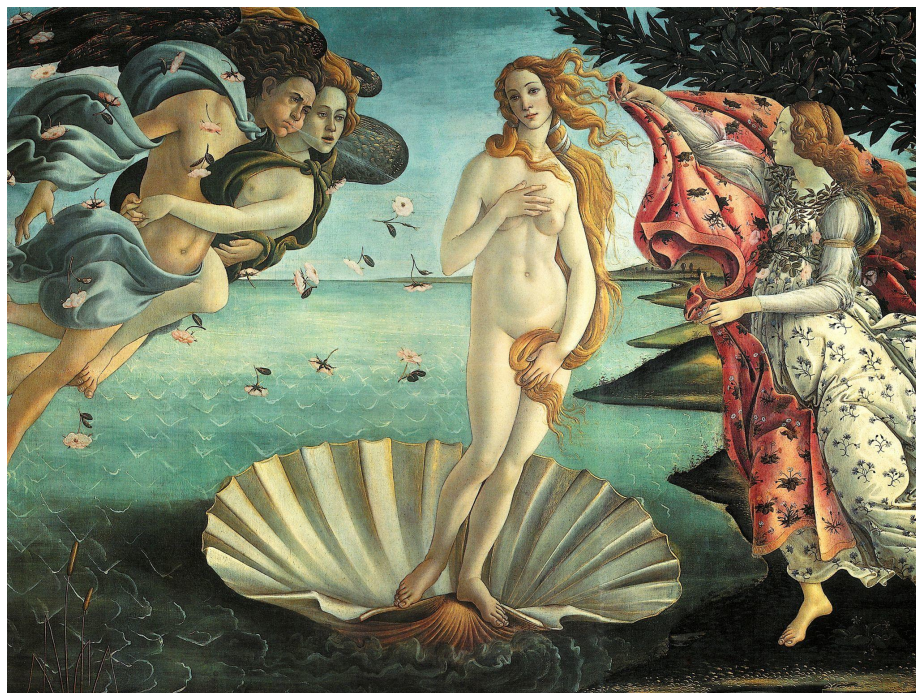
Z tylnego siedzenia tarabani się frajer z kawą w plastikowym kubku i skórzaną teczką, którą natychmiast zakrywa sobie głowę. Trzaska drzwiami, leci do wejścia. Szuka karty magnetycznej, usiłując nie wypuścić tej kawy, wciąż z teczką nad zaaferowanym łbem. Zapalam. Kubek podskakuje po stopniach, gość ma brązową płamę na całe prawe udo, za to drzwi wreszcie ustępują — jakaś dzika siła natychmiast zasysa faceta do środka.

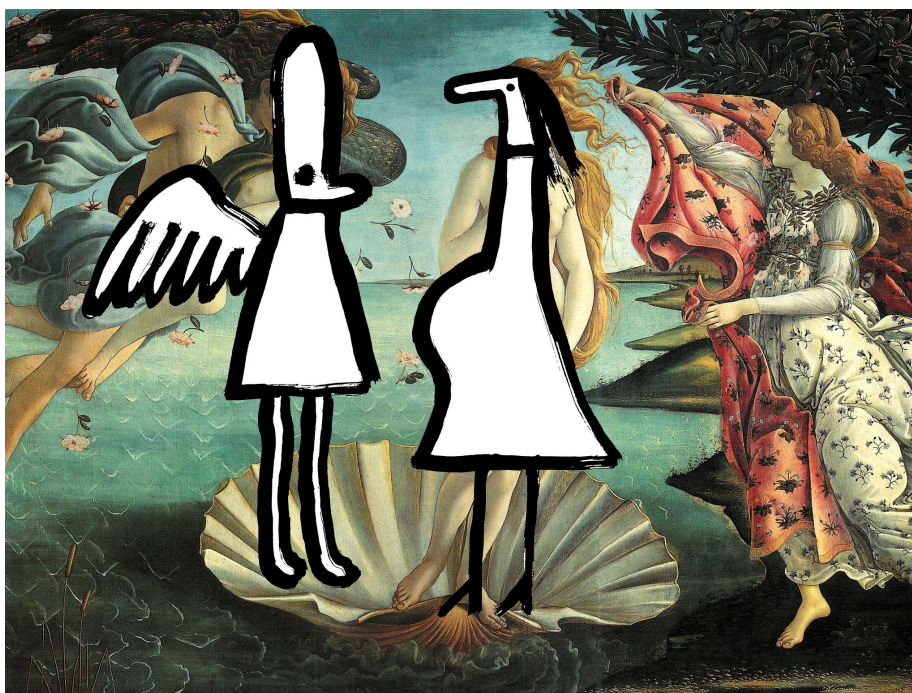
Francuską gna dziecko-niby-Rumcajs, z brodą, w kozuchu i, idę o zakład, że jaja ma jak orzeszki, zresztą większe nie zmieściłyby się w tych czerwonych spodniach. Zaciągam się spokojnie, zaś Rumcajs sadzi istnym slalomem między przechodniami, nie odrywając wzroku od ekranu telefonu komórkowego, i wpada na pancerną lochę ze słuchawkami w uszach. Pancerna locha odsuwa się gwałtownie, stając plecami do obitej drewnem, nieczynnej jeszcze budy z kebabem, i wyrzuca w górę obie dłonie, co daje kolejną rozlaną kawę na jednym tylko papierosie.

Zabierzcie tym ludziom kawę w plastikowych kubkach, a natychmiast się wyłączą. Wyłączcie telefony, to będą jak kret na słońcu, z bezradnym, miękkim nosem badającym nieznany świat. Wyrwijcie słuchawki, to zatańczą do każdej muzyki, jaką im zagrać. Ale nie ja.

Ja zawsze przychodzę do pracy wcześniej.

Na zapleczu Baryton biedzi się nad frykasami, które właśnie odebrał. Jest jak świnia w bieli, jak tłusty małpizson bez włosów. Jego podbródki można liczyć na tuziny, brzuch sięga mu kostek i idę o zakład, że własnego fajfusa ostatni raz widział w okolicach Pierwszej Komunii. Żeby było śmieszniej, wbił się w koszulkę z reprodukcją *Narodzin Wenus* Botticellego. Bogini jest rozciągnięta bardziej niż sześciokrotna rozwódka, a muszla, z której się wylania, sięga przepoconych pach naszego mistrza kuchni, biedzącego się akurat nad posiłkiem.





Chleb, bułki, brokuły, cytryny, cały ten szajs frapuje Barytona. Na mój widok unosi ciężki łeb i wypowiada swe nieodmienne „no siema” głosem dziewczynki, obok której wylądował odbezpieczony granat. Dwa lata temu otarł się o medal na Festiwalu Smaku w Grucznie i zaszedł daleko w Dorszowych Żniwach. Wiem, bo bez przerwy o tym opowiada. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość: Baryton jest naprawdę dobry i w najlepszych czasach Kameralnej daliby mu nawet blachę do posmarowania. Nasz Baryton zaszedłby dużo dalej, gdyby nie sekret, który skrywa.

Poleruję sztucce, zerkając dyskretnie na Barytona, niby zaaferowanego pakowaniem szpinaku i grzybów do lodówki. Jego paluszek krąży wokół brody oraz ust. Doskonale wiem, co zaraz nastąpi, i chętnie przewidzę co do sekundy: trzy, dwa, jeden, jest! Baryton znika za srebrnymi drzwiami lodówki, udając, że wyciąga z jej trzewi słoik z żurawiną. Naprawdę pakuje paluch w nos po kłykieć i obraca nim powoli; w tym ruchu znajduje ukojenie wobec potworności tego świata. Gdyby jego lśniący łeb był staruszką Ziemią, spaliłby sobie paznokcie o jej gorące jądro. Po prostu nie może się powstrzymać. Nieustannie znika w łazience. Obrabia kinol pod stołem, za krzesłem i w rogu kuchni, swoją drogą tak błyszczącej, jakbyśmy trzymali tutaj Magdę Gessler na krótkim łańcuchu. Palec Barytona również jest czysty, ale *cycki Wenus lśnią niby szmaragdy*. Wszyscy wiedzą, co ten chłop wyrabia, tylko nikt z tym nic nie robi, bo i po co. Baryton wyleciał przez ten zwyczaj z pięciu restauracji, ale przynajmniej odróżnia sos winegret od sznycla po wiedeńsku. Lepszego fachowca za te pieniądze nie znajdziecie.

2.

Wszystko, co złe, zaczyna się od płatności kartą. Zgoda, Balaton to nie stara dobra Kameralna, ale przed remontem jeszcze dało się żyć. Mieliśmy dębowe stoły z prawdziwego zdarzenia, odgradzone od siebie tak, by rozmowy nie zlewały się w breję słów, a klienci nie brudzili obrusów otłuszczonymi widelcami. Bar był długi, masywny, z mozaiką robioną na zamówienie i rzędami butelek zwielokrotnionych w lustrze. Grała Edyta Geppert. Stan Borys u nas jadał. A potem założyli terminale, napiwki natychmiast spadły o połowę i Balaton obrał zgubny kurs na nowoczesność. Skończyło się na stolikach jak ze szkoły życia, na których stoją misy pełne jabłek i pomarańczy. Wyburzono ściany działowe, a na ocalałych wspornikach pojawiły się lampy, te, co świecą szpitalnym blaskiem, żrą prądu tyle co lunapark i przypominają jaśniejące hamulce do karuzeli.

Przed południem zjawiają się głównie śniadaniowcy w bluzach z trzema paskami, w chustach oplatających chude szyje. Teraz przywlokło się czterech. Są jak flagi afrykańskich królestw, jak psy rasowe szykujące się do skoku przez obręcz. Gadają o jakichś karłach, o smokach, Hannibalach i żywych trupach zjadających Amerykę, choć mają po trzy dychy i powinni siedzieć nad Muminkami z własnym potomstwem. W innych, lepszych czasach żarliby kanapki z mortadellą, teraz jednak zamawiają awokado z krabami i camembert w panierce, do tego obowiązkowy kieliszek prosecco. Zapewne sądzą, że biały sikacz o poranku czyni perspektywę choroby alkoholowej mglistą, tak fajnie odległą, i zapewne jest w tym trochę racji — brak im charakteru nawet by się uzależnić. Poza tym prędzej pordzewiałyby im kolczyki, wyblakły tatuaże, niż daliby choćby złotówkę ekstra; wystarczy zresztą posłuchać, jak rzucą się sobie do gardeł, gdy przyniosę rachunek i zaczną go dzielić.

Dziś mamy jeszcze pana Stanisława z panią Bożenką. Zamawiają po herbacie oraz ciastku. Pan Stanisław posyła mi porozumiewawcze spojrzenie i szczerzy się osłepiającą białą sztuczną szczęką, zupełnie zresztą niepotrzebnie. Jak co dzień wleję mu pięćdziesiątkę w tę herbatkę, a on ją wypije, jak gdyby nigdy nic, spoglądając w przedwojenne oblicze swojej ślubnej. Raz w tygodniu wepchnie mi stuzłotówkę w kieszeń, choć naprawdę nie musiałby tego robić. Nieistotna dobroć, jaką wyświadczamy innym, jest siłą, na której świat stoi, i przypuszczam, że pan Stanisław po prostu musi wyskoczyć z tej stowy; nie zasnąłby w przeświadczeniu, że może być mi cokolwiek winien. Tymczasem wybija pierwsza piętnaście i zaraz pojawi się Kutavaggio.

3.

Kutavaggio naprawdę nazywa się Zbyszek Płaczek, a swe przezwisko zawdzięcza po równi sukcesowi, jaki odniósł na polu sztuki, i przymiotom własnego charakteru. Zachowuje się tak, jakby sama królowa brytyjska dawała mu ognia. Otwiera drzwi mocnym pchnięciem, kroczy przez restaurację, a gdy zajmuje swój stolik przy oknie, wykonuje gest, jakby próbował podwinąć rękawy tweedowej marynarki. Ma błękitną koszulę i ciemny krawat ze złotą spinką, a nad sztywnym, wykrochmalonym kołnierzem kołysz się łeb, czerwony, jakby go właśnie wydobyto z wrzątku. Z tej krwistej masy spoglądają ku mnie oczka sytego kacyka.

Kutavaggio proponuje mi papierosa. Wychodzimy. Odfoliowuje paczkę chesterfieldów setek i podsuwa mi ją pod nos. Odwdzięczam mu się ogniem. Ten obywatel świata, miękkie podbrzusze polskiego sumienia, mistrz pędzla, sułtan galerii i król starych przyzwyczajęń nie radzi sobie z płochym płomykiem. Przykłada szluga tak i siak. Wreszcie przejmuje zapalniczkę. Palimy. Kutavaggio pyta mnie o pracę, o rząd Szydło, o opozycję względem rządu Szydło i pozycję związków zawodowych w gastronomii, słowem, łaknie wiedzy o życiu z ust człowieka prostego. W ten sposób zaspokaja potrzebę prawdy. Prawda jest jak nowy telefon. To zabawka w abonamencie. Mówię, że Polskę dawno sprzedano, a o nas, zwykłych ludzi, nikt się nie troszczy, bredzę o tłustych kapitalistach i odklejonych politykach, rzucam mięsem i próbuję nie parsknąć śmiechem. Kutavaggio dusi papierosa i daje mi całą paczkę, co również stanowi część naszej codzienności. Otwieram drzwi, pokazując mu drogę do kuchni, którą zna aż za dobrze.

Pod okiem Kutavaggia Baryton niezwłocznie przystępuje do dzieła. Wyjmuje kaczkę z lodówki i podsuwa pod nos naszego mistrza pędzla, który mruży oczy, wacha i leniwym mruknięciem wyraża zgodę. Kaczka ląduje w piekarniku, Baryton krąży nerwowo, wreszcie uchodzi pod pretekstem wizyty w spiżarni — wracając, przejeżdża jeszcze palcem pod rękawem koszuli i pełen nowych sił zabiera się za mieszanie przesianej mąki z jajkiem na kluseczki. Dodaje śmietanę. Soli i pieprzy, szukając co chwila potwierdzenia w kamiennym obliczu Kutavaggia. Ten ożywia się dopiero, gdy kawałki masy lądują we wrzątku. Oczy mu jaśnieją od każdego plusku.

Kutavaggio ma się za Klaudiusza sztuk pięknych i sądzi, że każdy próbuje go otruć, choć u nas grozi mu tylko kontakt z odrobiną materiału genetycznego Barytona. Kaczka już dymi na półmisku. Baryton odkrawa kawałek i pakuje sobie do ust. Przychodzi kolej na mnie, a Kutavaggio musi okazać odrobinę władzy. Wbija widelec w kaczkę i wywija nożem, wycinając porcję dla mnie. Przekładam na talerzyk, jem i wyobrażam sobie następującą sytuację. Kaczka spalszowana. Wstaję od blatu i mówię, że wszystko w porządku,

nagle zaczynam się krztusić, wybałuszam ślepią, wyciągam łapy przed siebie i padam pod nogami oszalałego ze strachu Kutavaggia. Zaczynam się śmiać. Wije się i macham kulasami, a Kutavaggio osuwa się przy ścianie, zmiażdżony perspektywą niedoszłej śmierci, jak i faktem, że darliśmy z niego łacha. Nic takiego się nie dzieje. Wszystko ląduje na jednym talerzu, który wynoszę z kuchni, a Kutavaggio drałuje przede mną, chcąc zająć swoje miejsce. Tym razem jednak przy stoliku ktoś czeka.

Policzki kobiety są pokryte różem i gładkie jak żarówka, ale cała twarz stanowi płataninę zmarszczek gęstniejących wokół wściekle czerwonych ust. Głęboki dekollet oplata tasiemka, a na palcach lśnią pierścionki. Kutavaggio zatrzymuje się gwałtownie na jej widok, tak że niemal wtaramiam się w jego plecy razem z kaczką i dymiącymi klusieczkami. Odzyskuje rezon. Siada, przedramiona kładąc na stole równoległe do siebie, jak uczeń. Matrona życzy sobie kieliszeczek koniaczku. Już wiem, z kim mam do czynienia. Stara żyje w domeczku, ma synusia i córusię, czyta książeczki, ogląda telewizorek i chodzi na spacereczki. Lubi obiadki, desereczki. Niedługo koniec tego dobrego. Choróbka, szpitalik, trumienka.

Po dziesięciu minutach, gdy wynurzam się z kuchni, przy stoliku nie ma już Kutavaggia, tylko starowinka. Pytam, czy mogę w czymś pomóc. Osusza oczy chusteczką, mówi, że da sobie radę, i natychmiast zmienia zdanie. Prosi, bym pomógł wyjść jej na zewnątrz. O niczym innym nie marzę. Kocham staruszki, zapach staruszek i słaby uścisk dłoni na przedramieniu. Od tego jestem, szanowna pani. Podaję płaszcz. Drobimy kroki. Opowiada o problemach rodzinnych, o tym, jak trudno razem wytrwać, lecz przecież trzeba. Rodzina jest wszystkim. Najtrudniej kochać niezwykłych ludzi. Miłość ciężko dostraja się do wielkości. Jej zdaniem dobry człowiek ze mnie i na pewno jestem bardzo kochany. Żegna się przy kremowym renault megane z włączonymi światłami mijania.

Od strony kierowcy wytacza się dwunożna osobliwość, cudownie odnalezione brakujące ogniwo ewolucji. Bardzo chciałbym poznać krawca, który dopasował mu garnitur. Chłop jest mojego wzrostu, ma szerokie, pogarbione plecy i ramiona zwisające swobodnie wzdłuż ciała, jakby kości trzymały się na sznurkach. Pomaga wsiąść staruszce i posyła mi spojrzenie, w którym kryją się złość i tępe zaciekawienie.

DELIKATNA NERWOWOŚĆ KUTAVAGGIA

I.

Syk otwieranej puszki zmazuje wszelkie troski. Tak właśnie jest. Gdy sięgasz po pierwsze tego dnia piwo, wiesz, że do wieczora wydarzą się tylko wspaniałości. Żadnej pracy. Nie zadzwoni durny kuzyn z problemami w swym niedorzecznym życiu, a jeśli nawet zadzwoni, dam słuchawkę mamie i niech ona się męczy. Usadawiam się w fotelu, prostuję kulasy, opierając stopy o taboret, na który dałem jeszcze poduszkę. Popijam złotego denara, palę chesterfieldy, wydychając dym w stronę uchylonego okna, i czytam „Klucz do Rebeki” Kena Folletta. Jestem królem Pragi Północ, sułtanem ulicy Nieporęckiej, nikt nie ma lepiej, nikt mi nie podskoczy, a jak podskoczy, to będzie żałował.

Palę, piję, czytam powoli, bo bardzo podoba mi się ta książka, a do pokoju wtacza się moja mamus, przynosząc jabłko, obrane, pokrojone, na talerzyku. Pyta, czy jadłem śniadanie. Chce wiedzieć, które to piwo, i kręcąc głową, mówi, że z takim podejściem do życia nigdy nie znajdzie sobie narzeczonej. Co z tego, mamusi? Miałem swoje za czasów Kameralnej i starczy. Na cholerę mi baba? Z nimi tylko kłopoty, a jak nie wierzy, niech zerknie za okno na tych gości, co wyprowadzają yorki na zaszczany skwerek przy Brzeskiej. Kundle sobie pokupowali tylko po to, by wyrwać się od swych wspaniałych kobiet choćby na kwadrans. Łażą po tym durnym zieleńcu i osuszają małpki z najtańszą wiśniówką, a potem zbierają gówno do plastikowych worków, bo konfident zerka. Mamus, naprawdę chcesz dla mnie takiego życia?

Matula uważa, że ze mną jak z dzieckiem. Pięć dych na karku, a taki dureń. Zachodzi w głowę, co ze mną będzie, kiedy jej zabraknie. Usadawia się w swoim fotelu pod kopią Malczewskiego. Obraz ten stanowi centrum rodzinnej mitologii, a więc i stały powód do kłótni. Dziś złości mnie coś innego — mamusia włącza telewizję. Ogląda te wszystkie seriale o ludziach, co pracują w ładnych miejscach i nigdy nie mają zniszczonych dło-

ni. No nie, mamus, ja tu czytam! Mogę pójść do siebie, mówi mi mama. No ale tam śpię, nie chcę, by było nadymione. Mamus najwyższym wysiłkiem woli odrywa wzrok od roześmianej Kozuchowskiej i wygłasza surowy osąd odnośnie do mojej osoby: troszczę się tylko o siebie, a ja truję dymem i zmuszam do siedzenia w smrodzie. Odpowiadam, że przecież wcale nie musi tutaj siedzieć. Ale telewizor stoi właśnie tutaj! Czy naprawdę chciałbym pozbawić starą matkę jedynej radości? Myślę chwilę i mówię, że to ja jestem radością numer jeden, podporą jesieni jej życia. Akurat, odpowiada mama i aż dławi się śmiechem. Matka Boża patrzy na mamę z obrazu, mama na Tomasza Karolaka, a ja wsuwam jabłuszko, popijając złotym denarem. Zimny denarek to jest coś. Tacy właśnie jesteśmy, uwikłani w siebie na dobre i na złe, żyjąc podług prawa Agaty.

2.

Wstaję piętnaście po szóstej, a mamusia jest na nogach od dobrych dwóch godzin. Kopiąc szluga na rozruch, widzę, jak krąży po podwórku w kurtce narzuconej na podomkę i targa dymiący gar z mieloną. Gmera w nim drewnianą łyżką i ciska tę mielonkę do cynowych misek. Niesie się brzęk, a z piwnicznych okien, ze śmietników, zza kapliczki i z gałęzi drzew zlatują się koty. Mamusia syci wzrok ich łakomstwem i znika. Słyszę jej kroki na schodach. Wyrzucam niedopałek, otwieram szerzej okno, ale i tak muszę wysłuchać, jak bardzo szkodzi papieroch na głodniaka. Ludzie od tego poumierali, ten i tamten. Mieli swoje życia i swoje imiona, które teraz można poczytać na attykach. Dobrze, mamus, tylko nie ma śniadania. Och, ty i te twoje śniadania, francuski pie-sku z Francuskiej, mówi moja mama i znów znika za drzwiami, targając tym razem słój z ziarnem. Gęstnieje trzepot skrzydeł.

Serce mojej stareńkiej matuli ciąży ku wszystkiemu, co lata bądź biega na czterech kończynach, i w innych czasach zapewne zginęłaby, próbując uwolnić niedźwiedzia z wyników. Mamy jednak nowoczesność. Klatka schodowa capi kocim moczem. Podwórko osrane gorzej niż ławki w Skaryszaku, a gołębia rozszarpanego przez kota wypada uznać za niezaplanowany owoc dobroczynności mej najdroższej rodzicielki. Zachodzi do nas, lekko licząc, kilkanaście kotów i ze trzy bezańskie psy o odrapanych nosach, półślepe i nienawistne. Niedawno pojawiły się kuny. Widziano raz lisa. Telewizor powiedział, że do Polski zawitały wilki, i wcale bym się nie zdziwił, gdyby jakiś jeden zawędrował na Nieporęcką, skuszony perspektywą darmowej wyżerki. Aktywność mojej mamusi wraca jak cofka podczas każdego spotkania wspólnoty mieszkaniowej. Ślą jakieś pisma. Połowa sąsiadów przestała mi się kłaniać. Chamem się urodzisz, to i chamem zdechniesz.

Nakarmiwszy czworonożnych przyjaciół, mamusia zwraca się ku gorszej części istot żywych, ku ludziom, a konkretnie — ku mnie. Na stole lądują kanapki z białym serem kupowanym na Różyckiego, rzodkiewka wymieszana z ogórkiem i herbata w szklance z koszykiem. Kawę bym wałnął na ten parszywy dzień, lecz matus nie chce o tym słyszeć. Przeklina moje papierosy i zaczyna standardowy monolog o świecie. Martwi się, że młodzi coraz mniej się modlą. Nic dziwnego, nie dalej jak wczoraj Urban mignął jej w telewizji. Chciałaby też, żeby ludzie dobrze zarabiali. Żeby ja dobrze zarabiał, tak jak w czasach Kameralnej. Czemu niczego nie odłożyłem? Mógłbym otworzyć własną restaurację. Albo jakiś interes. Miałbym garnitur i znajomości na całym świecie. Odpowiadam, że ostatni raz garnitur miałem na sprawie o pobicie, i wołałbym, aby już nie był mi potrzebny. Międzynarodowych przyjaźni potrzebuję jak dziury w głowie. Znam Polaków, i to aż zbyt wielu. Tak mówię, a mamus patrzy mi na usta i kiwa głową, bo przecież wie lepiej.

Narzucam kurtkę. Mamusia przypomina o czapce, którą i tak mam w rękawie. Wyraża nadzieję, że dojadę bezpiecznie i z nikim nie będę się szarpał. Całuję ją w oba policzki, unoszę do ust te spracowane dłonie, a matus niespodziewanie szczypie mnie w udo. W ten sposób sprawdza, czy noszę kałesony. Drży, by nie pokąsały mnie zimne kły listopada.

3.

W kuchni Balatonu grzmi dobra nowina — Baryton rozpoznał prawdę o sobie, czytając o jakichś poliamorystach w „Gazecie Wyborczej”, której numer zamawiamy codziennie dla gości. Teraz biała płachta rozpościera się przed nim, rozwarła niby drzwi do lepszego świata, i tylko przez czerwoną logówkę biegnie zielonkawy ślad, jakby przeszedł ślimak. Baryton sieka cukinie, opowiadając mi o wspaniałościach współczesności.

Można kochać więcej niż jedną kobietę jednocześnie. Niektóre zgadzają się nawet na harem, pod warunkiem że będą się cieszyć podobną wolnością. Mówię, że zawsze wszyscy pieprzyli się ze wszystkimi i nikt z tego nie robił wielkich historii, tymczasem Baryton szykuje się do wielkiego monologu o szczerości. Opowiada, że tu chodzi o otwartość, brak kłamstwa i realizowanie swojej seksualności w sposób nieskrępowany. Uwolnienie seksualności Barytona jest czymś, czego wołałbym uniknąć. Pytam więc, jak mu idzie w tej całej poliamorii. Odpowiada, że po pracy zapisze się na odpowiednie strony w Internecie. Nie mam pojęcia, na czym polega Internet, za to wiem, że u Barytona nawet z monoamorią słabo. Mówię mu to. Drapie się w głowę, duka, że każda wielka podróż zaczyna się od małego kroku, i sięga po nową cukinię.

Dziś z klientelą krucho, jeśli nie liczyć pani Bożenki i pana Stanisława chlepczącego herbatkę z prądem. Zjawił się też fircyk z żurnala, rudy na pysku, bardzo wczorajszy, jeden z tych, którzy lubią przewiercać słabszych bezlitosnym spojrzeniem. W tej prążkowanej marynarce, takiej też koszuli i stalowym krawacie musi wyglądać ozdobnie podczas mszy świętej w swym wiejskim kościółku. Zamówił drugą karafkę domowego wina i nie może się nachwalić, jakie to jest dobre. Po dwunastej w południe język zaczyna mu się plątać. Przy rachunku wypływa z siebie grad komplementów i wyraża chęć nabycia paru butelek. Macha banknotami, lecz płaci zbliżeniowo. To zapewne jedyny rodzaj zbliżenia, jaki zna. Przepraszam go szorstko. Tłumaczę, że mamy tylko jedną beczkę, która już się kończy. Facet osusza kieliszek i szuka torby z laptopem. Podaję. Prowadzę do wyjścia. Przecież nie powiem mu, że wypił zlewki z ostatnich trzech dni.

Podobno raz na sto lat nawet kura pierdnie, Wielkanoc wypada w Boże Narodzenie, mamy śnieg w lipcu i narodziny świni z trzema ryjami. Stojąc pod markizą, doświadczam czegoś podobnego. Francuską wali ku nam Kutavaggio z koszulą rozpiętą tak, że mżawka zwilża moher na gąblocie. Przychodzi tutaj, odkąd pamiętam, zapięty pod szyję punkt pierwsza piętnaście, do której jak nic brakuje jakichś dwudziestu minut. Tuż przed Balatonem Kutavaggio próbuje odzyskać rezon, lecz równie dobrze mógłby żonglować kowadłem i nawet patrzy na mnie, jakby nie poznawał. Pytam, co tak wcześniej i czy wszystko w porządku. Macha ręką i jedyne, co mogę zrobić, to otworzyć drzwi i wpuścić go do środka, gdzie niemal gubi drogę do swojego stolika.

Informuję Barytona, że najdroższego Kutavaggia coś dzisiaj użarło i mogą być z tego kefiry, przyrządzam podwójne espresso i lecę zobaczyć, coż porabia nasz geniusz trawiony nerwicą. Zdążył rozłożyć własne sztucce i usiłuje dojść do ładu z telefonem komórkowym. Właściwie ma dwa, jeden mały, drugi ogromny, z ekranem wielkości dwustuzłotówki. Wcześniej go z nim nie widziałem, ale w ogóle Kutavaggio nigdy nie zachowywał się w ten sposób. Zdjął marynarkę. Koszulę ma niewypasowaną. Rękawy podwinięte. Jeździ tym wielkim telefonem wzdłuż ściany, obraca się w stronę baru i coś do siebie mruczy. Telefon zawisa dłużej nad naszym menu i przysiągłbym, że Kutavaggio usiłuje zrobić mu zdjęcie, choć nie wiem po co, bo zna je lepiej niż Modlitwę Pańską albo numer własnego konta. Jeszcze raz pytam, czy wszystko w porządku, i pada odpowiedź, za którą każdy inny wyleciałby stąd na kopach. Kutavaggio reflektuje się momentalnie i duka przeprosiny, co daje kolejny mały cud tego popołudnia. Pyta, czy możemy wyskoczyć na szluga.

Trzęsąc się pod markizą, Kutavaggio przeszukuje kieszenie, posyła mnie do kiosku ze stówką i odmawia przyjęcia reszty. Pet mu chodzi w gębie, ognia nie skrzese. Służę zapalniczką. Niemal dławi się dymem. Chce zapalić jeszcze jednego. Chciałbym wiedzieć, co poruszyło tego zimnego sukinsyna. Niech się dusi w strachu, niech krztusi się niepokojem. Wszystkiego nie opłaci tymi cholernymi stówkami, choć na fanaberie starcza — włokę tę mokrą pokrakę do kuchni, żeby popatrzył, jak robią mu jedzenie.

Kutavaggia nie obchodzi zawijanie zrazów ani ciasto na kluski. Próbuje ustać oparty o ścianę. Grzebie w tym wielkim telefonie. Śmierdzi strachem i poczuciem winy, jakby coś nawywijał i drżał przed karą. Mówi, że jest mu duszno. Wychodzi i wraca, by zaraz znów pokręcić się pod markizą. Gdy przynoszę jedzenie, tylko krok dzieli go od wpakowania mordy do talerza. Bierze zrazą na raz i dopycha kluską. Donoszę karafkę wody i zaraz muszę ją napęlić ponownie. Przez moment drzę, że Kutavaggio dostanie ataku serca nad nieskończonym posiłkiem. Rozdziawia gębę. Wybałusza oczy. Sięga do portfela, zakłada marynarkę i pyta, czy mógłbym wyjść z nim na jeszcze jednego.

Francuska jest jak sen o nowoczesnej Polsce, z przepychem wiat, błyszczącymi felgami drogich aut i szyldami modnych restauracji, rozwiany przez fałdy asfaltu i bryzg szlamu spod opon przeładowanego ikarusa. Kutavaggio przestępuje z nogi na nogę. Wbija wzrok w żar papierosa, jakby szukał tam odpowiedzi. Nieoczekiwanie pyta, dlaczego największą pomyłkę w życiu rozpoznajemy, gdy jest już za późno. Myślę chwilę i odpowiadam, że w przeciwnym razie nie byłaby to największa pomyłka, tylko inna, zwykła. Kutavaggio wybucha śmiechem klauna prowadzonego na szafot i pokazuje mi plecy. Patrzę, jak się oddala, i czuję jakiś rodzaj współczucia dla tego samotnego sukinsyna. Może zrobił dziecko jakiejś młódce? Może kumpel przegonił go w wyścigu po szmal i splendor? Każdy artysta to cymbał. Po co się takim przejmuję?

Podczas sprząwania stolika czeka mnie kolejna, trzecia już niespodzianka.

Kutavaggio zostawił telefon.

WIECZÓR Z KARAMBOLEM

1.

W naszych czasach chłopcy wyglądają jak baby, baby jak chłopcy, a telefony nadają się do wszystkiego, tylko nie do dzwonienia. Na tym od Kutavaggia można by mecz zobaczyć, taki jest wielki. Leży na skraju krzesła, a ja nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Nawet nie ma klawiatury, niczego nie ma, ekran tylko ma. Leciutki. Nic dziwnego, że go zgubił. Jak miał zauważyć, ten głupi Kutavaggio, że nic nie obciąża mu kieszeni?

Przez chwilę mam nadzieję, że Kutavaggio wróci po zgubę. Pewno gania po Francuskiej i szuka własnej głowy. Próbuję włączyć to dziadostwo i przez moment mam idiotyczne wrażenie, że telefon eksploduje mi w dłoniach. Moja nokia to co innego. Są klawisze, które mogę naciskać, i wielki przycisk do włączania i wyłączania. Bateria trzyma tydzień. Ten to szmelc. Być może Kutavaggio cieszy się, że go zapodział. Pakuję do kieszeni ten lśniący badziew i idę skorzystać z mądrości Barytona. Już wzrok grubasa uświadamia mi, że nawet cegła byłaby lepszym doradcą.

Thuste paluszki wręcz rwą się do telefonu. Podaję go z pewnym wahaniem. Baryton informuje mnie, że to najnowszy, piekielnie drogi model. Wymienia kwotę. Za takie pieniądze mógłbym sobie normalnie fordę kupić. Mówię to Barytonowi, ale nie słucha. Przynajmniej wiem, że telefon uruchamia się z boku jakimś specjalnym przyciskiem. Przycisk jest niewyczuwalny i niewidoczny. Zdaniem Barytona tak właśnie ma być.

Mówię tej ludzkiej nędzy, żeby sprawdził książkę telefoniczną albo historię połączeń. Tak zawsze robimy, kiedy ktoś zostawi telefon. Baryton chyba ma nadzieję, że Kutavaggio nie upomni się o to cacuszko. Ale fajowy, ale fajowy, duka. No to go cisnę o spis numerów. Baryton wciąż gapi się na jaśniejący ekran i mamrocze, że nie ma tutaj niczego podobnego, w ogóle niewiele może się dopatrzeć. Słucham o jakichś apkach, nie wiadomo do czego. Tych też zresztą jak na lekarstwo, mówi Baryton. Wygląda na to, że z tego telefonu rzeczywiście nie da się dzwonić. Daję do zrozumienia, co o tym sędzę, a Baryton wyczuwa swoją szansę i pyta, czy może go póki co zatrzymać. Pobawiłby się trochę. Baw się lepiej klejnotami, durniu jeden! Oddaje aparacik z jękiem, jaki mogłaby wydać z siebie matka, której przemocą oderwano od piersi jedyne dzieciątko.

Kutavaggio przyjdzie jutro po swoją własność. Nie oddam mu jej zasmarkanej.

2.

Wysiadając ze stotrzydziestkiósemki, natykam się na Karambola. Karambol kręci się nieopodal przystanku w tej swojej puchowej kurtce, dresiwie z trzema paskami i butach lśniących jak stuwatówka. Naciągnął czapkę po same oczy i szuka guza albo mnie. Czasem na jedno wychodzi. Leci z wyciągniętą łapą. Dobrze ją ścisnąć. Przynajmniej nie wyląduję w mojej kieszeni.

Karambol prowadzi niewielki lombard u zbiegu Wiosennej i Radzymińskiej, a idzie mu tak świetnie, że czasem najmuje się do sprząwania Lidl'a przy Solidarności. Pozostaje przynajmniej na rewirze. Powiadają, że sprzedałby własną matkę, gdyby tylko pojawił się popyt na klótlive baby w różowych pepegach. Jeśli chcecie kupić magnetowid z pornołem w środku, komórkę, której używało trzech handlarzy narkotyków, albo pałkę teleskopową ze śladami czyjejś krwi, walcie natychmiast do Karambola. Tego dnia coś

się nieszczęśnikowi nie wiedzie, bo pyta, czy zajdziemy na głębszego. Zaraz wiadomo, o co chodzi. Prędzej diabły w piekle będą się okładać śnieżkami, niż Karambol wyskoczy choćby ze złotówki na bronka.

Tacy jak on bez przerwy opowiadają o kokosowych interesach czekających tuż za rogiem i chętnie nawijają o złodziejach, oszustach i kapusiach, jakich na Pradze jest ich zdaniem zatrzęsienie. Wpuszczam to jednym uchem, wypuszczam drugim. Fakt, Karambol to bydlę łase na szmał, ale nikomu nie wsadził kosi pod żebro. Tylko tak gada i gada, nawija makaron na uszy, i nim się połapię, już stoimy pod Koneserem, a ja trzymam portfel.

Karambol najchętniej raczyłby się wódeczką, sam jednak uważam się za piwosza — chce walić naftę, niech wali za swoje. W ten sposób osiągamy kompromis. Biorę dwa kuflowe, wciskam w spodnie. Karambola chyba parzy ta puszka. Nie skręcamy na skwer przy Brzeskiej, gdyż siępi, co bardzo martwi chorowitego Karambola. Mijamy sklep z antykami, którego właściciel należy do najstarszych eksponatów. Połowę wystawy zajmuje kopia *Sielanki* Chełmońskiego. Dziewczyna leży na brązowej trawie, a chłopak leniwie smyra smyczkiem po skrzypcach. Zaraz huknie, niebo splunie deszczem i tych dwoje popędzi do stodoły, gdzie on zdejmie z niej mokre ubranie. Chełmoński to był gość, nie nadęty frajer jak nasz Kutavaggio. Wiedział, o co chodzi w życiu.





Nad naszymi głowami ciągną się siatki chroniące przed spadającym gruzem. Chodnik okupują młodzi. Stoją w grupach po pięciu, po siedmiu. Zawsze w tej samej konfiguracji — jeden oparty o mur, z głową wysuniętą do przodu, jakby oczekiwał na uderzenie młotem, reszta naprzeciw niego, z łapami w kieszeniach.

Stajemy na podwórku, pod ścianą z ciemnoczerwonej cegły, z której wyrasta rdzewiejący daszek. O kapliczkę opierają się przegniłe deski. Ojciec z synem ciągną wózek pełen makulatury. Karambol przytomnie zauważa, że niedługo już będzie ładnie. Wszystkich nas wykupią. Postawią nowe kamienice, gdzie metr kwadratowy będzie warty więcej niż moje i jego życie razem wzięte. Możliwe, że ma trochę racji. Przypominam sobie, co spoczywa u mnie w kieszeni, i pytam, tak z głupia frant, czy są takie telefony, które nie mogą dzwonić. Pytanie brzmi idiotycznie, lecz Karambol wydaje się wiedzieć, o co chodzi. Mówi, że czasem, jak siądzie jakiś styk, telefon służy jako tablet albo aparat fotograficzny. Chce wiedzieć, czy mam coś do sprzedania. Czy coś się do mnie przykleiło? Reaguję wzruszeniem ramion. Karambol wlewa w siebie pół puszki i śmieje się z ludzkiej durnoty. Zawsze przegląda zdjęcia w telefonach, które dostaje w zastaw. Czego tam nie ma! Gołych bab naoglądał się za wszystkie czasy, śmieje się szelmowsko i ociera chytne usta wierzchem dłoni.

3.

Przez Karambola muszę nadłożyć drogi, zachodząc raz jeszcze do Konesera — gdybym kupił od razu cztery piwa, długo bym się od niego nie uwolnił. W efekcie matuś przejęła pokój we władanie. Telewizor chodzi na cały regulator, a matula i tak siedzi z nosem w książce, jednej z tych, które kupuje na przecenach w księgarni Bogulandia na Żąbkowskiej. Całuję ją w czoło. Słyszę, że nie mogłem nawet poczekać z piwem, aż przyjdę do domu. Da się nadrobić. Otwieram denarka, wsuwam pasztet na razowym chlebkcu i pytam, czy mogę przełączyć program, bo dzisiaj Legia gra z Wisłą, czego nie chciałbym przegapić.

Mama oczywiście nie chce o tym słyszeć. Wchodzimy w rytualny spór o znajomym końcu i jasnym przebiegu. Telewizor jest jej oknem na świat, słyszę. Dlaczego jednak przez to okno spogląda zadowolony z siebie ksiądz, któremu wszystkie trzy podbródki trzęsą się z radości nad prorodziną polityką państwa? Swoje dzieci poupychał po bidulach. Mama pyta, czy naprawdę muszę myśleć o wszystkich źle. Odpowiadam, że jestem realistą. I tak siedzimy, patrząc na księdza, pod zacnym rycerzem, przy długim regale, na którym *Kwiatki Jana Pawła II* opierają się o *Dziła Navarony*.

Pytam ponownie, czy mogę przełączyć. Mecz będzie tuż po Wiadomościach. Mama macha ręką, niech będzie i tak. Łaskawość mej rodzicielki ma wysoką cenę. Słucham o dzieciach, które osłodziły starość rodzicom, odnosząc wielki sukces. Padają imiona, na-

zwiska. Jeśli któryś nawet nie doszedł do pieniędzy, przynajmniej zrobił piątkę brzdąców. Czy naprawdę chciałabyś, abym miał dzieci, mamó? Jakoś ją ten żart nie rozśmieszył, więc rzucam kolejnym: kto wie, czy nie rozsiałem się po świecie? Wolę jednak milczeć o tym, co się czasem zdarza, gdy jakaś klientka napisze na rachunku numer telefonu.

Mama sama przełącza program. Lecą jeszcze Wiadomości. Pociągam denarka. Biorę mamuś za rękę i tłumaczę to, co zawsze: chcę tylko spokojnie żyć. Nie dla mnie wielkie sprawy tego świata, poza tym... Milknę w pół słowa, bo telewizor z kolorowego zmienił się nagle w czarno-biały, a z ekranu gapi się znajomy pysk. Słyszę, że Zbigniew Płaczek, światowej sławy plastyk, malarz, grafik, mistrz sztuki komentarza i artysta konceptualny, odznaczony Krzyżem Komandorskim, Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”, słowem, król pędzla i cesarz kołowania kasiory, został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu na Saskiej Kępie. Co ci teraz po forsie, frajerze? Policja nie wyklucza udziału osób trzecich. Odstawiam piwo, żeby go nie upuścić. Lektor monotonnym głosem wylicza sukcesy zgasłego Płaczka. Jego obraz zszedł za czterysta tysięcy funtów, czyli Kutavaggio drapnął więcej niż jakikolwiek inny współczesny polski artysta. Wystawiał w Nowym Jorku. W Montrealu. W Tokio i Tel Awiwie. Tak to leci, słyszę, a jakbym nie słyszał. Myślę tylko o jednym.

Zabili nam Kutavaggia.

POŻEGNANIE SUKINSYNA

I.

Powiadają, że Kutavaggio leżał z rozkrzyżowanymi ramionami, a w otwarte usta dałoby się bez trudu wepchnąć jabłko. Miał na sobie prążkowaną marynarkę i taką też koszulę. Diabli wiedzą, dlaczego właściwie umarł, ale rozbity łeb i krwawy kleks na marmurowej mozaice obok pozwalają wyrobić sobie jakiś osąd w tej materii. Mieszkanie wyglądało, jakby Ruskie przeszły. Rzeczy z szuflad wywalone. Ubrania z szafy na podłodze. Pozrzucone obrazy — szukano sejfów. Nikt nie wie, czy coś zginęło ani kto sprzątnął Kutavaggia, ale teraz ludzie mordują się za buty, stówkę i butelkę, więc mógł to być każdy. Mnie jednak frapuje coś innego. Ciało znalazła córka jego siostry. Umówili się na osiemnastą trzydziestą. Kutavaggio się nie odzywał. Poszła do kantorka ochrony, ochroniarz otworzył, no i go znaleźli. Wiem o tym, trzecią godzinę donoszę wódkę i zakąski. Brzmiały głosy żałobników. W Balatonie odbywa się stypa.

Takie imprezy u nas to rzadkość. Najczęściej mają miejsce w ponurych knajpach przycementarnych, gdzie leją ciepłą harę po trzy pięćdziesiąt, a między nogami urzędników żałobników krążą ogłupiałe, przerażone pacholeta. Ktoś jednak wymyślił, by Kutavaggia pożegnać w jego ukochanej restauracji. W gruncie rzeczy trochę żal, bo trudno o weselszą balangę od stypy. Żałobnikom puszcza hamulce i mówią chyba wszystkie żarty, jakich nie zdążyli powiedzieć zmarłemu, póki dychał. Faceci kopcą w kiblu i łapią stare baby za cyciki. Stypy to kupa radości — wyjąwszy tę. Kutavaggio mógł sobie latać do Wiednia jak do Piaseczna i wystawiać nawet na Księżycu. Co z tego? Przy stoliku siedzi tylko garstka ludzi z nosami na kwintę.

Znajoma już matrona — ta, którą odprowadziłem do renówki — to jego starsza siostra. Siedzi, jakby połknęła draga, i ledwo moczy usta w koniaku. Nadskakuje jej żylasty brodaczy w obcisłym swetrze: pani Janino to, pani Janino tamto, czy coś mogę zrobić dla pani, pani Janino? Cały czas gada tylko o tym, że nie może uwierzyć w tę straszną tragedię. Zbysiu był przecież dla niego jak brat. Wzrok Janiny daje mu do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o czym tak naprawdę mówi. Naprzeciw brodacza w swetrze siedzi ten troglodyta, którego widziałem wcześniej w samochodzie. W czarnym garniturze wygląda, jakby utknął na imprezie z okazji trzydziestolecia ukończenia szkoły specjalnej. Włochate łapki rwą się do kieliszków. Wystarczy jedno spojrzenie Janiny, żeby się skulił.

Towarzystwa dopełnia młody ćpun i smutna kobietka po pięćdziesiątce. Ćpun ma podgolone boki głowy. Resztę kudłów spiął w misterny kok. Nosi błękitną marynarkę na wymięty podkoszulek, ma bransoletki na przegubach, a z szyi zwisa mu najprawdziwszy różaniec, jakby bronił się modlitwą przed atakiem serca. Poci się, dyszy i patrzy na boki. Na próbę nawiązania rozmowy reaguje machnięciem ręki, zresztą zagaduje go tylko ta

smutna kobietka. Reszta traktuje go jak powietrze. Znam takich. Zaraz polecą do klopa i wróci rumiany, gadatliwy i z każdym będzie się bratał.

Smutna kobieta to inna para kaloszy. Ma trójkątną twarz. Siedzi w delikatnej skórzanym kurtce, a rozmiarom jej kolczyków ustępuje tylko wisior mający się w piegowanym trójkącie dekoltu. Bez przerwy poprawia okulary i też tego pije. Wiem już, że nazywa się Kryśka i jest córką Janiny. To ona znalazła trupa. Trudno się dziwić, że jest jej nieswojo, lecz mnie trapi coś innego. Gdy Kryśka przyszła, Kutavaggio był sztywny od jakichś pięciu godzin. Tak mówią. To oznacza, że zginął zaraz po wyjściu od nas, z Balatonu.

2.

Jeśli ktoś płacze po Kutavaggiu, to tylko Baryton. Grubas dosłownie zalewa się łzami. Za każdym razem, gdy zachodzę na kuchnię, słyszę, jakie to wielkie nieszczęście, jaka strata niepowetowana. Biedny Baryton nie może nawet patrzeć na opustoszały stół. Przecież Kutavaggio przychodził do nas codziennie. Łzy jak grochy leżą się na salatkę śledziową, a ja doskonale wiem, o co chodzi. Stówki się skończyły. Już nikt nie będzie płacił ekstra, żeby postać sobie pół godzinki na zapleczu.

W takie dni jestem spluwaczką na cudze emocje. Uczucia są jak papierki po kieszeniach. Nikt ich nie potrzebuje. Każdy ma ich zbyt wiele. Ledwo porzucam Barytona, a już wyrasta przede mną ów młody ćpun, który właśnie opuszcza ubikację. Gęba mu się śmieje, jakby dopiero teraz, stojąc nad pisuarem, uprzytomnił sobie, jakiego ma dużego. Pyta, czy znam tajemnicę jego imienia. Odpowiadam, że to rzeczywiście musi być wielki sekret, skoro nawet nie wiem, jak ma na imię. Gapię się na lśniący nos. Chłopak nazywa się Emanuel, co oznacza „Bóg z nami”. Uważa, że zmarły ojciec zrobił mu tym doskonały dowcip. Uświadamiam go, że nie widzę w tym nic zabawnego, i zostawiam, by zmierzył się z tą myślą w samotności. Ani mu to w głowie. Nim dojdę do stolika, kładzie mi rękę na ramieniu i pozwala mówić do siebie Emek. Strącam tę łapkę. Są inne kłopoty.

Przy stoliku usiłuje usiąść chłamek w uniformie ochroniarza. Zapewne to on wraz z Kryską znalazł biednego Kutavaggia. Ma szerokie barki, kwadratową szczękę i idę o zakład, że w swych młodych latach stał dokładnie tam, gdzie ZOMO, teraz jednak się przymila. Opowiada, jakimi to byli z Płaczkiem przyjaciółmi. Rozmawiali o sztuce. Przyносił mu jedzenie. Kryśka najchętniej pozwoliłaby mu usiąść, Emek nawet by połał, ale Janina jest nieubłagana. To impreza tylko dla najbliższych. Zerka w moim kierunku, więc ruszam do czynu. Klaruję prawidła rządzące stypą, ale do takiego chama nie dotrze nic lepszego od ciosu płytą chodnikową między głęboko osadzone ślepia. W końcu ustępuje. Prowadzę go do wyjścia, popychając przed sobą jak ogłupiałe cielę. Zaczyna się mazać dokładnie w chwili, gdy wystawia łeb na deszcz.

Słyszę, jakim nasz Kutavaggio był miłym człowiekiem. Zawsze pytał o samopoczucie. Ochroniarz nie ma pojęcia, kto mógłby mu zrobić krzywdę, i z żalem zerka przez szybę w stronę zgromadzonych. Uświadamia mi, że mamy ze sobą coś wspólnego. Obaj żyjemy w cieniu wielkich ludzi, takich właśnie jak Kutavaggio. Pomagamy im na co dzień. Trzymamy strzemię, gdy taki dosiada konia. Przyznaję mu rację. Powiedziałbym wszystko, żeby tylko wreszcie sobie poszedł. Ochroniarz klepie mnie w ramię i mówi, że kiedyś musimy się napić. Czuję we mnie bratnią duszę. Mieliśmy wspólnego przyjaciela. Konieczność, odpowiadam, choć prędzej waliłbym rycynę na wiadra, niż pił z tą mundurową kanalią. Patrzę, jak odchodzi. Wyluskuję chesterfielda.

Pięć minut na papierosie okazuje się grubym błędem. Z kuchni zdążył wychynąć Baryton. Jak znam życie, wezwał go urzędnik Emek, poszukując towarzystwa człowieka prostego. Teraz na nim wisi. Janina chwali doskonałą kuchnię, a ja wyciągam nogi, by ratować sprawę, nim będzie za późno. Baryton raduje się z komplementów. Strzela z palców i świszcze swoim fałsecikiem, że ukochany nieboszczyk zostawił w restauracji telefon.

3.

Spojrzenia wszystkich prześlizgują się po mnie z jednym tylko wyjątkiem — Kryśka odwróciła głowę i przygląda się butelkom ustawionym nad barem. Baryton ma tyle rozumu, by zmienić temat, ale jest po ptokach. Pytam, czy coś jeszcze podać, donoszę wódeczkę, a gdy próbuję odnieść brudne talerze, czuję wątlą łapkę oplatającą mi prze-

gub. Janina ciężko podnosi się z krzesła. Unosi ostre kąci ust i pyta, czy to prawda z tym telefonem. Dodaje, że w życiu nie posądziłaby mnie o kradzież. Przecież jestem uczciwym człowiekiem, a każdy uczciwy człowiek jest bardzo zapracowany. Ona, Janina, może to zrozumieć, bo doskonale zna życie. Robiąc zakupy, nieustannie myli dwuzłotówkę z piątką i sprzedawczyni bierze ją za oszustkę. Taki wstyd! Janina zawiesza głos i wlepia we mnie jadowite ślepie. Kładę rękę na telefonie spoczywającym w kieszeni i już chcę go wyjąć, gdy Janina zdobywa się na kolejny uśmiech i mówi coś, co przekreśla wszystko: jeśli teraz oddam telefon, nie będę miał żadnych kłopotów.

No dobra. Tak chcesz się bawić? Mi tam muzyka w tańcu nie przeszkadza. Rozkładam szeroko ramiona i odpowiadam, że nie mam żadnego telefonu. Nie wiem nawet, o co chodzi. Niczego nie znaleziono. Stara cwana morda osuwa się jak piasek z łopaty. Bo co mi zrobisz, co poczniesz, babino, z tak jawną bezczelnością? Wrócisz do domu i będziesz myśleć, jaki ze mnie kawał sukinsyna, choć zapewne nie użyjesz takich słów. Zaciśniesz szare piąstki. Wykonasz kilka rozpaczliwych telefonów, może nawet na policję, ale z tego dzwonienia nie wyniknie absolutnie nic. Wobec jawnego kłamstwa człowiek jest bezradny tak samo jak wobec prawdy. Tak właśnie myślę, gnę się w ukłonie i wracam do obsługiwanego gości. Przynoszę butelkę w kubie z lodem i parujący żur. Janina kojarzy mi się teraz z flamingiem, któremu szyję zawiązano na supeł.

Dochodzą mnie strzępki rozmów o zmarłym i chyba rzeczywiście tęskni za nim tylko nieszczęsny Baryton. Janina odzyskała wigor i wygłasza opinię, że Kutavaggio był artystą niewielkiego talentu, lecz ogromnej pracowitości. Zastanawiam się, czy to naprawdę komplement. Brodaty plastyk zgadza się z tym w całej rozciągłości i sadzi przemowę wychwalającą talenty biznesowe denata, których on sam jest boleśnie pozbawiony. Najwyraźniej liczy na jakiś ochłap z pańskiego stołu. Jedna Krystyna zauważa, że o zmarłych mówi się dobrze albo wcale. Kutavaggio był niezwykle człowiekiem z mnóstwem najzwyczajniejszych wad i jeszcze za nim zatęsknią. Wszyscy przypominają sępy pchające się do truchła. Najmłodszy i najsłabszy wyrwa się przed szereg, najwyraźniej licząc, że coś mu skapnie — Emek pijany w sztok zaczyna się tulić.

Na czole i policzkach wykwitły mu czerwone plamy. Nos łni. Oczy płoną. Emek ma mnie za dobrego kumpla i wyraża nadzieję, że się dogadamy. Doskonale rozumie, dlaczego nie rozmawiałem z Janiną. To harpia. Kucharka przebrana za księżną. Gdybym oddał jej telefon, skrzywdziłbym wszystkich, a najbardziej siebie, mówi i grzebie po kieszeniach w poszukiwaniu banknotów. Składa pomięte stówki, opowiadając coś o zaliczce. Jutro przyniesie resztę, jak tylko skołuje. Pół teraz, pół potem. Cała Polska na tym stoi. Słucham tej paplaniny, popychając delikatnie Emka z powrotem w stronę stołu. Zwała się na krzesło, wbija wzrok w obrus. Nawet nie rozumie, że mu odmówiłem.

Rozchodzą się przed dziesiątą. Pierwszy podnosi się brodaty artysta. Przez szybę widzę, jak stawia sobie kołnierz i markotny maszeruje w stronę przystanku. Emek, panisko, decyduje się na taksówkę, do której by nie dotarł bez pomocy Krystyny. Ta już nie wraca. Czeką na matkę, paląc cienkiego papierosa. Janina zbiera się ostatnia i płaci cały rachunek, a gdyby spojrzenie mogło zabić, siedziałbym już z Płaczkiem na łonie Abrahama. Troglodyta ujmuje ją pod rękę i zaraz puszcza, żeby otworzyć drzwi.

Siadam przy stole, zachodząc w głowę, co właściwie się wydarzyło. W tych rozmysłaniach pomaga niedopita butelka. Emek fruwa wśród różowych słoni, ale Janina jest cwana i rozsądna. Dlaczego tak jej zależało na telefonie? Po co komu aparat, który nawet nie dzwoni? Pojawia się myśl, że powinienem był wziąć te stówki od Emka. Lepiej mieć, niż nie mieć. No, ale mleko się rozlało. Muszę posprzątać. Muszę wrócić do domu. Obładowany zachodzę do kuchni, gdzie zastaję Barytona z łapą w kieszeni mojej kurtki.

Lanie grubasów zawsze sprawiało mi kłopot. Chudy to co innego. Pacniesz raz i się składa, grubas zaś stoi, macha łapami, a pięści grzęzną w tłuszczu. Innymi słowy, grubego tylko w mordę. Na szczęście z Barytonem nie mam nawet tego kłopotu. Odpada od kurtki, unosi łapki i przepasza, gnąc się niby smark na wietrze. Nie wie, co w niego wstąpiło. Podchodzę. Sprzedaję mu plaskacza na otrzeźwienie. Po zaczerwienionym policzku sunie wielka łza. Mógłbym mu wtłuc, ale wówczas baran doszedłby do wniosku, że wszystko jest w porządku. Próbował mnie okraść. Zebrał łomot. Jeden do jeden, rachunki wyrównane. Nie ma mowy, sukinsynu.

Chwytałem drania za wszarz i targam przez kuchnię niczym wielki zasmarkany tobół. Brzęczą spadające sztućce, poleciały kieliszki, talerz się roztrzaskał. Przyciskam Barytona do ściany. Głowa ucieka mu w głąb podbródka. Przeklina własną chciwość. Doprawdy, nie wie, co go podpuściło. Przecież jest moim przyjacielem. Tylko go namówili. Oszołomili forszą i dlatego grzebał w mojej kieszeni za telefonem. Dwa tysiące złotych? On, Baryton, tak niewiele zarabia. Ma rodzinę na utrzymaniu. Ma kredyt, długi, chorobę wieńcową i nadciśnienie. Słucham tej litanii nieszczęść. Zadaję oczywiste pytania. Kto chciał płacić? Jak się umówili? Baryton chlipie i mówi. Ustawili się jutro, w samo południe, pod przęsłem mostu Poniatowskiego od strony Pragi, czyli naszej. Baryton zalewa się łzami, błaga o wybaczenie i deklaruje przyjaźń dozgonną. Puszczony, natychmiast pada na kolana, jakby szukał szkieł kontaktowych.

Nie złeję go, bo mi go szkoda. Jak sepleniącego dziecka. Jak psa z wydłubanym okiem. Upokarzam go, bo litość jest gorsza od łomotu. Poza tym Baryton się myli. Nie jest moim przyjacielem. Nigdy nie był.

Frajerzy mają przyjaciół. Ale nie ja.

CISZA NA PRADZE

I.

Czasem pytają mnie, na czym polega życie. Z jakichś przyczyn niektórzy sądzą, że kelner posiada stosowną wiedzę na ten temat. Powinienem do pensji otrzymywać dodatek mądrościowy.

Niektórzy sądzą, że najważniejsze jest gonienie za forszą. Inni wskażą panienki, Panna Boga, pracę albo oddanie niewdzięcznym bachorom, a potem stoją z wywalonymi kieszeniami i dziwią się, dokąd czmychnęło szczęście. Znałem cwaniaków, wojowników i dyplomatów znad kieliszka, znałem silnych i słabych, małych i dużych, znałem wielu, a jednak — mylili się wszyscy. W życiu chodzi o to, żeby się nie wywrócić.

Bądź, kim tam sobie chcesz. Kucharzem jak Baryton. Pijaczyną jak ten cały Emek. Ale stój. Niekoniecznie prosto. Możesz się garbić. Albo ścisnąć własny gorejący łeb. Tylko się nie wywracaj. Runiesz — natychmiast zادهت.

Wiem, co mówię, bo opuszczam Konesera, z trudem zachowując pion. Wykonuję niezdarne półobróty, przyciskając do piersi bezcenny czteropak denara, i walę czołem o słup. Mniej więcej o czymś takim mówiłem. Niepotrzebnie dopijałem wódkę w Bala-tonie. Wódkę po złych ludziach należy zostawić w spokoju.

Na Pradze nigdy nie jest cicho. Właśnie o tym myślę, gdy pogwizdując, maszeruję sobie ku Nieporęckiej. Na Mokotowie na przykład cisza zapada wedle dziesiątej i nie chce puścić do czwartej rano, kiedy to przenosi się na Stare Miasto, gdzie ma dla siebie tylko godzinę. Ursynów trwa w ciszy przez trzecią część nocy. Podobnie jest z Żoliborzem, Tarchominem oraz Bródnem, a na Białolecie, moi mili, cisza panuje nieprzerwanie, chyba że kierowca autobusu nocnego staranuje dzika.

Tymczasem Praga nie zna ciszy. Za dnia tłucze się łoskotem tramwajów, rykiem silników samochodów dostawczych, wrzaskami rosnących bab spod Tesco i chlupotaniem brei młodzieżowej mowy. Rejwach ten wedle dwudziestej drugiej spłaszcza się w szum. Gasną światła w oknach. Znikają samochody. Garbate cienie suną ciągnięte przez sny. Idę sobie i ja.

W tym szumie brzmi prawdziwy oddech miasta. Jakaś babina drze się na męża pijaczynę. Łoskot, wysoki wrzask — piąchy poszły w ruch. Syczą otwierane puszki, trzaskają zapalniczki, z których uciekł już gaz. Słysząc echa rozmów po bramach. Ktoś ryczy, zmyka ktoś — chłopaczyna leci przed siebie, wyciąga kulasy, lecz dojadą go przecież, jeśli nie dziś, to jutro. Nic mnie to nie obchodzi. Skręcam w Nieporęcką, gdzie ciemno i mur, za którym zamarła budowa. Przynajmniej przestali się tłuc.

Te dźwięki są jak cykanie świerszczy, jak rzeki szum — szybko przestają zwracać na nie uwagę. Gdyby zniknęły, pewno poczułbym się dziwnie. Cisza pluje w mordę. Ciszy nigdy nie powinno być.

O takich rzeczach myślę, gdy wracam do domu.

Choć najczęściej nie myślę nic.

Przed samym wejściem, przy samej kracie, ogarnia mnie pijacki lęk, że zgubiłem telefon. Wolną dłonią przetrząsam kieszenie. Wyjmuję. Jest! Włączam. Przypominam sobie, co Karambol mówił o zdjęciach, i próbuję cyknąć jedno, wciąż przyciskając czteropak do piersi. Nasze Matki Boskie zasługują na uwiecznienie. Mamy bowiem dwie, po obu stronach kapliczki. Jedna jest wesoła, druga smutna. Jedna ładna, druga ufurmaniona po welon. Która opiekuje się mną?

No i macie odpowiedź. Szukam migawki i nogi płaczą mi się z tego wysiłku. Nim pojmę, co się dzieje, wywijam orla, jakiego świat nie widział, waląc plecami o bruk. Gwiazd jest jakby więcej, a ja widzę, jak na zwolnionym filmie, cztery puszki złotego denara, które obracają się w powietrzu na podobieństwo odłączonych członów rakiety. Nagle wszystko przyspiesza. Spadają obok mnie, bach, bach, w tym jedna tuż obok głowy. Oddycham ciężko. Ściskam telefon. Działa.

Kto pije, ten się nie zabije.

2.

Mamusi chyba trochę odbija na starość. Już na wejściu informuje mnie, że zionę alkoholem i powinienem coś ze sobą zrobić. Ta praca mnie wykończy. Żadna matka nie powinna chować swojego syna, rzecz moja matuś, a właśnie buduję własną trumnę. Trumna będzie z puszek i ramek po fajkach oraz szkodliwego jedzenia. Świat dawno wybrał życie, stwierdza mamuś. Wyrwa się, gdy próbuję ją objąć, i zaraz przestaje.

Opowiadał o tym, co się dzisiaj zdarzyło. Nie wiem dlaczego, ale okropnie lubię mówić o sobie swojej mamie. Zresztą, żalobnicy od Kutavaggia to cudaki kompletne, można by z nimi cyrk założyć. Głośno zastanawiam się, czy wszyscy artyści są tacy oraz czy artyzm infekuje najbliższe otoczenie na podobieństwo cholery albo trądu. Aż muszę przysiąść, żeby się nad tym zastanowić. Stawiam piwko na kuchennym blacie. Popijam małymi łykami.

Przeglądam się kuchni i dochodzę do wniosku, że coś się tutaj nie zgadza. Tylko nie wiem co. Niby wszystko po staremu. Na lodówce pamiętajacej rządu Jaruzela jest mnóstwo magnesów, każdy z nazwą innego miasta i jakimś symbolem. Jak Londyn, to dzwon. Jak Kopenhaga, to Mała Syrenka. Polska ma pewno moczymordę wtulonego w zwiędłe cyce, czy coś takiego. Mamusię interesuje jednak zagranica, no i zbiera te magnesy. Każdy, kto gdzieś pojedzie, musi jej taki przywieźć, choć sama była najdalej w Ciechanowie. Na lodówce stoją stara waga i mosiężne odważniki w drewnianej ramie. Brakuje zresztą dwóch. Radio gra Bacha. Nasza kuchenka najpewniej pochodzi z czasów, kiedy tworzył ów wielki kompozytor. Za to piecyk powyżej jest nowy. Mamusia boi się gazu. Bardzo nie chce wylecieć w powietrze.

Matuś siada obok, na stolku bez oparcia. Jej zdaniem tylko w ten sposób można uchronić się przed bólem pleców. Kiedyś doradziłem jej klęcznik i zaraz dostałem ręcznikiem po głowie. Nachyla się ku mnie, marszczy nos i kręci głową — tak trapi ją moja twarz zniszczona i cienie pod oczyma. Taki ładny był ze mnie chłopak. No był, był — mówię — ale mnie w szpitalu, za dzieciaka, zamienili na brzydkiego. Mama najpierw trawi moje słowa, potem się śmieje, a na koniec oznajmia, że jestem głupi. To wiem bez jej opinii. Ale co się zmieniło w naszej kuchni?

Gniotę puszkę i celuję do kosza. Ręka kamienieje w pół ruchu. Już wiem, tylko nie wierzę w to, co widzę. Między zlewem a kuchenką stoi nie jeden, ale trzy śmietniki, do tego każdy wyłożony workiem foliowym. Jeden czerwony, drugi niebieski, a trzeci, psia mać, żółtawy jak kliniarz w promieniach poranka. Mamuś nigdy nie miała oka do kolorów. W jakiś mglisty sposób kojarzy mi się to z kublami jak kopuły, które od niedawna stoją na naszym podwórku. Najdroższa moja rodzicielka podrywa się ze stolka i tłumaczy nowy porządek rzeczy. Jeden kosz jest na papiery i kartony, w drugim znajdują się wyłącznie resztki jedzenia, do trzeciego ewentualnie mogę wrzucić swoją puszkę, pod warunkiem że ją opluczę. Nie wiem, jak wyglądam, ale przypuszczalnie wywałam gały jak wół patrzący na pendolino.

To nie koniec maminej przemowy. Słyszę, że każdy worek musi trafić do stosownego pojemnika. Tylko w ten sposób uratujemy naszą planetę przed globalnym ociepleniem. Cóż, wizja Irka i Ryszarda Królów zbawiających świat za pomocą trzech kublów i torebek w różnych kolorach ma swój urok, lecz dla mnie to chyba nazbyt wielki ciężar. Poza

tym kto słyszał o czystych śmieciach? Śmieci powinny być brudne, do ciężkiej cholery! Zdaniem mamusi myślę tylko o sobie. Podpaliłbym świat tylko po to, by zakurzyć papierosa. Nic mnie nie obchodzi. Słucham o topniejących lodowcach i głodzie w Afryce. Co o mnie powiedziałby Ojciec Święty? Czy przyszło mi do głowy, jak szkodliwy jest kotlet serwowany w Balatonie? No, wypraszam sobie, w życiu nie zamówiłbym u nas spaghetti bolognese, lecz schaboszczaka mamy całkiem do rzeczy. Nie w tym rzecz, odpowiada moja mama. Krowy emitują masę gazów cieplarnianych. Każdy kawałek mięsa sprawia, że podnoszą się oceany. Słucham tego wszystkiego z otwartymi ustami, a mama wyjmuje mi puszkę z ręki i wrzuca do odpowiedniego kosza.

3.

Mamusia niewiele sypia. Uważa, że wypocznie w grobie. Dochodzi pierwsza, mam mocno w czubie, pewno przez tę wódkę, którą dopilem w Balatonie. Niejasno rozumiem, że jutro rano obudzę się w świecie, gdzie śmieci muszą być czyste, a każdy mięsożerca to doktor Mengele. Sprawcy tego zamętu leży już w łóżku zapięta pod szyję i czyta *Dzienniczek* siostry Faustyny.

Pokazuję mamusi ten telefon. Proszę, żeby się uśmiechnęła, to zrobię jej zdjęcie. W odpowiedzi zasłania twarz. Twierdzi, że jest za stara, za brzydka. Prosi, bym schował ten szajs. Matuś kochana, nie mów w ten sposób! Wiesz, ile za to płacili? Na to mama wyciąga przed siebie rękę jak wampir osłaniający się przed światłem słonecznym. Jej zdaniem telefony komórkowe powodują raka. Im większy, tym bardziej rakotwórczy, a musicie wiedzieć, że w moje posiadanie wszedł aparat gigantycznych rozmiarów. Nowotwór szaleje w moim pustym łbie. Pałaszuje zwoje. Cykam zdjęcie za zdjęciem. Mamusia jak mała dziewczynka naciąga koldrę na twarz. Mówi, że fotografie robi się tylko ładnym dziewczynom. Wystawia oczy dopiero, gdy odkładam aparat na blat, daleko od niej.

Indianie wierzyli, że każde zdjęcie zabiera część duszy. Mówię o tym mojej mamie i zapytuję, czy to dobry Manitu kazał jej segregować śmieci. Mama tymczasem pyta, co zamierzam zrobić z telefonem, skoro tak mądrze odrzuciłem wszystkie szanse jego upłynienia. Akurat na handlu zna się nieźle, bo przestała pół wieku w szczęce pod Pekinem i dopiero potem wzięła się za naprawianie świata. Prosi, żebym nie żartował, i wyraża przekonanie, że ludzie umierają jakby częściej, od kiedy wynaleziono telefony komórkowe. Nagle poważnie i prosi, bym zadzwonił do Janiny i oddał jej własność.

Piwo natychmiast zaczyna szybciej wchodzić. Jak to oddać? W jakim celu? Groziła mi nawet, cwana rura. Mamusia przypomina, że to nie mój telefon. Jasne, tych ludzi też nie. Należał do Kutavaggia, Kutavaggio poszedł w piach, więc można mnie nazwać nieoczekiwanym spadkobiercą. Beneficjentem okoliczności towarzyszących zejściu, tak mówię, a mama puka się w głowę. Prosi, bym go oddał, bo inaczej umrzemy. Wściekłaś się, mamuś? Z tym rakiem to bzdura.

A ona bierze mnie za rękę, patrzy w oczy, jak tylko matka umie, i pyta, czy przypadkiem Zbigniew Płaczek nie zginął przez ten telefon.

PIEKŁO CZASU WOLNEGO

I.

Dziś nie idę do pracy, wskutek czego znajduję moment na rozmyślanie o piekle czasu wolnego. Pierwsza nieśmiała myśl przedziera się przez cierpką magmę papierosowego kaca, gdy przekonuję się do chleba z białym serem i szczypiorkiem naszykowanego przez mamę. Siedzimy w kuchni, a mama zabiera mi kawę sprzed nosa i stawia na parapecie. Najpierw muszę zjeść. Mogę zabijać się, kiedy ona nie patrzy.

Żuję kanapkę i zerkam za okno, gdzie znajduję przykład harmonijnych stosunków między ojcem a synem. Synalek ma może pięćdziesiątkę, grube okulary, a dzięki rozpiętej dziurawej kurtce widzę flanelową koszulę wepchniętą w spodnie podniesione na wysokość splotu słonecznego. Dla odmiany tatko wygląda jak Święty Mikołaj trafiony granatem. Puszczą wózek i garbi się przy chodniku, poszukując niedopałków. Ocenia każdy, obracając w brudnych paluchach, i ładuje do paczki po winstonach. W tym czasie synalek już grzebie w kontenerach, wsadziwszy łapę aż po łokieć. Wręcz kładzie się na kopule. Jedna za drugą wylatują puszki, tatko zaś schyla się po nie, miażdży butem i wsa-

dza do siatki uwieszonej przy wózku. Synalek wywleka kartony, tatuś składa je starannie, układa jedno na drugim i krępuje sznurkiem. Opalają niedopałek na spółkę. Segregację śmieci Praga знаła, nim wpadli na nią nasi wspólni ministrowie.

Mówię to mamie i dumam dalej nad czasem wolnym. Ludziom na łby się rzuciło. Gadają w kółko o urlopach i czekają na piątek, tymczasem tych dwóch z wózkiem będzie zapieprzało nawet w Wigilię i Dzień Podatnika. Szacunek dla was, chłopaki! A wy, skończeni durnie, co zrobicie z czasem wolnym, na który tak czekacie? Urzniecie się z kolegami, którzy was nie lubią i nudzą się jak mopsy. Rano wypełnią wam do łóżek tępe, chciwe niewyskrobki. Wywleciecie się ku tłustym, zrędlwym żonom, pójdziecie do galerii handlowej, do zoo, do Kopernika, pocą się wczorajszą wódką, z oddechem brudnym od służgów, tylko po to by, zakrzyczani, zagłuszeni wysuplać dwie dychy na gówną wartą zabawkę w McDonalddie. Wieczorem siadziecie przed telewizorem, oglądając jakiś świetny serial ze znanymi aktorami, nakręcony tylko po to, by ostudzić dymiące jeszcze pogorzeliska waszych mózgów. Potem pójdziecie spać. W waszych łbach będzie krążyło mnóstwo myśli, ale żadna mądra. Nie wiecie nawet, że jesteście nieszczęśliwi, w ogóle gównie wiecie. Czas wolny rozmiękcza charakter i niczemu nie służy. Wielki Hannibal, Mozart i Einstein nie mieli czasu wolnego.

Gadam tak, trochę do mamy, trochę sam do siebie, a wszystko dlatego, że nie idę dziś do roboty. Pracuję w systemie zmianowym, po czternaście godzin dziennie, a potem dwa dni laby. Macie tu źródło mego frasunku. Chciałem dłużej, ale usłyszałem o jakichś prawach pracowniczych. Kolejna mądrość tych parszywych czasów. Jedyne prawa, jakie się liczą, to te, które wydrzesz życiu z gardła.

Dni wolne zazwyczaj są okropne. Najlepszym, co mogę, jest spacer do Konesera i czytanie, aż literki się roztańczą. Czasem najmuje się do noszenia bogatych starców. Szmale nie przywróci im nóg, więc mogą na mnie krzyczeć, a potem całować po rękach. Robię drobne remonty. Wyprowadzam psy, choć nie potrzebuję zarobić więcej niż w Balatonie. Mama znów rozpacza, że niczego nie odłożyłem za dobrych lat Kameralnej, więc pytam, co zrobiłbym z tymi pieniędzmi. Kupił mieszkanie. Przecież mam dach nad głową. Gdzie będzie mi lepiej niż u mamy? Matusz zsuwa okulary na koniec nosa. Uważa, że wtedy wygląda mądrzej niż zazwyczaj. Przypomina, że w Kameralnej zarabiałem dziennie i pół dzisiejszej pensji. Co z tym zrobiłem?

Możecie okłamywać kochankę i kolegów. Bez kłamstwa nie można utrzymać żadnego małżeństwa. Matce winniśmy tylko prawdę. Odsuwam pusty talerz, sięgam po kawę i mówię prawdę najszczerzą: wydałem na taksówki, pierwszoligowe kobiety i markowe alkohole. Dziesięć lat żyłem zgodnie z moim nazwiskiem. Nikt mi tego nie odbierze. Mamusia wyraźnie krzywi się na wspomnienie mego szczęścia. Trapi ją moja przyszłość. Skończyłem już pięćdziesiąt lat.

Całuję ją w czoło i mówię, że wszystko będzie dobrze. Nie kłamię. Mam plan i telefon w kieszeni, a ten dzień wcale nie jest wolny.

Idę z telefonem w umówione miejsce zamiast Barytona.

Przedemną ojciec i syn pchają wózek. Maszerują we wspólnym rytmie. Ich siwe łby owiewa dym. Podporą Polski jest rodzina.

2.

Durnia jak Baryton ze świecą szukać, a ten drugi jest niewiele lepszy. Gdyby zderzyć ich głowami, zadudniłoby jak w tunelu.

Gdy załatwiasz trudne sprawy, ważne sprawy, sprawy paragrafowe, robisz to na wido-ku. W Balatonie setki razy widziałem paczuszki zmieniające właściciela i koperty krążące pod stołem. Co mnie to? Nikt nie wałnie gazurką przez łeb — kelner patrzy. A ten matał ustawił się pod przęsłem mostu Poniatowskiego.

Stadion Narodowy przypomina gigantyczny kosz przekupy wywrócony do góry dnem. Z autokaru wysypują się brzdące i lecą przed siebie, wyrzaskując coś o Lewandowskim. Chyba liczą, że gwiazdor piłki kopanej czeka na nich w szatni, jakby nie miał nic innego do roboty. Idę w kierunku rzeki. Znika asfalt. Brnę przez chaszcze, szkło i zużyte kondomy. Komuś nieźle musiało się spieszyć, jak zleciał tutaj na numererek.

Od wody idzie chłód. Buty grzęzną w szarym piachu. Potańcuję dziś z pastą. Prawdziwego mężczyznę poznaje się po butach.

Patrzę na ten kawałek piaszczystego lądu, na czarne badyle, na breję Królowej Polskich Rzek i wierzyć mi się nie chce, że latem przychodzą tutaj ludzie z leżakami, piwerkami i muzyką dla Murzynów, że grzeją się, całują i grają w szachy, jak umieją. Wolałbym już wałnąć się na asfalt. Nawet teraz się kręczę. Nad samą wodą zainstalował się wędkarz. Moczy smutnego kija, odkorkowuje półlitrowkę, a co złowi, podrzuci do rybnego na Nieklańskiej. Zeżrecie jeszcze leszcza z Wisły, mówię wam.

Młodzi w puchowych kurtkach rozpijają bronki. Mają może po szesnaście lat i są głupszy od krowy. Wleźli w krzaki, tak bardzo nie chcą, by ktoś ich zobaczył. Mają biedne brody i obrączki wytatuowane na palcach. Zerkam jeszcze za siebie i widzę kolejnego nieszczęśnika. Człapie w białej puchowej kurtce. Głowę schował pod kapturem. Nie za ciepło ci, sukinsynu? Jest i on, dureń patentowy. Stoi pod przęsłem w idiotycznie długim płaszczu i ubłoconych gumofilcach, słowem, wygląda jak zboczeniec z parku albo świadek Jehowy. Zresztą żadna różnica. Idę do niego z uśmiechem na gębie, i to takim, by widziano go z dworca na Powiślu.

Troglodyta spodziewał się Barytona i minę ma taką, jakby zobaczył diabła, który przyszedł unurzać ogon w rzece. Przewyższa mnie o półtorej głowy i ma szerokie bary opadające ku przodowi. Wysuwa prawą nogę. Lekko ugina kolana, ale potężny korpus tkwi nieruchomo niby znak drogowy. Tak z trzech metrów pytam, czemu próbował mnie okraść. Robi głupią minę, więc powtarzam pytanie. Wykonuje szeroki zamach, tak że czasu mam dosyć. Łapię go za przedramię, szarpnię i troglodyta wykonuje niezdarny półobrót wokół własnej osi, a jego zdziwiona morda znajduje się dokładnie tam, gdzie powinna — tuż przed pięścią. Wałę gnoja w kły, odpowiada kontrą. No dobra, jednak ma cios, aż żebro trzasnęło, tylko dureń znów stoi, jakby na coś czekał. Tym razem nie zrobię błędu. Uderzam w podbródek, poprawiam w gardło otwartą dłoń, a ten wielki cymbał robi się miękki jak budyń. Leży na piachu. Próbuje złapać oddech. Z krzaków czmycha gówniarzeria.

Co teraz, sukinsynu?

3.

Zaczynam od prostego pytania o imię. Może wkroczyłem właśnie na drogę nowej przyjaźni? Troglodyta ze zdziwieniem patrzy na krew schnącą na swetrze, krwią też spluwa i informuje mnie, gdzie mogę sobie wsadzić to, jak się nazywa. Klękam nad nim. Mówię, że możemy dogadać się jak ludzie, ale jeśli chce, to pogramy ostro. Parę strzałów w pysk i już wzywa pomocy. Sam chciałeś się tu spotkać, kockodanie jeden.

Siedzę na nim, dociskając mu obojczyk. Wije się i wciąż wrzeszczy. Wędkarz, słysząc skargę maltretowanego, reaguje prawidłowo. Starannie składa siedzisko, wędkę i podbierak. Zdaje się, że jego westchnienie dochodzi aż tutaj. Syć wzrok widokiem jego człapiącej, przygiętej do ziemi sylwetki — ten człowiek zna już swoje miejsce i wie, że nie zawojuje świata. Tylko gość w białej puchówce przygląda się nam z bezpiecznej odległości. Niech się gapi, co mi tam. Za to ryki troglodyty robią się jakieś takie bardziej rozpaczliwe.

Wałę go w mordę i pytam: jak się nazywałeś? Milczy, to wałę znowu. Jest zbyt głupi, by działać samodzielnie. Kto cię tu przysłał? Cisza. Gapi się tylko tymi oczyma skrzywdzonego zwierzęcia. Leję ponownie, mocnej. Kto cię przysłał, powtarzam. Dlaczego tak zależy wam na tym telefonie?

Leję go i leję. Ma już czerwone policzki, rozwaloną wargę i podbite oko, którym ciągle łypie. To spojrzenie mogłoby należeć do wyjątkowo tłustej sarenki. Wyobrażcie sobie sarnę spuchniętą od GMO, jak czeka na śmierć we wnykach. Umieć wydusić z niego prawdę. Mógłbym wykręcić mu jaja. Zawlec i wsadzić ten durny łeb do Wisły, ale po prostu nie potrafię. Wlaż w zbroję tępego oporu, zasznurował żalosnym spojrzeniem i uczynił mnie bezbronnym. Co teraz?

Przecież nie wybije mu zębów kamieniem. Nie wyjmę oka. A puścić nie mogę.

Stoję nad tym bęcwałem, tą tłustą sarną o tępych, łagodnych oczach, i nie wiem, co robić. Jak pójdę, to wygra.

Dzwoni telefon. Najpierw myślę, że to moja nokia, bo dzwonek jest identyczny. Nie. Coś wibruje w kieszeni troglodyty. Próbuje się bronić. Macha łapkami i się pluje. Dziś twój szczęśliwy dzień, gnoju. Cyrk przyjechał. Sięgam po aparacik, zachodząc w głowę, jak

ten baran obsługuje go swoimi paluszkami. Odchodzę parę kroków. Troglodyta próbuje się pozbierać i mam wrażenie, że zaraz się rozbeczy.

Odbieram. Wypowiadam swoje imię. Janina wcale nie jest zdziwiona.

IMIĘ TROGLODYTY

I.

Dom znajduje się na Walecznych, pomiędzy gomułkowską plombą a kremowym apartamentowcem, jednym z tych, gdzie metr kwadratowy kosztuje rok pensji uczciwego człowieka. Dostępu broni stalowy płot i gruba ściana żywopłotu огоłoconego teraz z liści. Przez gałęzie prześwituje wilgotna ziemia, z której wyrasta szary, posępny klocek o wysokich oknach i dachu w szpic. Z parapetów sterczą kolce przeciw gołębiom, a do skrzynki na listy przybito wyblakłe zdjęcie wilczura z podpisem: JA TUTAJ PILNUJĘ.

Ciemna i zimna buda nie pozostawia wątpliwości — psiak od dawna strzeże już państwisk niebieskich, a człowiek, który wychodzi mi naprzeciw, niedługo rzuci mu patyk. Emek wytacza się od Janiny. Tym razem wbił się w kozuch z kołnierzem ze sztucznego futra i dres z trzema paskami. Półdlugie włosy lepią się do siniego pyska. Trzaska drzwiami wejściowym, ładuje sobie papierosa w dziób i przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. Próżny trud. Gryzie wargi, bije się po udach i wreszcie spostrzega mnie. Mija chwila, nim przypomni sobie, kim jestem. Podaję ogień. W zamian częstuje mnie szlukiem cienkim jak dżdżownica. Stoimy po zewnętrznej stronie bramy.

Emek bardzo chce wiedzieć, co mnie tu sprowadza. Odpowiadam pytaniem: a co, książkę piszesz? Młody nie ma wyjścia, musi się roześmiać. W jakiś sposób cholernie mi go żal. Zionie przetrawioną wódką, nos mu znowu łśni. Wyznaje, że polubił mnie od kopa, bo mało jest takich fajnych facetów jak ja, i dlatego da mi dobrą radę. Powinienem natychmiast zawrócić. Janina to słodka żmija. Jej słowa kryją jad. Myśli tylko o sobie. Dobiega dziewięćdziesiątki i sądzi, że będzie żyła wiecznie. Kocha tylko pieniądze. Więcej i więcej. Nawinie mi makaron na uszy, zakręci i zrobię to, czego chce. Wielu w ten sposób przekabaciła. To diabeł wcielony, zły duch tej rodziny, słyszę, a raczej dopowiadam sobie, bo Emek w kółko używa takich słów, jak „korkowód”, „klepa” i „chujocmok”. Wreszcie milknie. Już wie, że nie zmienię zdania. Z zamachem przybija mi piątkę, chce iść, ale ja przytrzymuję jego dłoń.

Położ się, mówię mu. Nie idź do dziewczuchy ani do kumpla, po nikogo nie dzwoń, tylko zjedz coś tłustego. Najlepiej żurek. Nawet hamburgera, jak lubisz. Wykąp się. Kiwa durnym łbem. Przyglądam mu się chwilę. Drepcze w miejscu. Próbuje uwolnić dłoń. Mówię jeszcze, żeby kupił sobie trzy piwa. Nie więcej, ale też nie mniej. Niech osuszy jedno co trzy godziny. Tak doczeka wieczoru. Wypije więcej, znów wpadnie w ciąg. Odstawi alkohol — dostanie padaczki albo zjeździe na serce. Pytam, czy zrozumiał. Kiwa głową. Puszczam jego rękę i pozwalam mu odejść.

Daliśmy sobie po dobrym słowie. Jaki kraj, takie rady. Zerkam jeszcze na tabliczkę z adresem. Ulica Walecznych powinna krzyżować się z Aleją Tchórzliwych.

2.

Uzyskałem odpowiedź przynajmniej na jedno pytanie. Troglodyta nazywa się Paweł i jest synem Janiny. Zapadam się w miękkie fotel obity skórą, daję nogę na nogę i rozkładam ramiona na podłokietnikach. Janina woli antyczne krzesło z plecionką. Cała jest obwieszona złotem. Łokieć oparła o ciężki blat biedermeierowskiego stołu. Za nią rysuje się przeszklona biblioteczka. Jest też sekretarzyk wyłożony suknem, toaletka z ruchomym lustrem, komoda błyszczą ręcznie robionymi okuciami. Stoją na niej srebrne świeczniki. Ściany zapełniają obrazy, powieszone gęsto, jeden obok drugiego. W gęstwinie sztuki nowoczesnej, tych kółek i kwadratów, wyróżnia się *Gęsiarka* Axentowicza. Dzień jest wietrzny, gęsi od groma, dziewczyna ma chustę na głowie, ale i tak marznie, bez dwóch zdań. Takie jest polskie malarstwo. Groza bije nawet z sielanki. Nie wiem, czy wiecie, ale znam się świetnie na wielu rzeczach, w tym na sztukach plastycznych. Życie było mi uniwersytetem.



Janina pęka z dumy. Pewno sądzi, że nigdy wcześniej nie trafiłem do tak wspaniałego domu i jestem oszołomiony. Próbuję patrzeć z zachwytem na te arcydzieła w tanich ramach, choć chcę tylko parsknąć śmiechem. Widywałem takie miejsca wcześniej. Znam prawdę o tej babie. Póki co zachowuję ją dla siebie.

Do wyboru dostaję kawę i koniak. Zamawiam to drugie i doświadczam rozkoszy małego tryumfu. Janina kiwa głową. Paweł, który do tej pory stał i gapił się za okno, znika,

by zaraz powrócić z koniakówką na srebrnej, grawerowanej tacy. Spuchła mu warga. Wokół oka czernieje obrzęk. Pochyla się tak, bym mógł wziąć koniakówkę, nie odrywając pleców od miękkiego oparcia. Sprawia wrażenie dziecka zawstydzonego swym straszliwym postępkami. Dziękuję mu wylewnie. Paweł odstawia tacę i na powrót zamiera przy oknie. Kukła nie chłop. Moczę usta. Janina zadaje niezobowiązujące pytania. Chce wiedzieć, jak się mam i czy jestem zadowolony ze swojej pracy. Opowiada o sutych kolacjach w SPATiF-ie pół wieku temu. Mówi, że widywała Iwaszkiewiczą i Tyrmandą. Wspaniali ludzie. Światli, kulturalni. Dziś takich bardzo brakuje. Rewanżuję się opowieścią o tym, jak Jerzy Pilch narzygał mi na buty, i niby od niechcenia wyjmuję telefon. Janina przełyka ślinę, milknie na moment. Paweł sztywnieje, zaciska pięści ze strachu i bezsilnej złości. Dałem mu radę raz, dam i ponownie. Zakładam nogę na nogę. Włączam telefon, zerkam to na ekran, to na nich.

Koniak to może nie centaur, lecz coś podobnego. Pachnie irysem. Wyczuwam porto, orzechy i suszone śliwki. Rozgrzewa język. Odstawiam koniakówkę na okrągły stół i słucham, jak Janina mówi o tym, że w moje ręce przypadkiem wpadła cudza własność. Istotnie, w nich się znajduje, myślę sobie i dla zabawy zaczynam przeglądać zdjęcia, które zrobiłem. Jest Białostocka i wejście do naszej kamienicy. Uśmiecham się i słyszę, że powinienem być wdzięczny Janinie. Mogła pójść na policję, ale tego nie zrobiła. Podnoszę wzrok znad ekranu: proszę dzwonić nawet teraz!

Janina wypowiada długie zdanie pełne zdrobnień, z którego wynika, że wcale nie znam się na żartach, i przechodzi do konkretów. Osiem tysięcy złotych w gotówce teraz, jeśli oddam aparat. Wciąż przeglądam zdjęcia. Na nich kuchnia. Moja mama zakrywa się kołdrą. Cholera jasna, fajny bajer, no. Naprawdę mi się podoba, pewno przez ten koniak. Sprawię sobie taki, gdy tylko wpadnie forsa. Dają za złotówkę, a robienie zdjęć sprawia uciechę. Właśnie, skoro jesteśmy przy radościach i szmalu — oddam telefon za dwanaście kawalców, wypłaconych tu, w tej chwili.

Daję Janinie chwilę do namysłu. Wygląda, jakby właśnie przełknęła zgniłe jajo. Syn kładzie jej rękę na ramieniu. Mówi, że postawiłem ją w sytuacji bez wyjścia. Ale dobrze, zapłaci. Zauważa tylko, że żeruję na pamięci o zmarłym. Myślę: no dobrze, przynajmniej najem się tym zimnym posiłkiem. Paweł przynosi kasetkę. Janina wyjmuję pieniądze. Liczy. Na stole rośnie kupka. Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem taki szmal, i wciąż przyglądam się fotografiom. Przesuwam je palcem po ekranie. Nawet nie wiedziałem, że tak można. Dopijam koniak. Pieniądze są gotowe. Janina pyta, czy chcę przeliczyć. Nie muszę. Akurat w tej kwestii jej ufam. Chcę wstawać. Zerkam ostatni raz w aparat na zdjęcie mojej mamy chowającej się pod kołdrą. Robi mi się bardzo zimno, a potem bardzo gorąco. Opadam z powrotem na fotel, a telefon niemal wylatuje z dłoni.

3.

Oszolomienie trwa tylko chwilę. Upewniam się, że to, co zobaczyłem na zdjęciu, jest prawdą. Wstaję, dziękuję za poczęstunek i mówię, że jednak nici z transakcji. Chowam telefon do kieszeni.

Janina wolno podnosi się z krzesła. Przypomina wampira wstającego z trumny. Zwraca uwagę, że już się dogadaliśmy. Co mogę odpowiedzieć? Bardzo mi przykro. Zmieniłem zdanie. Takie moje prawo. Twarz staruszki robi się tak ostra, że można by nią ciąć kości. Mówi, że popełniam największy błąd w życiu. Ona mnie zniszczy. Zaraz stracę pracę w Balatonie. Zabiorą mi dom. Przyjdę jeszcze do niej na kolanach, żebrząc, by przyjęła ten telefon. Zna wiele ważnych osób, mówi, a ja jestem tylko starzejącym się kelnerem z jakiejś speluny na Saskiej Kępie. Ludzie mojego pokroju myli kible w domach jej przodków. Jestem pierwszym pokoleniem po psie. Dupę podcieram gęsią. Słoma wystaje mi z butów.

Janina milknie. Jej spojrzenie rzeczywiście mogłoby należeć do węża. Sądzi, że zmiażdżyła mnie swoją przemową, lecz tylko podniosła mi ciśnienie. Zerkam jeszcze na sekretarzyk i przeszkłona biblioteczkę, na rzędy obrazów i te świeczniki. Mówię, że widziałem już takie nimfy bagienne, farbowane hrabiny jak ona. Udaje, Bóg wie kogo, a tak naprawdę — rżnie głupa. Te meble zdobyła jeszcze za komuny i tak, były sporo warte, ale potem wybuchła wolność i Ruskie nazwożyły tego szmelcu w trzy dupy, szanowna pani. W komisach można sobie oczy podbić takimi sekretarykami. *Gęsiarkato* tania kopia. Janina wygląda, jakby dostała cegłą między oczy. Próbuje coś powiedzieć, nie daję i gadam

dalej, nakręcając się każdym słowem, rozgrzany koniackiem i ludzkim kurewstwem. Kuttavaggio był malarzem i wymieniał się z kolegami na obrazy. Każdy pacykarz tak robi. To knoty zapomnianych kaszaniarzy, napompowanych przez zmarłych dawno krytyków. Dali darmo, bo nie mieli co z tym zrobić. Może jakiś obraz i owszem, zejdzie w desie za pięć kółek, pod warunkiem że powisi tam dwa lata. Właśnie, właśnie, ile czasu minie, nim pani sprzeda ostatni złoty pierścionek?

Janina stoi oszołomiona. Paweł wciąż zaciska pięści.

Wygląda na to, że drogę do wyjścia muszę znaleźć sam.

TROSKLIWY OJCIEC

I.

Wychodzę od Janiny. Idę przez Walecznych w stronę Międzynarodowej. Próbuję poukładać myśli. Próbuję zrozumieć, w czym nagle się znalazłem. Próbuję się nie wywrócić.

Dziś każdy trąbi o sukcesie i szuka sposobu, jakby ten sukces osiągnąć. Nawet nie wie, co to takiego. Słyszę, że trzeba mieć bogatych rodziców, że pierwszy milion trzeba ukraść, że tylko ciężką pracą da się do czegoś dojść. Z rodzicami są same kłopoty. Od pracy ma się garba, a nie pieniądze. Złodzieje siedzą w więzieniach. To moje zdanie. A fakty są takie, że jednemu się udaje, drugiemu nie. Weźmy takiego Płaczka. Jak znam życie, sadził knoty jak każdy pacykarz. Kumple po fachu klepali biedę, on pływał w forsie. Od czego to zależy? Ja wiem.

Wiem i właśnie dlatego opadają mnie wątpliwości. Aż kamienieję pod Pikanterią, gdzie kiedyś miałem pół zmiany. Wyjmuję telefon kierowany durnym lękiem, że tylko mi się zdawało. Nie zobaczyłem tego, co zobaczyłem. Za moimi plecami grubasy w garniturach kroją kaczkę na drobne kawałki, które wsadzają sobie do wydętych ust. Po prawej mam staroświecki sklep z farbami i budkę, w której sprzedają wódę przez cały boży dzień. Dalej ciągną się garaże i plac parkingowy. Coś kiedyś słyszałem o tej budce i tym placu też.

Próbuję o tym nie myśleć. Patrzę w telefon. Nie oszalałem. Na zdjęciu widzę moją mamę zakrytą kołdrą, a nad nią autoportret Malczewskiego w zbroi. Ale na zdjęciu nie ma obrazu. Tylko coś innego. Przez moment mam ochotę cyknąć fotkę swojej własnej mordy. Widziałem ludzi, którzy robią coś takiego bez przerwy, jakby na całym świecie nie znali nic ciekawszego ponad własne ryje. Nie. Chowam telefon do kieszeni. Kupuję złotego denara w budce na Międzynarodowej. Opieram się o garaże. Piję. Zbieram myśli. Między samochodami kręci się grupka wyrostków. Wyglądają, jakby mieli mniej lat niż wyroków, a ja już pamiętam, co słyszałem o tym miejscu.



Budka działa całą noc, a właściciel ma drugi, czarny interesik. Nie bez powodu te gnojki przyglądają się samochodom. Nigdy nie rozbijają szyby. Używają taśmy. Unikają szkód, a z nimi kłopotów. Capną radio, GPS i do budki, za wódeczkę — to się nazywa wymiana bezgotówkowa. Bawi mnie to odrobinę i już wiem, co powinienem zrobić. Facet z budki nie jest jedynym paserem na Pradze.

Maszeruję Międzynarodową w stronę przystanku, z denarkiem w kieszeni, rozmyślając o innych denarach, a także dolarach, funtach i złotych polskich. Długo czekałem na taką szansę. Ani myślę wypuszczać jej z rąk. Życie polega na oczekiwaniu, a czeka się w ruchu, wyglądając szansy. Należy być w odpowiednim miejscu we właściwym czasie. Nie ma innej recepty na sukces i nigdy nie będzie.

2.

Karambol nie należy do tych, którzy spieszą się z otwieraniem drzwi, a widząc mnie w progu, robi minę, jakbym stawiał się w towarzystwie Płaczka dzwoniącego łańcuchami. Potrząsam siatką ze złotymi denarami, sezamie otwórz się, Karambol mięknie i zaprasza do środka. Potykam się o mrowie maleńkich bucików, o piłeczki, o samochodziki. Z wnętrza bije zapach gotowanej kaszy, kremu i ubrań pranych pospiesznie w Dosi czy innym tanim proszku. Siadamy w kuchni przy długim stole nakrytym ceratą. W zlewie piętrzą się naczynia. Na ścianie wisi tania kopia *Macierzyństwa* Wyspiańskiego (temat ojcostwa jurny malarz pominął). Gdy Karambol otwiera lodówkę, żeby schować resztę puszek, widzę rząd tężejących galaretek w salaterkach. Otwieramy po denarku. Wokoło roją się dzieci Karambola.

Wyłaniają się jakby znikąd i przepadają tak, jak się pojawiły. Blondwłosa szarańcza z wypadającymi zębami. W jednej chwili są wszędzie, by natychmiast zniknąć. Włazą ojców na kolana. Szarpia mnie za nogawkę. Gonią się i biją. Strzelają z pistolecików na piankowe strzałki i wyrywają sobie telefon komórkowy ze zbitym ekranem. Strącają garnki. Śmieją się i wrzeszczą. Jedno oświadcza, że jestem jego ukochanym wujkiem, i oczekuje prezentu. Gdzieś w czeluściach tego domowego przedszkola dźwięczy telewizor nadający bajkę.

Nie wiem, ile ich jest, pięcioro, siedmioro czy milion. Mają piegowate mordki, zadarte nosy i sprytne oczka, niewątpliwie odziedziczone po tacie. Ich koszulki są zbyt długie lub przykrótkie, kolana odrapane, spodniki poplamione, a Karambol potrafi ciągnąć denara, podając jednocześnie butelkę z kaszą tłustemu oseskowi, którego kołysze na lewym ramieniu. Powtarza swoje pytanie. Czemu zawdzięcza tę wizytę?

Nie bez wahania podaję telefon od Kutavaggia i zagaduję opłotkami, ile może być warte coś takiego. Karambol stoi teraz przed ciężkim wyborem. Musi bowiem zwolnić dłoni. Woła w głąb mieszkania i po chwili w kuchni melduje się umęczona kobiecina przed pięćdziesiątką, w fartuchu po grube łydki, z przetłuszczonymi włosami spiętymi klamerką. Moją obecność kwituje westchnięciem, bierze oseska jak tobolek i znika. W międzyczasie pięcioletni szkrab zdążył zainteresować się telefonem. Karambol wali w stół otwartą dłonią. Szkrab odskakuje o metr, jakby coś go szarpnęło. Nieruchomieje i gapi się na *Macierzyństwo*.

Karambol deklaruje pięć stów za telefon. Dostrzega mój uśmiech i mówi, że nikt mi nie da więcej, przynajmniej nie od ręki. Mogę spróbować szczęścia w komisie, dodaje. Złości się, że przyszedłem z takim drobiazgiem. Mówię, w czym rzecz. Ani myślę sprzedawać telefonu. Czy widzi w nim coś niezwykłego?

O Karambolu można powiedzieć wiele złego, ale ten facet zna się na czymś jeszcze poza pułapkami naturalnego planowania rodziny. Kilkukrotnie klika w ekran aparatu i marszczy napuchnięty nos. Mówi to, co już wiem. Aparat wyczyszczono z większości popularnych aplikacji. Jak rozumiem, aplikacja to lista kontaktów albo zielony znaczek ze słuchawką służący do dzwonięcia. Są za to inne rzeczy, nieznanne rozplodowemu Karambolowi. Klika i klika. Wodzi telefonem na wysokości oczu, a gdy skieruje go na *Macierzyństwo*, brew mu zaczyna chodzić jak u porażonego prądem. Nie chcę, żeby bawił się zbyt długo tym cudeńkiem. Moja własność przenośna powraca na stół, a spocony Karambol oświadcza, że nigdy nie widział takich dziwów czarownych, choć życie spędził między złodziejami.



Pytam, co mogę z tym zrobić. Karambol oczywiście nie wie. W jego oczach tańczone chciwość z ciekawością. Chciałby wiedzieć, skąd wytrzasnąłem ten aparat, ale tacy jak on nigdy nie zadają pytań. Nie są też pytani. Deklaruje dobrą pomoc. Instruuje pięciolatka. Malec, karny jak kot w wojsku, potrząsa blond czupryną i znika w ciemnym pokoju, znajdującym się naprzeciwko kuchni. Przez monotonną mowę Karambola przebijają się łoskot i szuranie. Malec powraca z pokrowcem i ładowarką. Karambol kładzie mu na ramieniu ciężką dłoń o sinych paznokciach i prawi komplement: będą z niego ludzie.

Dowiaduję się, że tego rodzaju aparat muszę ładować dwa razy dziennie. Najlepiej, żebym podłączał go do kontaktu przy każdej okazji. Pokrowiec ochroni ekran. Miejsce telefonu jest w wewnętrznej kieszeni kurtki. Na tym kończy się życzliwość Karambola. Dopijamy piwo w milczeniu. Naokoło znów roją się brzdące. Ciągną go do pokoju, gdzie śpią na kupie. Na bajkę. Na walkę poduszkami. Jest zmęczoną gwiazdą, czerwonym olbrzymem otoczonym przez oszalałe komety.

Żegnamy się. Telefon chowam tak, jak kazał. Moja dłoń niknie w jego łapie. Karambol wyraża jeszcze nadzieję, że będę uważał na siebie, i znika ciągnięty przez brzdące. W korytarzu miga mi jeszcze zwalista kobieta w fartuchu. Ludzie myślą, że to jego żona. Ludzie zawsze się mylą. To starsza siostra, chętna do pomocy. Żona Karambola kwartał temu skoczyła na zakupy do Tesco i skacze do dziś. Nikt nie wie gdzie. Może i lepiej. Przecież jak Karambol ją spotka, to zabije albo pokocha na nowo. Trudno orzec, co gorsze. Takie właśnie jest życie.

3.

Opuszczam blok Karambola, ten długi betonowy kloc maźnięty u góry na fioletowo, jakby tam, od szóstego piętra, nigdy nie kończył się adwent. Wyrzebuję chesterfielda i wspominam dobre czasy, kiedy nie musiałem kupować sobie papierosów. Nieszczęsny Kutavaggio. Morderca musiał go znać. Ten cwany szczur nigdy nie otworzyłby drzwi obcemu.

Orientuję się, jak niewiele wiem. Nie mam pojęcia, kto zamordował Kutavaggia, ale przeczuwam, że matula mogła mieć trochę racji i istnieje związek pomiędzy tą śmiercią a telefonem. Wizyta u Karambola nic nie pomogła. Przypuszczam, że z komórką pomógłby ktoś młody, jeden z tych, którym nosy poprzyrastały do ekranów.

Czy zrobiłem błąd? Może powinienem wziąć pieniądze od Janiny? Jak tak dalej pójdzie, skończy się na pięciu stówkach od Karambola. Tak się głowie, ćmiąc szluga, i nagle dzieją się dwie rzeczy naraz. Nokia mi się rozbrzęczała. Nieznany numer. Odczekuję do czwartego sygnału, odbieram. Słyszę kobiecy głos, którego nie umiem rozpoznać. Babeczka pyta, czy ją pamiętam. Trudno mi odpowiedzieć, bo moją uwagę zaprzęta coś innego. Rzucam niedopałek i przecinam Białostocką.

Kobieta przedstawia się i powtarza swoje pytanie. To Kryśka, córka Janiny. Pamiętam ją ze stypy. Udaje zakłopotaną, chwali obsługę, przymila się i wreszcie wyluszcza, w czym rzecz. Chciałaby się spotkać na niezobowiązujące pogaduchy. Kawa czy coś. Odpowiadam, że kawę pija się w domu, ale zapraszam na kielicha. Podaję czas i miejsce. Kryśka cały czas się śmieje. Słyszę, że jestem prawdziwym facetem. Szybko podejmuję decyzje. Niczego się nie boję. Może to prawda, droga Krysiu, ale muszę kończyć.

Muszę kończyć, bo po drugiej stronie Białostockiej stoi zakapturzony gość w białej kurtce puchowej, którego wcześniej widziałem nad Wisłą. Szpieg z niego jak z dupy armata. Na mój widok zaczyna się cofać, uderza zadkiem o fiata, odwraca się i daje w długą. Ja za nim. Leci Białostocką. Roztrąca przechodniów, przeskakuje przez smycz i odprowadzany przez ujadanie yorka wpada w Markowską. Wyciągając kulasy, docieram do zakrętu. Matko jedyna, ależ spierdala! Widać tylko białą kropkę cwałującą chodnikiem. Jaśniej w blasku stacji paliwowej. Gnam co sił i dystans między nami powoli się zmniejsza. Powinienem dopaść go gdzieś na Żąbkowskiej. Skręca w prawo, więc chce dotrzeć do Targowej. I świetnie. Tam światła, tramwaje, przejścia podziemne. Jest mój.

Na Żąbkowskiej zmniejszam dystans do kilkunastu metrów. Sukinsyn leci na rezerwie. Rozrzuca nogi na boki. Wpada na dziewczuchę z kebabem. Dziewucha krzyczy. Mało, a pośliznąłbym się na baraninie w cieście. Jest prawie mój, myślę, i następuje coś niespodziewanego, czyli ciemność. Klękam, kaszlę. Płuca jak osmalony jeź. Nie mogę się podnieść. Przez załazwione oczy widzę białą kropkę znikającą za zakrętem na Targowej.

Mija dobrych pięć minut, dochodzę do siebie. Ocieram twarz brzegiem koszuli.

Zejdę do paczki dziennie, przysięgam. Kelnerzy są dobrzy w biegach, zwłaszcza na krótkie dystanse. Śmiertelnie niebezpieczni, ale na krótkich dystansach. Póki co powtórka z biegu mi nie grozi, więc kolejnego chesterfielda dopalam akurat pod blokiem na Białostockiej. Tym razem Karambol ani trochę nie cieszy się na mój widok. Ja nie cieszę się na jego.

Nienawidzę proszenia o przysługę.

EGZORCYSTA WPADA Z WIZYTĄ

I.

Mamusia oświadcza, że powinienem znaleźć sobie dobrą kobietę. Obwieszcza to, palaszując kanapkę z ogórkiem, rzodkiewką, serem topionym i mortadellą. Zamyka wargi na kromce jak ślimak. Normalnie uwielbia królewskie kanapki.

Ze starymi ludźmi właśnie tak jest. Jedzenie to ostatnia przyjemność, jaka im pozostała. Nikt nie palaszuje z taką pasją jak starcy.

Siedzimy w kuchni naprzeciw siebie. Radio nadaje ściszone modlitwy. Gołębie miotają się na deszczu jak oszalałe anioły, a mamusia wylicza wszystkie znane jej cechy porządnej narzeczonej. Dobra narzeczona umie zrobić zakupy i w życiu nie pójdzie, tak po prostu, do supersamu Pelcowizna. Wie, gdzie sprzedają dobre mięso, a gdzie warzywa. Sprzedawca nigdy nie wciśnie jej zgniłego jabłka. Jest cierpliwa. Potrafi sprzątać. Z awanturą zawsze czeka, aż facet wytrzeźwieje i wyleczy kaca. Przyniesie wodę z ogórków i dopiero potem zacznie wrzeszczeć. Tak właśnie mówi moja mamusia z ustami pełnymi chleba razowego.

W takie poranki uśmiech przychodzi jakby trudniej, dźwigam jednak kąciki warg do góry. Ujmuję jej dłoń i mówię, że przecież mam już taką kobietę i jest nią ona sama. Ta wiadomość niezbyt raduje mamusię. Przelyka niedźwiedzi kęs i przypomina, że nie zawsze będzie ze mną. Martwi się moją samotną przyszłością. Odpowiadam: ma zdrowie jak koń, dociągnie setki albo i lepiej. Macha ręką i znów nawija o dobrej dziewczynie. Najlepiej z dzieckiem. Jeśli kobieta ma już dziecko, nie zachce nowego ze mną. I będzie dbała. Znajdzie w sobie radosną wdzięczność. Świat jest pełen porządných kobiet skrzywdzonych przez niedobrych mężczyzn, słyszę i mam ochotę powiedzieć, że to ja jestem tym niedobrym mężczyzną, niestety.

Mamusia mówi i mówi. Nie chcę tego słuchać i szukam sposobu, żeby jej przerwać. Wyjmuję telefon od Kutavaggia. Zobacz, mamusi, jakie cuda się dzieją! Co w tej Japonii nawymyślali! Mamusia przejmuję aparat, a do mnie dociera szkodliwa idiotyczność tego pomysłu. Łódź spada na kark, lecz jest już za późno. Mamusia trąca ekran raz i drugi. Przegląda zdjęcia. Jej palec zawisa nad telefonem. Moment później kamienieje z otwartymi ustami pełnymi chleba. Drży tylko prawa brew.

Co się stało, mamuś, pytam, choć doskonale wiem. Próbuje zabrać jej telefon. Równie dobrze mógłbym wyrwać miecz z kamienia i tylko deszcz bębni w okna ze zdwojoną siłą. Mamusia wolno podnosi się z krzesła. Sunie do pokoju z telewizorem. Wybałusza oczy przed obrazem Malczewskiego i robi znak krzyża.

Wyrrywam telefon, nim praśnie nim o ścianę.

2.

Wieczorny dom wita mnie zapachem kadzideł i głosem modlitwy. Przepracowałem dwanaście godzin na morderczym kacu, marzę tylko o spokojnym wieczorze z czterema denarkami, lecz czeka mnie coś zgoła innego. Już w przedpokoju brzmi pobożne mamrotanie. Odkładam siatkę i mało nie runę przy zdejmowaniu butów, zaplątany we własną kurtkę i syndrom dnia wczorajszego. Pokój z telewizorem rozjaśnia światło świec.

Na stole stoi srebrny krucyfiks, długi na łokieć, wyciągany z szuflady na Wielkanoc, Gwiazdkę, dzień Matki Boskiej Zielnej i liczne pogrzeby. Przed krzyżem na dywanie klęczy moja matuś. Ma zamknięte oczy, delikatnie maca paciorki różańca, lecz głos, którym odmawia zdrowaśkę, mógłby należeć do pijanego sierżanta ryczącego na pluton. Prócz krzyża na stole widzę opłatki i brązową kopertę otoczoną świętymi obrazkami. Mamusia powoli otwiera oczy i wykonuje znaczący ruch głową. Chce, żebym runął na kolana i dołączył do modlitwy. Ani myślę. Co się tutaj wyrabia?

Mamusia opuszcza różaniec, ale nie wstaje z klęczek. Ponawia swoją prośbę. Rodzina powinna się zjednoczyć w tej straszliwej godzinie. Modlitwa jest dobra na wszystko i nie narodził się jeszcze taki diabeł, który nie drżałby przed mocą krzyża. Słucham tego i stoję. Z ust mamy dobiega syk — chce, bym przynajmniej uszanował znakomitego gościa w naszych skromnych progach.

Po pokoju kręci się ksiądz Mendoza z parafii Najświętszego Serca Jezusowego. Ma ornat i kropidło, a jego mina świadczy o tym, że również nie chce mu się uczestniczyć w tej całej zabawie. Mruży oczy, jakby patrzył w słońce. Jego krępa sylwetka mogłaby należeć do budowlańca, za to pocziwa gęba nasuwa skojarzenie z członkiem bibliotecznego kółka czytelniczego albo filatelistą pobladłym od ślęczenia nad klaserami. Podchodzę, podaję rękę. Mendoza wzdycha z wdzięcznością.

Moja matka uważa księży za świętych, lecz ja mam inne zdanie. To zwykli ludzie, a każdy z tajemnicą. Na tle koloratkowego towarzystwa Mendoza wypada całkiem dobrze. Zwiemy go tak, bo czasem człapie między bliźniami, mamrocząc „mendy, mendy” pod czerwonym nosem. Wierzy w Boga, ale chyba go nie lubi. Nie ma baby na boku, unika ministrantów i nie gra na gitarze. Jeździ starym oplem astrą, rżnie w piłkę z chłopakami z poprawczaka, a w każdy piątek leci do Katolickiego Domu Opieki „Samarytanin podmywać” półprzypadkowych staruszków. Jego smętna dobroć ma swój początek w dniu, kiedy to nawalony po kolędzie przegrał w karty zawartość kopert, a także parafialną furgonetkę i świetlicowy telewizor.

Mendoza pociąga nosem i wraca do machania kropidłem, pozostawiając mnie całkiem osamotnionego. Zaraz wypadnie mu staw łokciowy. Mamusia, widząc, że po dobroci niewiele wskóra, gwałtownie zmienia front. Mówi, że Bóg postanowił mnie napomnieć przez wzgląd na niemoralne życie, które radośnie sobie wiodę. Wszyscy cierpimy za moje pijaństwo, przekleństwa i pracę w niedzielę. Sprowadziłem diabła do naszego domu. Szatan jest sprytny i zawsze znajdzie drogę do człowieka. Dlatego muszę się pomodlić. Muszę błagać Boga, aby znów zamieszkał w naszych czterech ścianach. Zerkam rozpaczliwie na Mendozę, ale ten obraził się na Stwórcę w dniu, kiedy przestała mu iść karta. Opadam na kolana. Cóż, kilka zdrowasiek nikomu nie zaszkodziło.

Ledwo podnoszę się z klęczek, a mamus moja już idzie za ciosem. Pyta, czy przyniosłem do domu jakieś piwo, to złoto głupców przełamane jadłem. No pewnie, że przyniosłem i nawet dam Mendozie, jeśli tylko ma ochotę. Mamusia gardzi tym żartem i znajduje dla denarków inne przeznaczenie. Mam wylać je do ubikacji na znak nowego życia, dedykowanego trzeźwości i modlitwie. Mina księdza wskazuje, że wcale nie życzy mi takiego losu. Powiedziałbym, co o tym wszystkim sądzę, lecz moją uwagę zaprzęta coś innego. Malczewski zniknął ze ściany, pozostawiając po sobie jasny prostokąt w czarnej obramówce.

Już wiem. To nie kadzidła tak pachną. Przecież tu nie ma żadnych kadzideł.

Lecę do łazienki. W naszej małej wannie leży obraz. Konkretnie zwęglone szczątki w połamanej ramie zalane wodą. Wszystko przepadło. Wszystko stracone. Odruchowo sprawdzam, czy telefon — teraz bezużyteczny — wciąż spoczywa w mojej kieszeni. Mamo, co ci strzeliło do głowy? Matula melduje się w progu łazienki. Różaniec zamieniła na siatkę z denarkami i zmierza wprost do sedesu.

Szarpiemy się trochę. Bronię denarków jak niepodległości. Mamus wyznaje, że zbyt długo pozwałała mi kroczyć ponurą drogą grzechu. Mogę zmarnować swe życie doczesne, lecz tego wiecznego stracić nie pozwoli. Bóg przeklął nasz obraz. To znak widomy — demon wszedł pod skórę Jacka Malczewskiego. Pytam mamy, czy zdaje sobie sprawę, co tak naprawdę zrobiła. Odpowiada, że wie doskonale.

Postawiony pomiędzy piwem a oddaniem się Chrystusowi dobrze wiem, co robić. Próbuję odebrać siatkę. Znajduję nieoczekiwanego sojusznika w księdzu Mendozie, który wyrósł w łazience uzbrojony w kropidło. Jego zdaniem diabeł jest jeszcze sprytniejszy, niż ludzie sądzą. Działa właśnie teraz, w tej chwili. Dwoje kochających się ludzi stoi naprzeciw siebie i krzyczy. Prosi, byśmy usiedli i porozmawiali. Inaczej Szatan już zwyciężył. Oczy księdza Mendozy, te dwie szare plamki, świadczą o tym, że jego zdaniem diabelskie zwycięstwo dokonało się już dawno i nic z tym nie zrobimy.

Mama odkłada siatkę na kupkę gazet obok klozetu. Zgadza się z księdzem Mendozą. Co też ten diabeł wyrabia z ludźmi!

Poza tym przed nami jeszcze jedno zadanie.

3.

Mamusia wskazuje szary pakunek oparty o wersalkę, znów pada na klęczki i zaczyna się modlić. Dudnią zdrowaśki. Biorę się za pakunek, a gdy widzę jego zawartość, nie

jestem ani trochę zaskoczony. Ksiądz Mendoza schyla się po kropidło. Zawieszam obraz na oczekującym gwoździu, robię dwa kroki w tył i mam ochotę cmoknąć ze złości i zachwytu. Malczewski, dokładnie taki sam jak poprzednio, wisi na starym miejscu. Nawet rozmiar się zgadza. Mamusia odkupiła.

Mogę sobie klapnąć, tymczasem ksiądz Mendoza rusza do dzieła. Woda święcona uświęca Malczewskiego, mama modli się głośnie i szybciej, a ja czekam, aż to wszystko się skończy i będę mógł zapalić. Idę o zakład, że i ksiądz Mendoza ściągnąłby macha, gdyby nie przybył tutaj w sprawie służbowej.

Siadamy przy stole, na którym wciąż stoi krucyfiks. Zniknęły za to święte obrazki. Mamusia przynosi herbatę, co boleśnie oddała perspektywę ulgi oczekującą w reklamówce. Mendoza wypytuje o nasze życia. Chce wiedzieć, jak sobie radzimy w tych ciężkich czasach. Ujawnia się rozdzwięk w opiniach. Uważam, jest całkiem dobrze, mamusia, że źle. Opowiada o strasznej drożyznie, o dyktaturze aptek, banków i właścicieli nieruchomości. Jej paplanina w jedno ucho wpada, drugim wypada. Ciągłe gapię się na obraz. Mówię w końcu, że czasy mamy takie jak zawsze, a ja zawsze sobie poradzę. Nikt mnie nie zmiążdży. Nikt nie pokona. Tak gadam, nie odrywając wzroku od Malczewskiego.

Mendoza zdążył poluzować koloratkę i niemal dławi się herbatą, tak bardzo chce stąd uciec. Ciekawi mnie, dokąd tak się spieszy. Ja czekam, aż się napiję, lecz on? Co go woła na deszcz? Przecież nie baba ani Bóg, ani butelka. Czyta, gra na komputerze? Rozkłada starą talię kart? Czasem chciałbym wiedzieć, dokąd uciekają ludzie, bo mi samemu ucieczka nawet nie zaświta w głowie. Mam jednak wrażenie, że Mendoza daje dyla w pustkę, przynajmniej kiedy ściskam jego mokrą, zmęczoną dłoń.

Mamusia odprowadza księdza dobrodzieja aż do drzwi. Sięgam po aparat, chcę zrobić zdjęcie, lecz nawet nie muszę.

Opuszczam telefon. Obraz jak obraz. Podnoszę. Znów te potworności. Przyglądam się im przez chwilę, zapominając o bożym świecie. Z tym, co wyrabia się na ekranie, Bóg raczej nie miał nic wspólnego. Mamusia dostałaby zawału na ten widok, lecz na szczęście, pożegnawszy Mendozę, zniknęła w łazience.

Zaczynam rozumieć.

Telefon jest jak filtr. To nakładka na rzeczywistość. Jak przez niego się gapię albo robię zdjęcie, czasem widzę coś innego. Mamusia się myliła. Obraz nie był przeklęty. Ten nowy, widziany przez aparacik Kutavaggia, zmienia się dokładnie tak samo. Omiatam cały pokój. Wszystko po staremu. Wracam do obrazu — znowu potworności. Autoportret Malczewskiego w zbroji znają wszyscy, nawet za dobrze. Kutavaggio wziął obraz za wzór, zmienił. Macie rozwiązanie tajemnicy. Tylko czemu tak się namęczył? I co jeszcze przerobił? Teraz już rozumiem, dlaczego wszyscy wyskakiwali z forsy, żeby mieć telefon.

Pytania harczą w głowie, więc trzeba je potopić. Przynajmniej ten dzień zyska szczęśliwe zakończenie. Ruszam po moje denarki. Otwieram drzwi łazienki, akurat by zobaczyć, jak mamusia wylewa zawartość ostatniej puszkii do klozetu.

MÓJ WŁASNY RYCERZ

I.

Nienawidziłem Kutavaggia, ale nie bardziej niż innych. W mojej nienawiści nie znajduje nic niesprawiedliwego.

Był próżny, głupi i pretensjonalny, ale ludzie właśnie tacy są. Baryton to otyły dureń, który przedawkował Internet. Karambol był tak pewny siebie, że oszczędzał nawet na kondomach. Kutavaggio wcale się od nich nie różnił. Bawi mnie, że o tym nie wiedział. Z tego powodu próbuję myśleć o nim ciepło.

W Balatonie grał wielkiego księcia, ale spod rozchełstanej koszuli, z kieszeni naphanej stówkami, z niezdarne zasnurowanych butów wylał mały chłopczyk, który najbardziej na świecie boi się, że mama przesoli zupę.

Przynajmniej był ciekawy. Tyle dobrego mogę o nim powiedzieć.

Zalety ludzi to ocean nudy. Najczęściej ziewamy w towarzystwie filantropów. Konglomerat wad bywa jednak interesujący. Żył między nami człowiek małostkowy i pyszny,

agresywny hipochondryk, wielki pan znienawidzony przez najbliższych — Kutavaggio. Rozumiem to i wybaczam. Inaczej nie umiał.

Ale był artystą i tego już wybaczyć nie umiem. Oczywiście Kutavaggio nie zajmuje specjalnego miejsca w moim sercu. Nienawidziłem go na równi z innymi malarzami, a także pisarzami, aktorami i autorami instalacji wizualnych. Na całym świecie nie znajdziecie gorszego szajsu niż sztuka. Artysta do wora, wór do jeziora. Świat zaraz stanie się lepszy. Ocaliłbym tylko powieści Jacka Higginsa i Alistaira MacLeana.

Twórcy brodzą w zatrutym źródle i chlapią tym jadłem w twarze innych. Oferują marzenia, które nigdy się nie spełniają: miłość po grób, przyjaźń na śmierć i życie, tęsknotę za rajem utraconym czy innym kurwidółkiem. Z drugiej strony pesymizm tych wszystkich Werterów z Bożej łaski jest rozpaczą panienki na próżno czekającej pod jednostką wojskową.

Rozumiecie, nie ma takich rzeczy. Jeden debil naogląda się filmów o miłości i poleci takiej szukać, zamiast siedzieć spokojnie przy swojej starzejącej się żonie. Inny zapragnie żyć naprawdę, mocno i w zgodzie ze sobą, po czym za rok znajdziecie go martwego na dnie butelczyny.

Artysta mówi rybie, że może fruwać. Przekonuje tygrysa do sałaty i kielków. Uczy wiernych niewierności i narzuca habit na ciała rozpustników. Za tę działalność zamiast fangi w nos dostaje stypendia i programy w telewizji.

Ze wszystkich artystów najgorsi są ci od pędzelka, malarstwo to najpodlejsza ze sztuk. Wiem, bo dekadę temu malarstwo zniszczyło mi życie.

2.

Jak zamknęli Kameralną, myślałem, że wszystko będzie dobrze. Byłem kelnerem na sto dwa, świat należał do mnie. Zaraz znów mnie zatrudnią, wrócą sute napiwki, jaś wędrowniczek na lodzie i koniaczek w Wiedniu — tak sądziłem.

Ale okazało się, że nie ma już prawdziwych restauracji i nikt nie potrzebuje zawodowych kelnerów. Wystarczy chińskie żarcie i tępą studentka chlapiąca carbonarą na niedomyty talerz. Innymi słowy, nikt nie oferował pracy na miarę możliwości.

Wyprowadzałem psy, dojeżdżałem do drukarni na nocki, robiłem w ochronie za trzy pięćdziesiąt i podcierałem zady wrednym staruszkom. Ani na moment nie zwątpilem w siebie. Byłem pokorny i czujny. Czekałem na wielką szansę.

Szansa miała wąsy jak kutas z pornola, białe skarpetki i mokasyny z krokodylej skóry. Facet nazywał się Kamil, lecz w swoim środowisku był znany jako Sikora. Ten sympatyczny ptaszek słynie z tego, że wypija więcej, niż waży.

Podobno karierę przedsiębiorcy zaczynał, stojąc pod Pewexem, przegryzł gardła tuzinowi konkurentów i nosił po kieszeniach otluszczone wizytówki z numerami do Waldka Pawlaka i Kwaśniewskiego. Słyszałem, że ma sieć kantorów, sprowadza telewizory z Chin i zelówki z Mozambiku. Przed Sikorą drżała każda baba na Stadionie Dziesięciolecia. Nie wiem, czy to prawda. Ważne, że potrzebował prywatnego kelnera do swojej posiadłości w Milanówku.

Dom przypominał pałac cygańskiego króla. Na ścianie wisały skrzyżowane szable, po kątach kurzyły się zbroje i popiersia kobiet o obfitych biustach. Spluczka w kiblu kapłała złotem. W drzwiach i oknach było więcej luków, niż miała Złota Orda. Stąpałem po niedźwiedzich skórkach. Z mojego pokoiku rozciągał się widok na staw i łąkę, po której hasały konie. Wylądowałem w siodle, można by rzec.

Ze stu pokoi jeden przypadał na prywatną galerię sztuki. Sikora znał się na malarstwie jak świnia na gwiazdach, ale uważał, że każdy światowy człowiek musi mieć w domu ze dwadzieścia obrazów — jako dowód dobrego gustu, ale i inwestycja. Faktycznie lubił zachodzić do tej galerii. Zasiadał w fotelu, rozdziawiał tępą gębę, a ja musiałem donosić mu drinki.

Miał tam jakieś Fangory, Ociepki i Marczyńskie, ale perłą kolekcji był autoportret Malczewskiego w zbroi. Sikora lubił sądzić, że ten obraz jest wart tyle co cała posiadłość. Zapytałem, skąd go wytrzasnął. W końcu to dobro narodowe czy coś takiego. Roześmiał się, zakrztusił wodą i rzekł, że dla takiego człowieka jak on nie istnieją rzeczy niemożliwe.

Był całkiem miły — jak większość ludzi, którzy nie mają żadnych skrupułów w krzywdzeniu innych. Uwielbiał przyjęcia i zgrywał króla imprezy. Raz wyciągnąłem go nieprzy-

tomnego z basenu i wypychałem powietrze w cuchnące wodą usta. Kiedyś, po całonocnej balandze na płatkach róż, z szampanem chleptanym z oblodzonych kieliszków, wskoczył na konia, chwycił drąg i ryknął, że rusza na Wiedeń. Goniłem go po całym Milanówku. Było wspaniale, zwłaszcza że skacowany i skruszony Sikora przepraszał mnie banknotami.

Znów żyłem zgodnie ze swoim nazwiskiem. I znów się skończyło.

Na balangach pojawiało się coraz mniej gości. Zniknęli politycy, właściciele stacji telewizyjnych i inni biznesmeni. Pozostały plotki liczące na darmową wodę, dziennikarze i inna hołota. Sikora uśmiechał się coraz szerzej, mówił coraz więcej, jakby próbował odepchnąć klęskę samą gadaniną. Co gorsza, przestał płacić.

Najpierw skończyły się stówki dawane ekstra, po pijaku, kiedy coś zbroił. Potem wypłacał połowę tygodniówki, obiecywał, że niedługo odda resztę z nawiązką, ścisnął, zionął i nazywał jedynym przyjacielem. Chyba rzeczywiście nim byłem, bo dom opustoszał. Sikora miotał się między cichymi ścianami i urżnięty w sztok próbował skakać na główkę do basenu bez wody.

Zostałem z nim, żeby się nie zabił. Liczyłem, że wyjdzie na prostą i mnie spleci. Dokąd miałem wracać, do mamy? Po prostu nie umiałem go opuścić. Do czasu.

Pewnego poranka do chałupy na pełnej kurwie wbili mundurowi. Nagle zrobiło się niebiesko jak w pieprzonej wiosce smerfów. Mieli tarany, maski, tarcze, karabiny. W tym wszystkim był też ogłupiały, pijany Sikora. Bełkotał i podnosił ręce za głowę.

Gdy przez uchylone drzwi widzisz trzech policjantów pędzących w twoim kierunku, rozumiesz, że sprawa przepadła. Żegnajcie, pieniążki kochane! Do widzenia, panie Sikora! Popędziłem przez posiadłość. Wyskoczyłem razem z oknem, wpadłem między oszalałe od huku konie, poleciałem dalej między drzewa i przeskoczyłem przez ogrodzenie. Przez Milanówek szedłem, szukając cienia, przerażony. Bałem się, że ktoś mnie zobaczy w ten fatalny poranek. Biegło się ciężko. Bałem się ciekawskich spojrzeń.

Pod pachą niosłem zerwany ze ściany autoportret Malczewskiego.

3.

Nie sztuka ukraść sztukę, sztuka sprzedać sztukę skradzioną. Malczewski był gorący jak pozytywny test ciężowy. Mama zaraz powiedziała, że ten obraz ściągnie na nas nieszczęście. Oczywiście wiedziałem swoje i poleciałem do Karambola.

W tamtych dobrych czasach Karambol miał nieulekłe serce i głowę pełną fantastycznych pomysłów, za to nie posiadał dzieci. Sprowadzał dzinsy z Bochni, zdejmował SIM-locki i cały czas gadał, kogo to nie zna i jakich interesów zaraz nie zrobi. Powiedziałem mu, co trzymam za łóżkiem, a on obwieścił, że trafiłem pod właściwy adres. Zna marszandów i kolekcjonerów, towar upłynni po cichu i z zyskiem.

Ustaliliśmy procent i Karambol porwał tego Malczewskiego. Do dziś nie wiem, czemu tak postąpiłem. Równie dobrze mógłbym dać owieczkę w depozyt krokodylom.

Trzy dni później Karambol wleciał do mnie razem z drzwiami. Miał obity ryj i kurtkę rozdartą na plecach. Za nim wtoczyło się trzech takich, których łatwiej przeskoczyć, niż obejść. Jeden w wielkich łapach trzymał autoportret Malczewskiego. Prasnął mnie ramą w łeb, a potem wzięli mnie na buty.

Nie jestem ułomkiem, ale tutaj naprawdę nie miałem wiele do gadania. Chroniłem głowę i części rozrywkowe. Karambol kulął się pod ścianą. Mama odmawiała zdrowaśki i próbowała kropić tych trzech wodą święconą. Jeden powiedział, że wykonują tutaj wolę Bożą, karząc mnie za grzechy. Przydzwonił mi raz jeszcze tą ramą i sobie poszli.

Powinieniem był udusić Karambola, ale byłem nazbyt zajęty zbieraniem własnych zębów z podłogi.

Obraz okazał się taną reprodukcją, jednym z tych knotów, które sprzedają pod Bramą Floriańską w Krakowie. Jak znam życie, Fangory i Marczyńskie również były fałszywe. Nic dziwnego, że Sikora poleciał na durny łeb do pudła. Gdybym wiedział, utonąłby w tym pieprzonym basenie.

Zamiast forsy za autoportret Malczewskiego miałem rozbitą głowę, połamane palce i żebra. Do tego musiałem zapłacić za nowe drzwi i koronki u dentysty. Pojechali mi po jedynkach. Tak znienawidziłem artystów i ich wstrząsającą twórczość. Przygoda ze sztuką kończy się obitą mordą albo i czymś gorszym. Przejdźcie się na grób Kutavaggia, jeśli nie wierzycie.

Gdy wróciłem od dentysty z obolałą mordą i ręką w gipsie, zobaczyłem autoportret Malczewskiego w tej pieprzonej zbroi wiszący u nas w dużym pokoju. Mama zamówiła nową ramę. Zapytałem matulę, co to znaczy, a ona uśmiechnęła się złośliwie i powiedziała, że obraz zostaje u nas i żebym nie śmiał go wyrzucić.

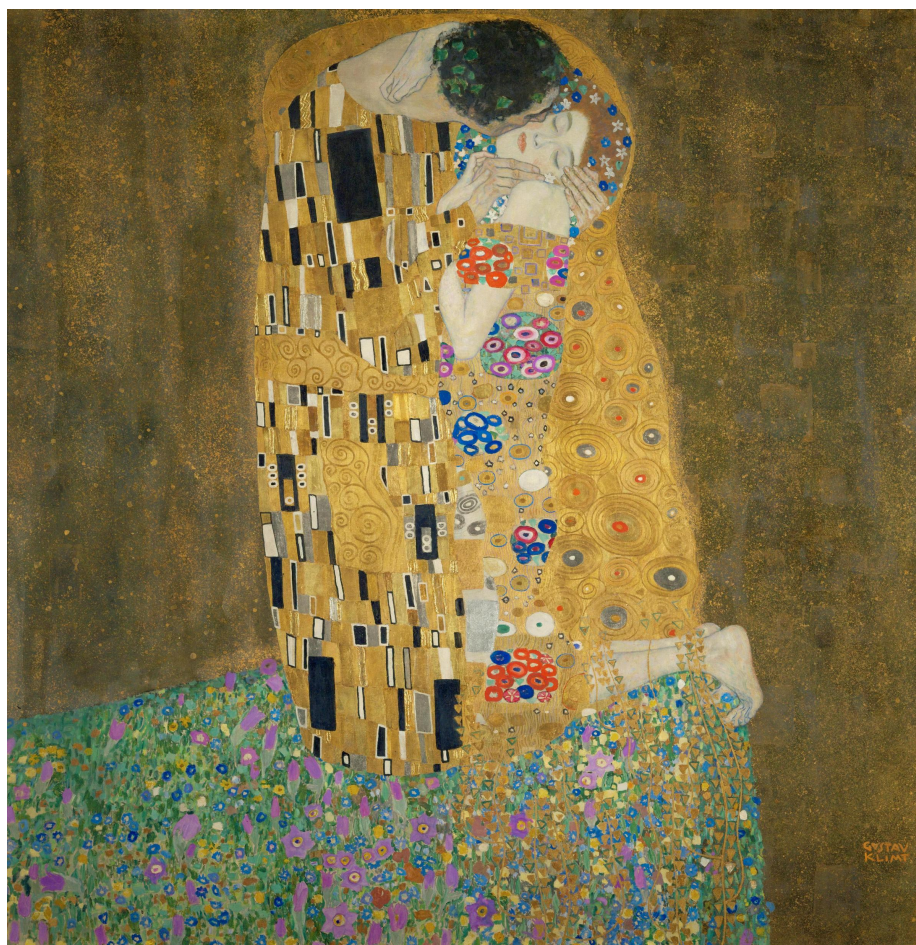
Ten chłop z brodą i w zbroi, z tym spojrzeniem starzejącego się narcyza, miał być lekcją dla mnie. Wisi do dziś i przypomina o konsekwencjach chciwości.

DOBRA KOBIETA

I.

Kryśka pojawia się przed szatnią restauracji Lotos odziana w skórzaną kurtkę sięgającą połowy pleców i sukienkę nałożoną na dżinsy. W głębokim dekolcie tańczy wisiorek. Przez obręcze kolczyków mógłbym przeciągnąć przedramię do łokcia. Obcasy jak krowie rogi. Zrywam się z krzesła. Owiewa mnie zapach piżmowych perfum. Całuję w rękę. Kryśka muska mój policzek tak, aby nie zostawić szminki. Uśmiech strąca puder z kurzych łapek wokół oczu.

Kryśka przytargała ze sobą wielobarwną parasolkę, chociaż nie pada. Pytam więc o to, a ona odpowiada, że ma dwie parasolki, jedną na słońce, drugą zaś na deszcz. W ten sposób tanimi środkami buduje mur pomiędzy sobą a zjawiskami atmosferycznymi. Przyglądam się chwilę i już wiem, czym są esy floresy. Parasolkę zdobi *Pocahunek* Klimta. Pytam się Kryśki, czy to pamiątka z czasów studenckich. Głupie dziewczuchy często jarają się Klimtem, ale Kryśka chyba nie jest głupia. Mówi, że parasolkę dostała od Kutavaggia na imieniny. Jedyne prezent, jaki kiedykolwiek od niego otrzymała, dodaje bez smutku.





Zdejmuję jej kurtkę i podaję szatniarce przysypiającej pod kopią plakatu chwalącego plan sześćioletni. Sukienkę Kryśki zdobiją japońskie kwiaty oraz tygrys. Prowadzę dziewczuchę do stolika i odsuwam czerwone krzesło, nim siądzie. Z sufitu zwisają abażury z ciemnego bambusa, a ścianę zdobiją gałęzie splecione w kształt kwiatów i liści. Chłopy w białych koszulach walą wodę i zagryzają tataram, za to jedyna kelnerka nie ma nawet fartuszką, tylko szarą bluzkę z rozcięciem powyżej piersi. Szmał zgarnia do torebki, którą ma przepasane suche biodra. Kryśka mimo swoich lat wygląda jak królowa i nawet próbuje udawać, że podoba jej się w Lotosie. Wodzi wzrokiem po białych zasłonach sięgających ziemi, po zdjęciach ze starych imprez sylwestrowych, by zatrzymać spojrzenie na dalekim barze. Znaczy: jest pijąca, co mi dobrze wróży.

Usiłuję ściągnąć wzrokiem kelnerkę zajętą stolikiem świń w białych koszulach. Mówię, że odkąd wyremontowali Mozaikę, Lotos jest ostatnią prawdziwą restauracją w Warszawie, co trochę rozbisurmaniło obsługę. Przychodzili tu Waldorff, Wilhelmi i Lech Falandysz. Gdy Polański jest w Polsce, zawsze wpada do Lotosu. Kryśka wątpi w moje słowa. Jej zdaniem Polański wynajmuje sobie całe piętra w hotelach i ma własnych kucharzy. Ciągnąc tę radosną bajkę, opowiadam o swojej wielkiej przyjaźni z Polańskim, którego pewnego wieczoru wyprowadziłem tylnym wyjściem z Kameralnej, ratując przed tłumem rozkochanych małolat, wprost w ramiona małolaty przez niego upatrzonej. Dostałem za to butelkę whisky, karton czerwonych marlboro i dwieście dolarów wyszarpanych z portfela z krokodylej skóry. Kryśka słucha tego, wierzy albo dobrze udaje. Na szczęście zjawia się kelnereczka. Pora zamawiać alkohole.

Winszuję sobie setkę na lodzie i gin z tonikiem dla mademoiselle. Kryśka puszcza oko i przez moment trapię się, że przejrzała tę sztuczkę. Kobiety są różne, lecz łączy je jedno — wszystkie toną w ginie z tonikiem niby szczenięta zawinięte w wór i ciśnięte do rzeki. Chłęczą tę mdłą słodkość, z każdą kolejną szklaneczką śmieją się coraz częściej, wreszcie

tak jakoś wpadają w ramiona, no a potem — wiadomo. Nigdy nie spotkałem takiej, która by przeszła próbę tego trunku, a już z pewnością nie będzie to Kryśka. Osusza szklankę w pięć minut i winszuje sobie jeszcze.

Pozwalam jej mówić. Kobiety ponad wszystko pragną być wysłuchane, bo nikt o zdrowych zmysłach nie ma sił na gadanie o kosmetykach, byłych facetach i durnych kolegach. Kryśka przynajmniej ma gadane. Bez przerwy rechocze. Jest scenografką w teatrze i o aktorach ma jak najgorsze zdanie, co dobrze o niej świadczy. Trzyma w domu trzy koty. Czyta książki do świtu i pasjami ogląda te wszystkie amerykańskie seriale, które wymyślono tylko po to, by ludzie nie wychodzili już na ulicę. Raz w miesiącu chodzi potańczyć, ale dziś nie jest ten dzień. Kładzie dłoń na stole. Obok pojawia się moja. Zamawiam kolejny gin z tonikiem. Pora na jedzenie. Kryśka ma ochotę na eskalopki cielejące w sosie grzybowym. Prosty rachunek każe mi się zadowolić zrazem zawijanym. Kryśka je drobnymi kęsami, choć w jej oczach widzę, że najchętniej napchałaby usta mięchem, aż by nosem wyszło.

Jeśli jedzenie, to i papieros. Stoimy przed Lotosem, patrząc w stronę skrzyżowania. Samochody rozjeżdżają się we wszystkich kierunkach jak gołębie o podpalonych ogonach i Kryśka nieoczekiwanie mówi, że to miasto oszalało i nigdy nie będzie już dobrze. Czuje się samotna. Trudno mi odpowiedzieć. Kryśka chwije się na swym obcasie i muszę ją podtrzymać. Jej ciało jest twarde jak karoseria. Dotyk trwa tylko moment. Pstrykam niedopalek. Kryśka swój dusi pod butem. Wracamy. Znow zdejmuję jej kurtkę, znow odsuwam krzesło, ale tym razem siadam tuż obok. Kryśka wypija pół szklanki i mówi, że tacy faceci jak ja — szarmanccy, pewni swego, walący wódę na szklanki — to rzadki cud, diament w koronie stworzenia.

Rewanżuję się podobnym komplementem i zamykam jej dłoń w swojej. Odpowiada pieszczotą, lecz palce są zimne i spięte, jakby oczekiwały porażenia prądem. Wystarczy spojrzeć w te smutne oczy, abym się upewnił. Przepraszam ją bardzo. Puszczam dłoń. Siadam z powrotem po drugiej stronie stołu. Kryśka znieruchomiała. Przełykam ślinę i mówię, bardzo powoli, że przyszedłem tutaj tylko po to, by zasięgnąć języka. Po to mi cały cyrk z uwodzeniem. Zgoda, jestem fiutem. Ale porządnym fiutem. Ty, Kryśka, też jesteś w porządku. Zaraz zadzwonię po taksówkę, która odwiezie cię do domu.

2.

Kryśka opiera się o krzesło i natychmiast przechyla do przodu, splatając dłonie na białym obrusie. Stwierdza, że przyszła tutaj, bo Janina, wierząc jej dziurę w brzuchu, przebiła się niemal do kręgosłupa. Planowała mnie uwieść i wydobyć telefon, tylko tego nie zrobi, gdyż wcale jej się nie podobam, choć porządny ze mnie fiut i klawy gość. Nie podobam, bo żaden facet jej się nie podoba. Robi w mniejszościach i jeśli znam jakieś świńskie żarty na ten temat, lepiej, żebym powiedział je teraz. Żaden dowcip nie przychodzi mi do głowy. W gruncie rzeczy nie wiem, co powinienem gadać. Siedzimy i patrzymy na siebie. Krystyna odsuwa szklankę z ginem i tonikiem. Pyta, czy wreszcie może napić się wódki. Nie wiem, które pierwsze parska śmiechem, ale dałbym głowę, że robimy to jednocześnie.

Na stole pojawia się oszroniona półlitrowka i dwa kieliszki. Domawiam po tatarze. Trącamy się. Kryśka wali łufę i nawet jej nie otrzepie. Opowiadam jej o Barytonie i jego lśniącym palcu, o głupich klientach, Karambolu, jego kłopotliwych brzdącach i nieszczęśnikach snujących się po Pradze. Snują historie z wojska i złotych lat w Kameralnej, kiedy forsa spływała rzeką, a klienci z cyferkami w głowach dawali się robić jak dzieci. Pewnego razu, mówię, chłop schlał się i zjechał pod stół. Nie było jeszcze południa. Z kumplem przenieśliśmy go na parapet, przykryliśmy obrusem, zzuliśmy buty i przyczepiliśmy karteluszek do palucha. Każdemu, kto przyszedł i zapytał o tego gościa, tłumaczyłem z kamienną twarzą, że klient nam zgał i czekamy na spóźniającą się karetkę — widomy dowód kryzysu w służbie zdrowia. Kryśka odmawia wiary. Odpowiadam, że to prawda najszczerza, inaczej niż z Polańskim.

Walę łufę. Słucham opowieści o artystach, o tym, jak pijani spadali z najważniejszych scen w Polsce. Pewien aktor, grywający głównie arystokratów i profesorów, tak się urżnął, że rozebrał do naga, wlał na słup energetyczny i dał się, że pragnie być wolny. Gdy skutego milicja targała do suki, był jeszcze głośniejszy. Była połowa lat osiemdziesią-

tych i władze nie wiedziały, czy oskarżyć go o sianie zgorszenia, czy może próbę obalenia ustroju. Bach! Słucham też o Janinie. To nie jest zły człowiek zdaniem Krystyny. Tylko okropnie lubi rządzić i bardzo się boi. Niedługo umrze. Drży o los dzieci. Ona, Kryśka, doskonale sobie poradzi. Nie chce pieniędzy po Kutavaggiu. Za to Paweł nie trafi do kibla, gdy zabraknie Janiny. Widziałem też Emka, co on ze sobą robi? Ci ludzie są straceni bez forsy po Kutavaggiu, trapi się Krystyna i nagle zaczyna rechotać. Kutavaggio! Lepiej nie dało się nazwać tego starego sukinsyna.

Żeby zmienić temat, pytam, dlaczego jest lesbijką. Czemu, u diabła, kobiety zostają lesbijkami? Kryśka radzi, żebym popatrzył na siebie. Faceci są nieogarnięci, do tego cwani i durni. Trudno chyba o gorsze połączenie. W dodatku nudni jak Gomułka, dodaje, i znów trudno z tym się zgodzić. Pytam w takim razie, co zrobimy z tak pięknie zapowiadającą się nocą, skoro w butelczynie już świta dno. Sięgam po portfel. Kryśka uprzedza mnie, ciskając stówkę na stół. Mówi: zabierz mnie na wódkę.

3.

Idziemy przez noc i deszcz, poszukując świtu.

W knajpie na Puławskiej siedzą sobie skurwysyny. Mordy znane z gazet, z telewizji żłopia pszeniczne piwo, wgrzyzają się w nachosy z topionym serem i głowią nad tym, jakby tu uratować demokrację. Mają złote zegarki, bluzy sportowe i mówią do siebie wyłącznie zdróbieniami. Pochylają się nad losem człowieka pracy i przeklinają kelnerkę, która nie wyrabia z zamówieniami. Siadamy tylko na chwilę. Po kieliszku. Na blat naszego stolika zaraz zwała się siwiejący chłop z wargą zwisającą w rejonach kolana. Wpada w ramiona Kryśki, która posyła mi rozpaczliwe spojrzenie. Chłop siada i paple o swoich nowych projektach, o tym, jak ciężko pracować pod faszystowskim reżymem, i o swoim jamniku, który zapadł na nosówkę. Wreszcie mnie spostrzega i pyta, kim jestem. Odpowiadam, że gdybym się przyznał, musiałbym go zabić. Chłop bezskutecznie czeka, aż się uśmiechnę, i znika.

Po drodze do centrum rozpijamy małąkę wiśniówki nabytej w Salonie Monopolowym Źródółko. W rejonie placu Unii Lubelskiej owiewa nas lekki zapach marychy, tężejący aż do placu Zbawiciela, gdzie z niewiadomych przyczyn banda młodych dorosłych stoi na zimnie przed knajpą, zamiast ogrzać się w środku. Ponieważ Corso jest już zamknięte, zahaczamy o bezimienny lokal u zbiegu Koszykowej i placu Konstytucji. W piwnicznym pomieszczeniu można palić. Telewizor nadaje program sportowy. Pachnie rozlanym piwem. Barman wygania dwóch muskularnych pijaków, którzy zjawili się z kubelkiem z KFC. Błaty się lepia, co nie przeszkadza Kryśce w wyginaniu się jak kotka. Wspomina, że bywała tutaj jeszcze na studiach, kiedy wierzyła w Beatlesów i Tadeusza Kantora, kiedy do wódki trzeba było kupić śledzia, a piwo smakowało bimbrem. To nasze wspólne wspomnienia. Tylko z Kantorem jakoś mi nie po drodze.

Dwaj młodzieńcy za piętnaście złotych zyskali prawo do spałaszowania zawartości kubelka, a my idziemy dalej, nie patrząc na zegarek ani na zawartość portfela. Gdzieś przed placem Trzech Krzyży wywiązuje się mała sprzeczka pomiędzy mną a drabem również drałującym z dziewczuchą. Łokieć wystawił, myślał, że przejdzie. Odwracam się, unoszę piąchy, a tamta dziewczucha już skacze z pazurami; Krycha przestraszona, bezbronna. Na szczęście typ odciąga swoją dziewczuchę i nagle sobie nawzajem z tym typem tłumaczymy, że nic się nie wydarzyło, i napina się między nami nic zrozumienia, by zaraz strzelić, pchnąć nas w dwie różne strony Warszawy.

Gdzieś w bramach Nowego Świata Kryśkę opada wódczany smutek, konieczny gość w takiej godzinie. Wodzi palcem po brzegu kieliszka. Wyznaje, że w jakiś sposób skazała siebie na samotność i nie ma ochoty wychodzić do ludzi. Za dużo rozczarowań, zbyt wiele krzywd. Dlatego nie zabiega o spadek po Kutavaggiu. Wyświadczył jej mnóstwo złośliwości. Zawsze poniżał. Uważał, że do niczego się nie nadaje. Najgorszy był, gdy zajmowała się Emkiem. Matka chłopaka wyjechała. Ojciec dawał szmal i tyle. Późne dziecko, smutny los. Kryśka próbowała się nim opiekować, a Kutavaggio laził po mieście i gadał, że chowa mu syna na pedała. Potem Emek wyrwał się na wolność i zaraz będzie po chłopaku. Tym razem jej ręka jest miękka i ciepła. Mówię, że nie można uratować człowieka, jeśli on sam sobie tego nie życzy. Jak pomóc komukolwiek wbrew jego woli?

Ledwo sami siebie umiemy ocalić, dodaję, a Kryśka kiwa głową i milknie na stanowczo zbyt długo.

Świt witamy nad Wisłą, niedaleko Kopernika, patrząc na barki zanurzone w brei i psiarzy kręcących się na drugim brzegu. Wokoło naszej ławki leżą plastikowe kubki i puste butelki. Chrząszczą tramwaje. Niesie się gwizd kogutów policyjnych. Na zewnątrz nas zimno, a wewnątrz ciepło. Kryśka wtula się we mnie. Otaczam ją ramieniem. Zaraz się rozejdziemy i żadne nie zadzwoni. Tak będzie. Tak musi być. Niewielkie uklucie żalu łagodzą słowa wyszeptane w ucho. Kryśka mówi, na złość zmarłemu i Janinie, że Kutavaggio przed śmiercią pracował nad wielkim dziełem, wartym górą szmalu. Nie zdradził, co to takiego. W jego mieszkaniu nic nie znaleziono, ale Janina twierdzi, że jedną kopię zapisał tak, aby mieć ją zawsze przy sobie. Zgaduj zgadula gdzie, mówię do siebie, a może mówi to Krystyna, która całuje mnie w policzek i odchodzi w stronę postojów taksówek.

BEZ LITOŚCI

I.

Prawdziwy mężczyzna nie ma dla siebie litości. Jest sobie wrogiem we własnej sprawie.

Wiadomo, o kim mowa. O gościach, których mama nie kochała w dzieciństwie, więc leżą do późna w swych szerokich łóżkach, antydepresanty żrą na chochelki i ganiają do terapeutów, którzy potem mają z nich bekę. O męskich pizdach zafrasowanych swymi uczuciami do tego stopnia, że potrafią uzależnić od nich swe bezwolne życia. O frajerach, co wciąż mówią: nie dam rady, za trudne, potrzebuję odpoczynku, choć właśnie wrócili z wakacji all inclusive i mają już ustawionego squasha na siedemnastą. O tchórzach, którzy chcą być nieoceniani, akceptowani i wyjątkowi, a przede wszystkim o takich, którzy po czterech piwach mają takiego kaca, że nie idą do roboty i błagają umęczone żony, by zrobiły zakupy i zajęły się dziećmi. Mężczyzna się nie skarży. Mężczyzna nigdy nie prosi, aby go wyręczano. W gruncie rzeczy mężczyzna nigdy nie prosi o nic, choć tego poranka mam niewielką ochotę błagać Boga, by oderwał mi głowę, zsyłając wieczny spokój.

Twarz piecze, jakby pokrywały ją setki drobnych zadrapań. Oczy są suche. Zęby pokrywa papierosowy osad. Żołądek jest ciężki od trucizn. Siedzę chwilę na brzegu łóżka i swoim zwyczajem idę zapalić. Trzęsąca dłoń ledwo trzyma szluga. Nikotyna rozpycha mi się pod policzkami. Oczy łzawią. Gnę się w ataku kaszlu, a ból łba atakuje z taką mocą, że mamusia zmienia się w rozedrgany cień. Synu mój, synu, cóżes ty uczynił! I jeszcze kopczę! Podchodzi, w oczy zagląda, marszczy nos, gdyż zionę. Powinienem się położyć. Powinienem pójść do ośrodka zamkniętego, gdzie leczą takich jak ja.

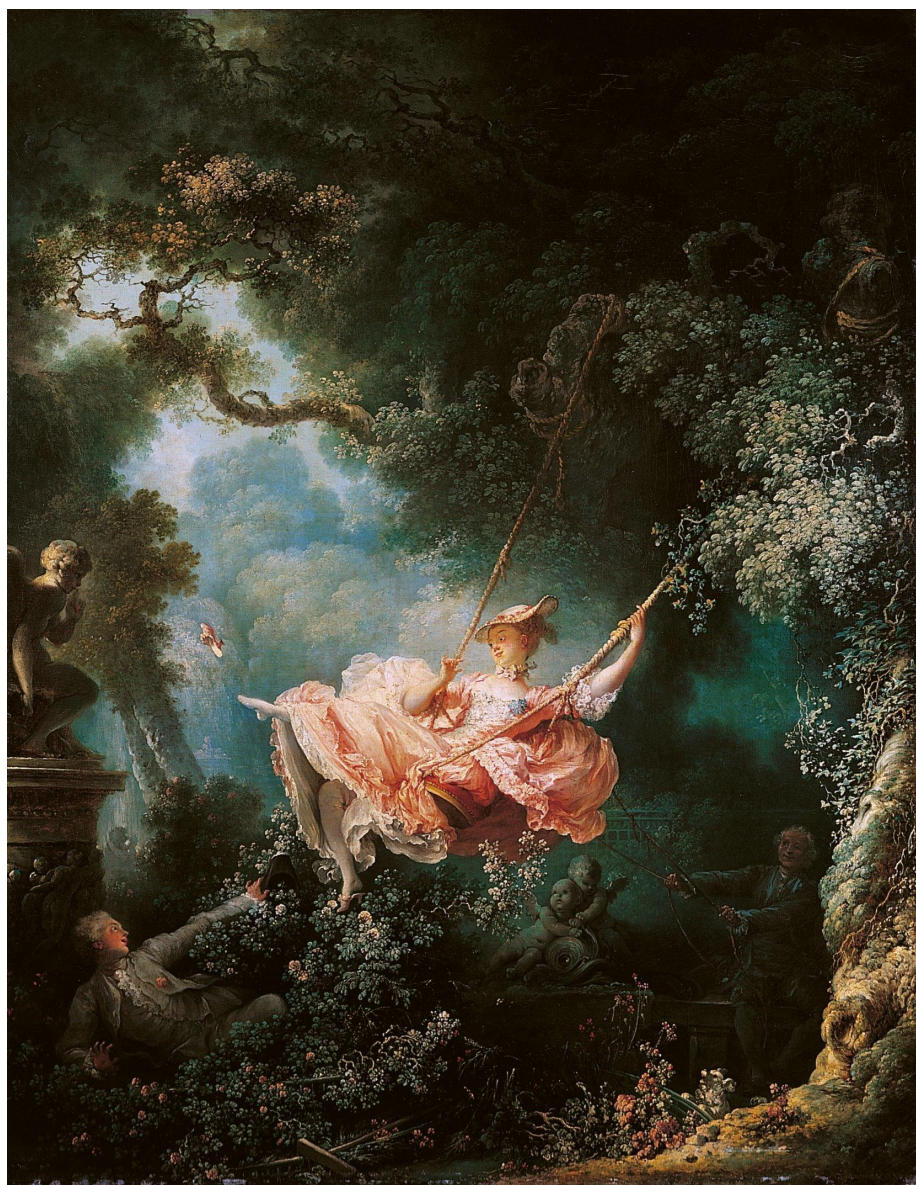
Odpowiadam mamie, że nie jestem chory, tylko zmęczony, a to różnica. Nalewam oliwy do szklanki na palec. Chlust. Znikam w łazience. Cóż, nie wyglądam na następcę tronu, co zaraz się zmieni. Spod wanny wyciągam ćwiartkę wódki, wypijam ćwiartkę z tej ćwiartki i nie bez żalu umieszczam na powrót w skrytce. Biorę prysznic, płynnie zmieniając temperaturę wody. Raz zimno, raz gorąco. Długo myję zęby, golę się i niemal zalewam twarz wodą kolońską Brutal, żeby nie ziać klinem. Na okoliczność tego poranka kawę zaparzam w imbryczku, a nie po turecku. Odsmażam plastry boczku i ku rozpaczyci mamusi ciskam na patelnię dwa jajka wprost ze skorupki. Skwierczą żółte oka. Tłuszcz cieknie po brodzie i widelcu. Po południu zamówię sobie pizzę i poczuję się jeszcze lepiej. Mamusia tymczasem wygłasza przemowę o trzech czarnych królach, co prowadzą mnie do grobu: alkohol. Nikotyna. Cholesterol.

Zakładam czyste ubranie i mówię mamusi, że wszystko ze mną dobrze. Jestem nie do zajebania. Człowiek traci tylko to, o co się troszczy. Biegacze, których widzę nad dietetycznym obiadem, pójdą do piachu pierwsi. Dusze towarzystwa umierają samotnie. Mamusia przetrwała lata przy szczęcie, popijając koniaczek albo herbatę z rumem. Obejmuję ją mocno. Całuję w dłonie i zbiegam po schodach, z każdym stopniem zyskując nowe siły.

2.

Nie potrafię chodzić po Warszawie bez powodu. Nigdy nie byłem na spacerze i gdy wyląmiam się z Parku Skaryszewskiego wprost na aleję Waszyngtona, mam wrażenie, że gapią się na mnie kierowcy stojący w korku na światłach przed Saską. Z telefonem na

wysokości twarzy muszę wyglądać jak jeden z tych klikających przychlastów, którzy bez przerwy potykają się o wystające płyty chodnikowe. Dla sprawy wyższej zmieniam się w тумana. Kieruję telefon na kamienice po drugiej stronie Waszyngtona, lecz nic nie ulega zmianie. Świat jest, jaki był. Przecinam ulicę, klucząc między samochodami, odprowadzany przez klaksony. Przyglądam się stacji benzynowej z równie beznadziejnym skutkiem i tylko piwo w jakiejś spelunie dla smutnych zakochanych przynosi odrobinę ulgi. Pary młodych ludzi patrzą w ekrany zamiast sobie w oczy, barman wygląda jak seryjny morderca, a najszczęśliwszą osobą tutaj wydaje się odziana w róż damulka rozkraczona na huśtawce. Przyczynę zadowolenia łatwo zgadnąć: jeden chłop ją buja, drugi leży u jej stóp. Obraz nazywa się po prostu *Huśtawka*. Sięgam po telefon.





Krażę, szukając śladów. Jeśli Kutavaggio oznaczył obraz, i to taki, który zna każdy, mógł powtórzyć ten numer z innym wzorem. Numerem na bloku. Logiem stacji benzynowej. Numerem rejestracyjnym samochodu, a także, być może, pniem drzewa, mordą yorka i dziurą w asfalcie na Irlandzkiej, przez którą muszę przeskoczyć. Następnie wzo-ry ułożą się w to wspaniałe dzieło sztuki, na którym tak zależy Janinie. Sam chcę to poskładać. Kłopot w tym, że po dniu łożenia niczego nie znalazłem.

Wędruję przez całą Francuską, zaglądając do sklepów z winami, gdzie nasz denat poszukiwał korkowanego szczęścia. W jednym z nich dostrzegam *Wolność wiodącą lud na barykady*, co okazuje się strzałem w dziesiątkę.



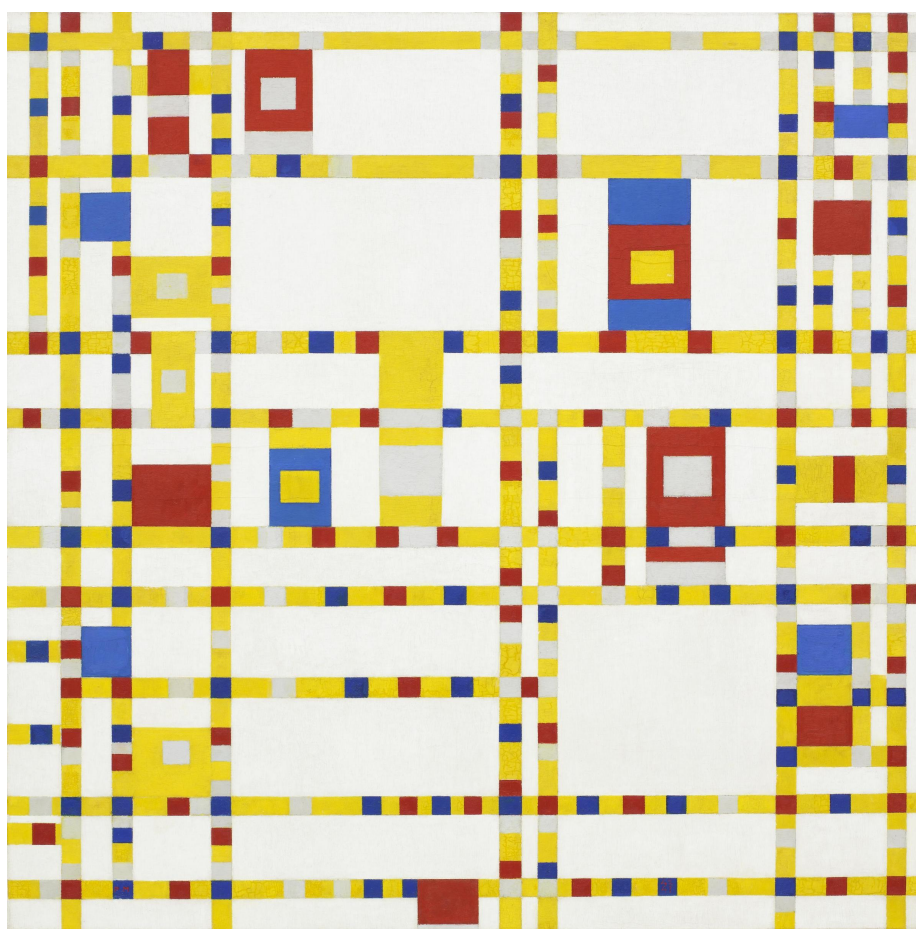
Zapuszczam się w boczne uliczki, gdzie w miejscu dawnych sklepów przemysłowych sprzedają teraz modne, ręcznie robione ubrania albo bezmięsne hamburgery. Mijam nawet dom Janiny — głuchy jak żebrak i cichy niby bieda. Cykam zdjęcia drzewom i wiewiórkom, małym fiatom, wózkom na bliźnięta i robotnikom, jak sobie kurzą oparci o łopaty i betoniarki. Przysiadam przy wejściu do kościoła parafialnego pod wezwaniem

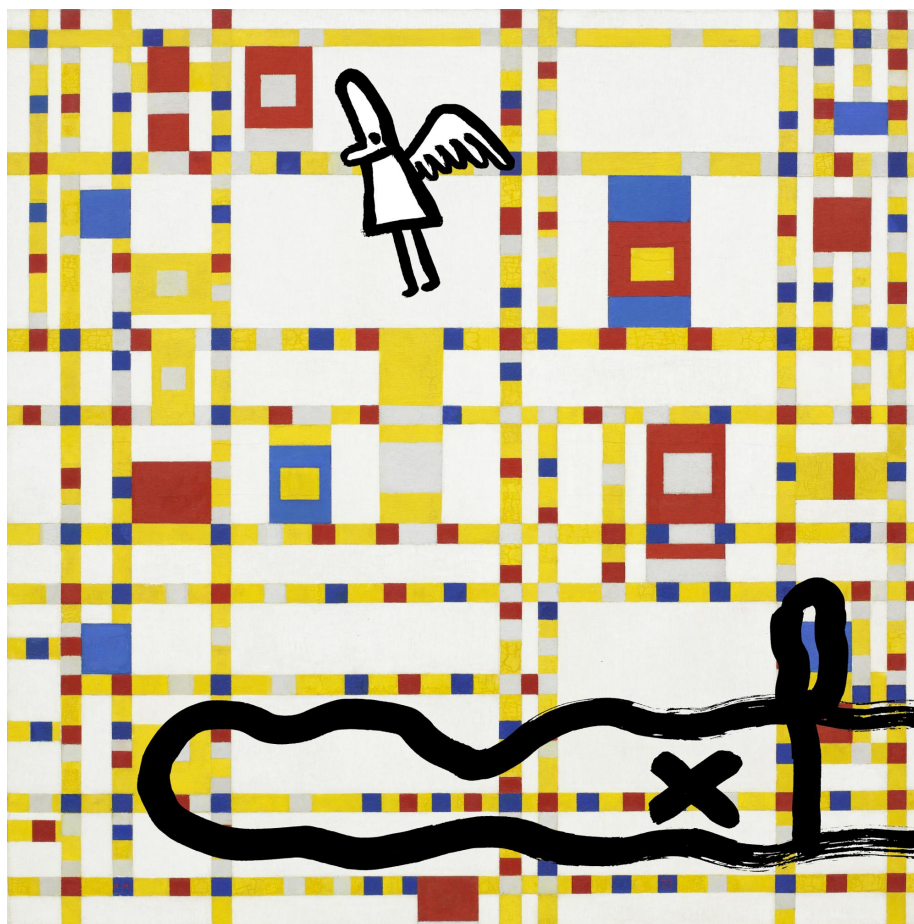
Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Jestem zmęczony. Pocę się wczorajszym alkoholem. Brakuje mi tylko żebraczego beretu u stóp.

Zrezygnowany oddalam się od kościoła i na Międzynarodową wychodzę z Brazylijskiej niedaleko supersamu, gdzie nachodzi mnie myśl, by kupić sobie kolejne piwo i przycupnąć nad kanałem. Od wody ziąb, ale dalej ciągną się ogródki działkowe i nikt nie będzie mnie niepokoił. Droga od myśli do czynu jest krótka, a i czyn myśl odmienia — gdy drałużę cały rozochocony w stronę kanalik, moim oczom objawia się apartamentowiec Fenix, piękny jak u Cyganów, biało-złoty kloc z mnóstwem załamań, kątów prostych i pstrokatą liną luksusowych witryn na dole. To tutaj mieszkał Kutavaggio.

3.

Gdy trafiam w miejsce, w którym nie powinienem być, zachowuję się, jakby należało do mnie. Wchodząc do Fenixa, dyskretnie unoszę telefon, ponieważ nad głową sennego ochroniarza wisi kopia *Broadway Boogie Woogie* Mondriana. Wątpię, by Kutavaggio odpuszczał tak pstrokatę mieszaninę idiotycznych kątów prostych, i jak zwykle mam rację.





Drzwi rozsuwają się same. Przede mną rozciąga się zieleniec wielkości stołu do bilarda okolony przez ławeczki. Obok stoi huśtawka, której jeszcze chyba nikt nie rozbudził. Klatki schodowe są cztery. Patrzę po wysokich, jasnych oknach, próbując ocenić, które mogło należeć do Kutavaggia, gdy ostry głos pyta mnie, po co tu przyszedłem.

Skąd znam ten pysk? Ochroniarz ma koło sześćdziesiątki i szczękę jak korba do stara. Jest silny i ostrożny. Z takimi bywają kłopoty. Jak znam życie, pałował demonstrantów w imieniu Jaruzela, widząc w tym klucz do kariery. Stało się inaczej i teraz może co najwyżej zazdrościć kumplom z dawnej roboty — generałom i biznesmenom. Skojarzenie z ZOMO działa i już wiem, skąd go znam. Kręcił się przy stypie Płaczka. Gadał o tym, co nas łączy, mnie i tego chama granatem oderwanego od brony.

Teraz udaje, że mnie nie kojarzy. Przypomina, że nie wolno tu robić zdjęć. Kładzie rękę na ramieniu i pcha do wyjścia. Rozglądam się. Są kamery. Jak mu przydzwonię, dopadną mnie, nim doleczę do alei Stanów Zjednoczonych, a nawet jeśli nie dopadną, miejsce będzie spalone. Gram na uśmiech. Przypominam o naszym spotkaniu, jak sobie sympatycznie gwarzyliśmy. Nie ulega już wątpliwości, że ochroniarz pamięta ten wieczór lepiej ode mnie. Świdruje oczkami jak podczas przesłuchania. Mówi: ty mnie wyrzuciłeś, to ja ciebie teraz wyrzucam, kolego.

Za kolego, chamie, powinienś zbierać zęby z podłogi, myślę sobie. Jeszcze nie podjąłem decyzji, rozstawiam lekko nogi i nagle rozbrzmiewa moja nokia. Odbieram, żeby zyskać na czasie. Krystyna brzmi, jakby piła aż do tej pory. Słowa ledwo kapią z ust. Słyszałem takich. Pytam, co się stało, jak mogę pomóc. Zrobię wszystko, o co mnie poprosi.

Kryskę pobito przed jej własnym domem piętnaście minut po naszym rozstaniu. Nie wie kto. Domyśla się dlaczego i wygłasza tę jedną prośbę, której nie spełnię.

Chce, żebym odpuścił.

RDZA NA STAREJ MIŁOŚCI

I.

Palę chesterfielda, patrzę na szpital Przemienienia Pańskiego i rozmyślam o zdrowiu. Budynek w osobliwy sposób łączy cechy kościoła i fortyfikacji. Dwa skrzydła wysuwają się łagodnie, jakby pragnął wciągnąć mnie do środka, za to środek fasady nasuwa skojarzenia z oknami w średniowiecznej katedrze. Niewątpliwie przebywający tutaj potrzebują pomocy Opatrzności jak mało kto. Okna ciągną się w pięciu rzędach, a każdy jest inny. Małutkie na górze. Łukowate na pierwszym piętrze i brudne pośrodku. Zachodzę w głowę, o co w tym chodzi, i chyba wiem. Jeśli przywiozą tu jakiegoś nieszczęśnika z amnezją, wystarczy, że rzuci okiem na szpital, i będzie wiedział: nie jest w Czechach, Ameryce ani Bangkoku, lecz w Polsce, jedynym kraju, gdzie mogło powstać takie szkaradziństwo.

Z parkingu przed szpitalem odjeżdżają samochody. Inne znów przyjeżdżają. Sanitariusze targają nosze z karetek. Odwiedzający wchodzi i wychodzi. Ten ruch ma w sobie coś mechanicznego. Ludzie są jak figurki w pozytywce, uwikłani w wielkie „trzeba”. Trzeba chorym pomóc. Trzeba chorych odwiedzić. Trzeba w końcu umrzeć. Proszę, macie gmach pełen ludzi, w którym nikt nie chce być.

Mamusia panicznie boi się szpitali. Bogiem a prawdą, wołałaby trafić na noc do Draculi, za to mnie wygania nieustannie. Idź, synuś, się zbadaj. Tobie, synuś, na pewno coś jest. Kaszlesz tak. Zdrowie nie to. Pięćdziesiątka minęła, a ty znowu bez czapki chodzisz.

Znam to na pamięć. Nie chodzę do lekarzy, bo nie choruję, a nie choruję, ponieważ nie chodzę do lekarzy. To takie proste. Moja wiara w człowieka jest raczej marna, zaś w konowalach nie pokładam zgoła żadnej. Ci ludzie interesują się wodą i zarobkiem, czego nie uzyskają od zdrowych. Przyjdiesz z bolącym gardłem — odkryją kamień w kolanie. Wypłuczesz kamień, znajdzie się coś w nerce. Nerkę wykroją, robiąc miejsce pod raka, HIV-a, parkinsona i stwardnienie rozsiane, do wyboru do koloru. Skąd wiem? Raz pójdziesz do lekarza, będziesz chodził nieustannie, aż wreszcie wyniosą cię w prostej trumnie doskonale wyleczonego.

Raz, jak kopałem chłopa, siadło mi śródstopie, pewno po temu, że drań tak śmiesznie wił się pod butem. Bolało nie do wytrzymania. Chodziłem na pięcie. Śródstopie się zaleczyło, za to wysiadła kostka. Zaleczyłem kostkę, to łydkę szlag trafił i tak w górę, do podudzia. W końcu skakałem na zdrowej nodze. Potrafiłem tak donieść obiad z trzech dań do stolika. Noga w końcu przestała boleć, za to rozwalilem sobie tę zdrową. I tak w kółko. Jakbym poszedł do lekarza, jeździłbym na wózku.

Miałem kiedyś czterdzieści dwa stopnie gorączki. Menele nabili mnie na płot przy Cmentarzu Bródnowskim i wyleciałem w powietrze razem z budką na placu Różyckiego — jej właściciel trzymał tam czterdzieści paczek korków. Wpadłem do Wisły przy Wybrzeżu Gdańskim, a musicie wiedzieć, że był wtedy wyjątkowo chłodny luty. Nie poszedłem do lekarza i tylko dlatego stoję tutaj w dobrym zdrowiu, palę i patrzę na ten okropny szpital.

Ludzie krążą po stałych torach wciąż i wciąż. Czasem w oknie mignie stara, smutna twarz. Wokół mnie kopci paru innych. Mają przepite gęby i miękkie ciała. To lekarze oczywiście. Konowała można poznać po kiepie w pysku i wczorajszym oddechu.

Odchodzę, nim któryś poprosi mnie o ogień. Gdy kiedyś zachoruję, położę się do łóżka i napiję herbaty z wódką. Istnieje tylko jeden powód, dla którego mogę pójść do takiego miejsca jak to.

Jest nim dziewczucha.

2.

Kryśka leży na wznak i wygląda gorzej niż zło, ma jednak dość siły, by uśmiechnąć się na mój widok. Podnosi się na łokciach, siada na łóżku. Odgarnia włosy. Wymieniamy spojrzenia, a ona zasłania usta dłonią jak mała dziewczynka i pyta, czy rzeczywiście jest z nią tak źle. Kłamię gładko: Krycha, wyglądasz naprawdę w dechę.

Ma podbite oczy i napuchnięte policzki. Lewe przedramię w gipsie, na prawym z kolei bandaż. Doprawdy, jedynym nienaruszonym kawałkiem ciała jest dekolt z nieodłącznym wisiorkiem na srebrnym łańcuszku. Musi go cholernie lubić, skoro nie zdjęła.

Na rozluźnienie pytam, skąd wzięło się to świedelko i jak długo je nosi. Kryśka przygryza wargę i już wiem, że nie trafiłem. Dukając, szepcząc, opowiada o swojej pierwszej miłości. O dziewczynie z drugiego roku studiów, która pokazała jej co i jak w te klocki. Świata poza sobą nie widziały, a potem przyszło życie. Kryśka wspomina, że im, cholernym lesbom, za komuny było naprawdę ciężko. Rodzice się wściekli, ksiądz rwał włosy z durnego łba, a potem w sprawę wmieszała się Służba Bezpieczeństwa i było po miłości. Wisiorzek dostała właśnie od tej dziewczyny na krótko przed końcem.

Mówię Kryśce, że nie podejrzewałem jej o takie sentymenty. Nerwowo odgarnia kosmyk z czoła. Twierdzi, że nic nie rozumiem. Z wisiorkiem chodzi o coś innego. Milczymy. Atmosfera się skwasila.

Prócz Kryśki leżą tutaj jeszcze trzy kobiety. Młódka pod oknem jednocześnie klika w ekran telefonu i napięprza w klawisze białego komputera. Słuchawki odcięły ją od świata. Umrze i nawet się o tym nie dowie. Od ciała nieprzytomnej starowinki odchodzi pół tuzina rurek, za to jej koleżanka wydaje się całkiem żywotna. Siedzi na łóżku obłożona kolorowymi gazetami. Taka zawsze wstrzeli się w ciszę. Nazywa mnie przystojnym kawalerem i wyraża radość z faktu, że przyszedłem. Nikt nie odwiedza biednej Krystyny. A ona taka ładna, taka młoda, taka samotna. Staruszka gada i uśmiecha się, odsłaniając zęby czarownicy. Nieoczekiwanie Kryśka każe jej zamknąć pysk, a w jej głosie jest tyle jadu, że babina natychmiast spełnia tę prośbę. Chowa nos w gazecie i prycha.

Zbieram się w sobie i pytam, jak do tego doszło. Kto ją skrzywdził, zabiję skurwysyna. Bydlak jednak żył będzie, bo Kryśka niczego nie pamięta. Znad Wisły pojechała taksówką do domu. Weszła do bramy, za nią wszedł ktoś. I nic, dziura czarna jak ściana, o którą uderzyła głową. Kryśka znów milknie, a ja widzę, że w jej głowie kotłują się różne niebezpieczne myśli. Nikt nie jest wolny od podejrzeń. Nawet ja.

Po co miałbym to robić, pytam. Kryśka macha ręką w gipsie i prosi, bym nie gadał głupot. Jestem najporządniejszym człowiekiem, jakiego spotkała w tej dekadzie, jeśli nie lepiej. Jeśli ją stłukli, mnie zabiją. Ponawia swoją prośbę. Prosi, bym odpuścił. Telefon jest obłożony kłutwą. Powinienem go komuś oddać. Komukolwiek chcę, byle nie jej.

Na widok aparatu w moich dłoniach jej oczy zwężają się odrobinę. Pyta, czy zawsze noszę go przy sobie. Kiwam głową. Udaję, że w nim grzebię. Naprawdę, pchany dziwnym impulsem, najeżdżam na wisiorzek Krystyny. Nie mogę patrzeć zbyt długo, ale już swoje wiem. Dokładnie tak, jak myślałem. Dziewucha jest w porządku.

Mówię, że na mnie już czas. Przepraszam, bo nie posłucham tej dobrej kobiety. Znajdę sukinsyna, który zabił Kutavaggia, a ją skrzywdził. Mi nic się nie stanie. Nic mnie nigdy nie zmiażdży. Kryśka śmieje się i wyraża życzenie, byśmy spotkali się wcześniej niż na moim pogrzebie. Chcę wstać. Łapie mnie za rękę. Przyciąga, szepcze w ucho.

Staruszka, którą zgasiła, włóczy się nocami po całym skrzydle i okrada innych pacjentów, gdy śpią.

Dziewczyna z ogólniaka, wielka, jedyna miłość, donosiła na Kryskę bezpiece. Dlatego to się skończyło. Wisior przypomina Kryśce, że ludzie to bydlęta.

3.

Salę szpitalną opuszczam z nosem na kwintę, jak zawsze gdy ktoś przypomni o wspólności bliźnich, za to widok na korytarzu natychmiast przywraca mi dobry humor. Przy ścianie człapie sobie ta łajza w białej kurtce puchowej. Nawet tutaj nie ściągnął kaptura. Na mój widok rzuca się do ucieczki, zwalając z nóg pielęgniarzkę. W wywracaniu kobiet jest dobry. Tym razem nie pozwolę mu uciec.

Dopadam go na schodach. Doprawdy, żal byłoby zmarnować tak fantastyczną okazję. Walę gnoja w brodaty pysk, chwytam za fraki i już. Podziwiam, jak stacza się po stopniach, wzywając przy tym wszystkich świętych. Ci jednak nie spieszą z pomocą. Na półpiętrze próbuje pełzać. Schodzę elegancko. Będzie powtórka z rozrywki.

W ten sposób jesteśmy na dole. Bydlę błaga, bym go oszczędził, a przynajmniej nie lał po twarzy. Robię dokładnie coś przeciwnego, po czym chwytam tę mendę za wszarz i maszeruję w stronę wyjścia. Macha krótkimi nóżkami i straszenie się drze. Przed nami

nieruchomieje piguła o uroku mżawki i gabarytach krowy na sterydach. Pyta, co tu się wyrabia. Grozi, że zadzwoni po policję. Drzwi, ruro, otwieraj, bo gościu przeleci przez szybę!

Ciskam facetem po raz ostatni. Koziółkuje, kojarząc mi się z amebą — jakby w ogóle nie miał kości. Konowałam pety lecą z pysków, lecz żaden nawet się nie ruszy. Nikt zresztą nie kwapi się do czynu. Mógłbym zatłuc faceta pod okiem sanitariuszy i zatroskanych odwiedzających. Tego jednak nie robię. Klękam nad bydlakiem z zaciśniętą pięścią. Błaga, żebym przestał. Powie wszystko, co wie, tylko wie niewiele, bo jest, a jakże, niewinny.

Gruba kurtka maskowała wychudzone ciało. To brodaty artysta, którego widziałem na stypie Kutavaggia.

TYSIĄC ODCIENI BIELI

I.

W mieszkaniu czuć terpentyną i starymi ubraniami. Tak właśnie pachnie polska sztuka.

Facet nazywa się Apoloniusz Ćwiek. Popycham go przed sobą tak, że mało nie upuści kluczy. Zdejmuje białą puchówkę i wiesza na gwoździu wbitym w ścianę. Mało nie runie podczas rozsznurowywania butów, które następnie usiłuje umieścić w szafce trzymającej się na jednym zawiasie. Z króciutkim torsem i długimi kończynami jest tak pokraczny, że mógłby zatrudnić się w cyrku. Bez przerwy powtarza, żebym go już nie bił. Mordę też ma komiczną. Żuchwa mu lata, jakby trzymała się na samej skórze.

Ćwiek zajmuje poddasze w niszczącej kamienicy na Mińskiej i jak znam życie, za sąsiadów ma wyłącznie starców, złodziei i sutenerów. Na gazowym palniku stoi okopcony czajnik. Przez całą długość kuchni pod sufitem biegnie mocna drewniana belka. Dałoby się na niej powiesić drużynę piłkarską razem z trenerem i rezerwowymi. Wylewka na podłodze jest tak popękana, że można się potknąć. Za ławę służy deska kreślarska gęsto pocięta nożem, poplamiona farbą i ustawiona na dwóch wiadrach. Ćwiek wskazuje ubitą poduszkę. Życzy sobie, żebym usiadł.

Dziękuję, postoję. Pod odrapanymi ścianami stoją rzędy obrazów i przez moment obawiam się, że Ćwiek zacznie mi je pokazywać. Tak jednak się nie dzieje. Zmaltretowany gospodarz mruga do mnie podbitym okiem i już wiem, co będzie. Należy do licznej grupy dumnych Polaków, którzy, dostawszy łomot, ze wszystkich sił próbują się zaprzyjaźnić.

Pyta, czego się napiję. Najlepiej koniaku. Z tym jednak kłopot, podobnie jak z wódką, winem oraz porto. Piwo z kawą również wyszły. Koniec końców Ćwiek nastawia wodę w czajniku pamiętającym jeszcze króla Ćwiczka i zaparza herbatę w dwóch szklankach, za to z jednej torebki. Pokazuje nawet, z której strony pić, bo brzeg jest wyszczerbiony. Nic nie odpowiadam. Tylko stoję.

Ćwiek, wymachując pajęczymi łapkami, rozpoczyna przemowę poświęconą niedoli polskiego artysty. Nikt o niego nie dba. Nikt się nie przejmuje. Za komuny jeździł do Mediolanu i Sztokholmu. Mówiąc to, robi taką minę, jakby sam Rembrandt sznurował mu buty, zaraz jednak markotnieje. Wybuch wolności wprowadził kult pieniądza, któremu nie powinna podlegać sztuka. Zniknęły domy pracy twórczej, pokończyły się plenery, miasto przestało przeznaczać lokale na pracownie. Jak tworzyć w takich warunkach, chli pie Ćwiek. Słucham tego cierpliwie. Zapalam chesterfielda. Strząsam popiół do herbaty, a Ćwiek informuje mnie, że obecnie jest jeszcze gorzej. Nowa władza dyskryminuje jego i innych artystów. Teraz trzeba malować tylko orły białe i Chrystusów frasobliwych. Mam ochotę poradzić mu, żeby namalował Jezusa na orle. Wówczas zarobi kupę kasy. To nie moja sprawa, jak ten człowiek żyje. Interesuje mnie coś innego. Dlaczego pobił Krystynę?

2.

Dostępu do dalszej części mieszkania bronią drzwi ze sklejk, więc Apoloniusz Ćwiek przelatuje przez nie bez trudu. Zwała się na deski podłogowe, wzbijając kurz, wióry i paprochy. Gdy wykręcam mu ramię, wyje, że ta dłoń przyniosła Polsce najwięcej dobra od czasu Matejki z Malczewskim razem wziętych. Przyznaje, że za mną chodził. Dlatego zna-

laż się w szpitalu. Tak, chciał zabrać telefon. Ale nie pobił Kryśki. Coś tak potwornego nie przyszło mu do głowy. Puszczam. Zastanawiam się, czy mu wierzyć. Ćwiek zaczyna gadać jak nakręcony. Przysięga, że nie podniósłby ręki na kobietę. W drugą stronę to nie działa. Biły go obie żony i kochanka, którą poznał ćwierć wieku temu na plenerze w Orońsku.

W jego oczach widzę strach, rozpacz i żal, lecz próżno szukać kłamstwa. Teraz nawet mi głupio, że tak go sprale, lecz nieborak nie musi o tym wiedzieć. Radzę, żeby wstał i zrobił z siebie człowieka. Pierwsze zadanie wykonuje sprawnie, z drugim chyba nie da sobie rady. Siada na stołku i się trzęsie. Wyznaje, że to najgorszy dzień jego życia.

Pokój jest mały, ciemny i w całości wypełniony przez białe płótna w ramach ze zbitych desek. Ćwiek, gdyby tylko mógł, zasłoniłby nimi nawet okno. To jednak mieści się w dachu. Zagląda do nas wychudzony księżyc. Zamiast szafy są tu dwa wiklinowe kosze na ubrania. Na materacu ciśniętym pod ścianę leży skotłowany śpiwór. Obok na sztaludze stoi białe płótno, tym razem nieoprawione. Zawieszam na nim wzrok. Ćwiek pyta, jak podoba mi się jego nowe arcydzieło.

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Białe płótno jak białe płótno. Normalni ludzie malują coś na takiej bieli. Gdybym powiedział to głośno, zraniłbym Ćwieka bardziej, niż rozkwazając mu ryj. Znów tylko słucham. Zmaltretowany gospodarz uświadamia mi, że wbrew temu, co, durny, sądziłem do teraz, nie istnieje jedna biel, lecz wiele jej rodzajów. Słucham o średnicy koła barw. O bieli błękitnej, zażółconej i pozornej. Apoloniusz Ćwiek od czterdziestu lat realizuje swój wielki, jedyny projekt artystyczny. Każde płótno maluje innym rodzajem bieli. Tych jest bardzo dużo, lecz kiedyś się skończą. Da światu pełny wachlarz białości, obiecuje. Trudno stwierdzić, czy czerwienieje z dumy, czy od ciosów, które zebrał.

3.

Na widok telefonu oczy Ćwieka rozszerzają się gwałtownie. Nie wyciąga jednak ręki, choć wiem, że miałby na to ochotę. Rozwalilby mi blejtram na głowie, gdyby starczyło mu odwagi. Siedzi sobie na materacu i skubie brzeg śpiwora. Pytam, co to takiego? Czemu tak bardzo potrzebował telefonu?

Ćwiek powtarza słowa Kryśki. Ostatnie lata Kutavaggia zeszły na pracy nad czymś, co Ćwiek nazywa „interdyscyplinarnym projektem multimedialnym”. Zapewne mowa o bohach, które czasem pokazują się, jak najadę komórką na coś specjalnego. Podobno jest to warte fortunę. W rękach trzymam Świętego Graala sztuki nowoczesnej. Aplikacja robiona na zamówienie, w jednej jedynej kopii. Nic dziwnego, że każdy chce wydebić ode mnie telefon, dodaje Ćwiek. W jego ręce pojawia się album malarstwa polskiego, jedna z tych ciężkich ksiąg pieczołowicie przechowywanych przez rodziców tylko po to, by dzieci wyrzuciły ją na śmietnik. Otwiera na ciemnym rysunku przedstawiającym ponurą staruchę. Mówi, że to *Portret matki* Dürera. No dobra, Albercik strasznie miłował swoją starą, lecz co mi do tego? Ćwiek odpowiada, że Kutavaggio gmerał coś przy tej reprodukcji. Warto więc spróbować.

Wyciągam telefon i stara od Albercika staje się czymś zupełnie innym. Przyglądam się temu przez chwilę. Ćwieku też by zerknął. Grozę mu fangą w nos. Wycofuje się na swój materac. Zamykam album. Chowam telefon. Wygląda na to, że Kutavaggio miał gorzej niż Kennedy w Dallas.





Widzieli się na parę dni przed śmiercią Kutavaggia. Ten był bardzo przestraszony. Uważał, że ktoś chce go zamordować. Nie powiedział kto, ale Apoloniusz Ćwiek, ten Kojak sztuk plastycznych, ma swoje typy. Stawia na Janinę i jej synalka — bezwzględne popychadło. Kończy się jej nie tylko szmał, ale też życie. Staruszka chce zadbać o dzieci. No dobrze, mówię, ale żeby zabić brata? Apoloniusz Ćwiek opowiada, że nienawidzili się od przedwojnia. Zresztą nikt nie lubił Kutavaggia. Jeśli nie ona, to kto?

Mam poczucie, że wiem równie mało co dzisiejszego ranka. Dzień zmarnowałem na pomiatanie chłopem. Wstaję. Ostrzegam Ćwieka, żeby przestał za mną łązić. Pyta, czy może mi jakoś pomóc. Nieoczekiwanie bardzo mnie polubił. Pomoże mi, zostając w domu, odkrywając kolejne rodzaje bieli. Te cholerne obrazy są przecież identyczne, myślę i nagle do głowy wpada mi coś innego. Staję nad Ćwiekiem, ten natychmiast się kuli. Spokojnie, człowieku. Chcę tylko o coś zapytać.

Kutavaggio gmerał przy obrazach Dürera i Malczewskiego. Co jeszcze? Czego powinienem szukać? Oczywiście Ćwieka płoną radością donosu.

Słyszę, że Kutavaggio był bardzo uczuciowym człowiekiem. Nienawidził swojej byłej żony, nienawidził syna, nienawidził siostry, nienawidził swoich wielbicieli i kupców z Ameryki, nienawidził kuratorów i muzealników, sklepikarek z monopolowego, sąsiadów, ochroniarzy, a także pewnego kelnera ze swojej ulubionej restauracji. Najbardziej jednak nienawidził innych artystów, łąsi się Ćwiek. Najchętniej utopiłby ich wszystkich w oceanie jadu.

Gdy wychodzę z mieszkania, nie mam pojęcia, na co mi ta wiedza.

Nim zbiegnę po schodach, już wiem, co robić.

IREK KRÓL KONTRA SZTUKA

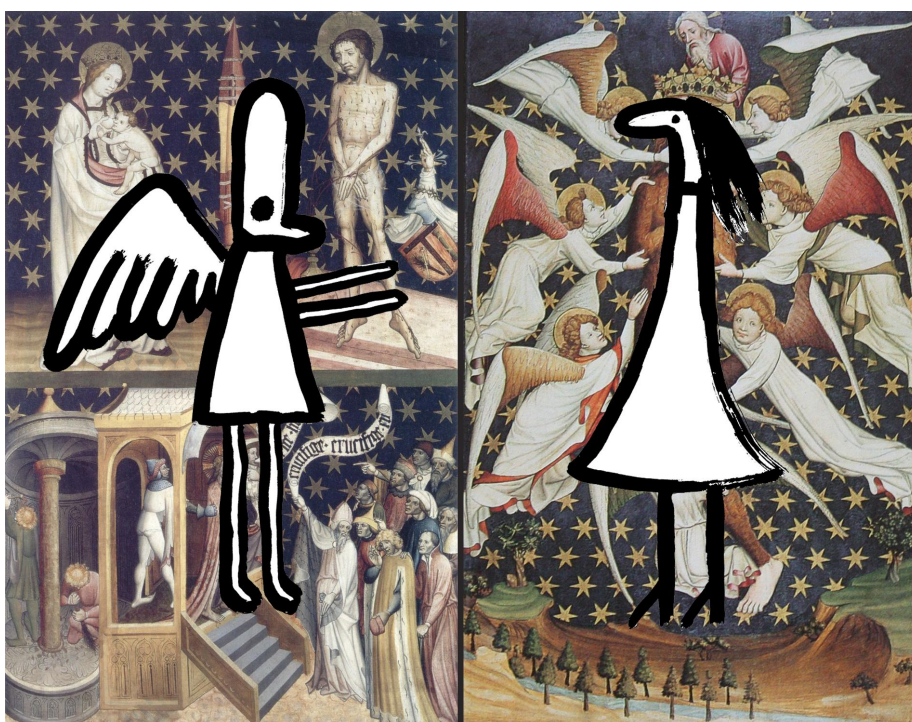
I.

Przed wyjściem z domu starannie prasuję najlepsze wranglery i koszulkę Benettona oszczędzaną akurat na taką okazję. Stoję pod prysznicem tak długo, aż mama zaczyna pieklić się o zużycie wody. Jej zdaniem, dbając o czystość, rujnuję nie tylko domowy budżet, ale i naszą nieszczęsną planetę. Moim zdaniem Ziemi pomogłaby tylko bomba atomowa. Tę mądrość zostawiam dla siebie. Wylewam resztówkę Old Spice i wyruszam ku sztuce, zaopatrzony w czterdzieści złotych i bilet czterdziestominutowy.

Jeśli ktoś zapyta, czemu ludzie unikają muzeów, chętnie odpowiem. Nie chodzi o sterylność sal, nieznośną nudę malarstwa, ani nawet te babeczki, które pilnują, żeby dzieciaki nie posmarowały Matejki masłem orzechowym, i przypominają skrzyżowanie wampira z otumanionym mopsem. Odpowiedź na pytanie o kryzys muzealnictwa w Polsce mam w tylnej kieszeni spodni. To wejściówka za dwadzieścia złotych. Za dwie dychy można pójść do kina na film o wojnie albo wypić pół litra z jakimś inteligentem. Inteligenci wyróżniają się tym, że trzeba im stawiać. Bolesnie zubożony krąży po piętrach, poszukując śladów Kutavaggia. Jeśli ten fiut mazał po obrazach, zapewne zawędrował do Muzeum Narodowego, gdzie jestem teraz i ja.

Zaczynam od Galerii Sztuki Średniowiecznej, gdyż Kutavaggio również nie należał do najmłodszych. Otaczają mnie pomarszczone madonny, maltretowani święci oraz armia z gimbazy wzięta w jasyr. Ich kurtki składają się z metek. Noszą na głowach po dwie czapki, a jeden ma nawet trzy wciśnięte jedna w drugą. Posyła mi ukradkowe spojrzenia, zresztą wszyscy tutaj na mnie patrzą, łącznie z zaszczutą nauczycielką i sprzątaczką zgrabną niby Godzilla i piękną jak ruski generał. Wyglądam bowiem osobiwie.

Nie wiem, kim byli Winterfeldowie, ale ich dyptyk wprawia mnie w przygnębienie. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego namalowali sobie takie rzeczy i gdzie to właściwie wisiało. Dzieło składa się z trzech części powiązanych jedynie mdłą barwą, smutkiem i tematyką religijną. Na pierwszym obserwujemy nagiego świętego, który zerwał się już z łóżka i zakrywa sobie przyrodzenie. Mina jego, jak i mamuśki obok, pozwala sądzić, że nie powojował swym nędznym narządem, a przynajmniej nie dzisiaj. Za to zgromadzenie świętych poniżej narzuca skojarzenia z tłumem bezrobotnych czekających na spóźniający się zasiłek. Prawdziwą atrakcją dzieła jest jednak święta brana w niebiosa przez anioły. Okropnie się z tego cieszy, a i aniołki próbują robić dobrą minę do złej gry, choć muszą się męczyć z tym całym dźwiękiem.



Widywałem już podobne święte w Kameralnej, Balatonie i innych knajpeczkach. Rozpoznaję pogardliwie uniesione usta i oczy znudzonej księżnej. Anioły krążące wokół tamtych miały sygnety na palcach i wypchane portfele. Ich celem, zamiast Królestwa Niebieskiego, był hotel trzygwiazdkowy.

Kontakt z tym arcydziełem zbrukał spokój mej duszy. Znam jednak właściwe lekarstwo. Umykam z Galerii Sztuki Średniowiecznej, zostawiając za sobą znudzoną gimnazę, nieszczęsną nauczycielkę i wściekłą sprzątaczkę. Chowam się za gaśnicą, wypijam dusz-

kiem denarka, gniotę puszkę i wyrzucam do kosza. O czystość trzeba dbać, zwłaszcza w muzeum.

Denarki mam w rękawach, kieszeniach džinsów i kurtki, wciśnięte za pas i pod koszulę. Razem dwanaście. Dlatego wyglądam jak blaszany drwal albo szaleniec obwiązany dynamitem. Ludzie się gapią i dalej będą. Trudno.

Malarstwo jest jak trepanacja czaszki, jak rwanie wszystkich zębów naraz.

Bez znieczulenia nie zniesiesz.

2.

Docieram na piętro ze sztuką dziewiętnastowieczną i od razu lepiej. *Szulerzy przy świecach* Pęczarskiego mogliby zdarzyć się i dzisiaj. Trzeba by tylko zmienić świece na światła punktowe, monety na karty płatnicze, a dzwonek na komórkę. Mordy są takie same dziś i za czasów zacnego Pęczarskiego. Znam te oczka lśniące od chciwości i uśmiechy jak przecięte gardła. Kutavaggio lubił ten obraz i wcale mu się nie dziwię. Wasze zdrowie, koledzy!



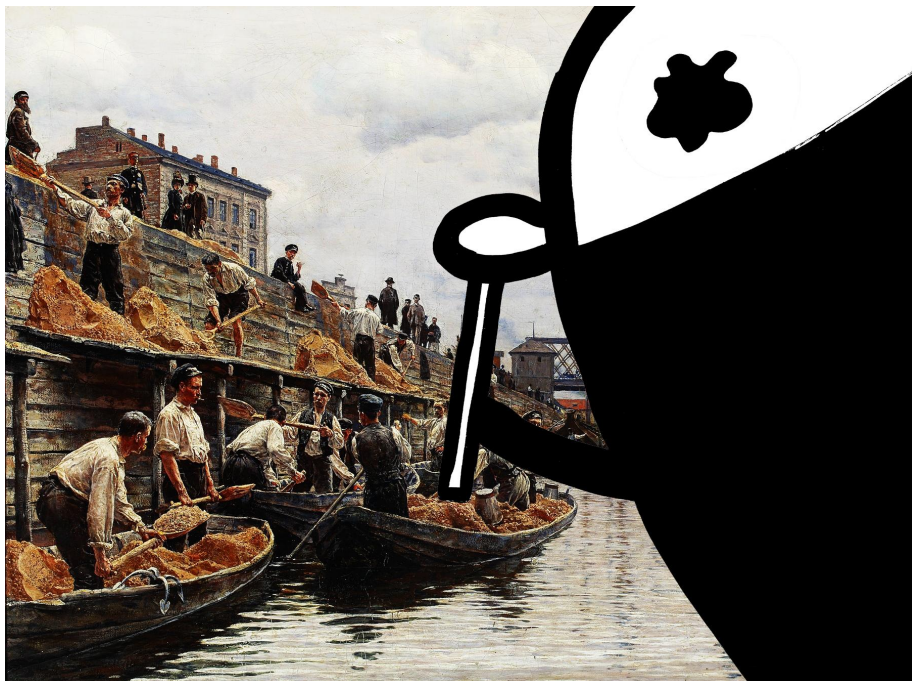


Radość, rozpalona przez miłych szulerów gaśnie, albowiem wyrastają przede mną dzieci. Mowa o potomstwie Jana Matejki w sile trojga, a pędzla tatusia. Stoją sobie, wyniosłe niewyskrobki. Najstarszy, odziany w czerwień, stawia nóżkę tak, jakby deptał nas, dzieci pracy, panienka w środku wygląda na głupszą od cegły, a najmłodsze z tej czeredy z pewnością wyrywa muchom skrzydełka. W sumie nie ich wina, że takie są. Ojciec nie umiał wychować. Wydaje się, że talenta rodzicielskie Kutavaggia rozciągają się na wszystkich artystów, a ja zachodzę w głowę, po co pacykarz w ogóle ma dzieci. Przecież do niczego ich nie potrzebuje. Ale artysta chce mieć babę, baba łaknie potomstwa i nieszczęście gotowe. Wniosek jest prosty. Artyści powinni żyć w celibacie. Jak wam się to podoba, sukinsyny?



W ubikacji opróżniam aż dwa denarki, tłumacząc sobie ten zabieg oszczędnością czasu, i tak chwiejny i rozluźniony kamienieję przed *Piaskarzami* Gierymskiego. Ten to przynajmniej nie mylił góry z dołem i znał się na robocie. Niemal czuję ból pleców robotników i rezygnację faceta pośrodku, tego, co stoi z pustą łopatą. Nagle krew mnie zalewa, aż ciśnię na pęcherz. No bo jak powstał ten obraz? Wicekról Gierymski klapnął sobie ze sztalugami w cieniu i malował, a robotnicy targali ten piasek przez cały dzień.

On pił sobie koniak i lemoniadę, palił cygara i machał pędzelkiem, a ci goście unosili ciężkie łopaty ponad głowy bolące od słońca, pękały im dłonie, piach dostawał się do oczu i wyschniętych ust. Każdy artysta powinien rozładować przynajmniej baręk piachu. Inaczej nici z dyplomu.



O Witoldzie Wojtkiewiczu mogę powiedzieć przynajmniej tyle dobrego, że umarł młodo, a i ja, gdy patrzę na jego *Marionetki*, czuję się gorzej. Barwy kojarzą mi się z wyglądem naszej ubikacji po tym, gdy Baryton podał gościom nieświeżą wołowinę z niedogotowanymi ziemniakami. *Marionetki* odsłaniają jednak pewną prawdę o świecie. Król

przerasta królową, tancerze są malutcy, zaś dworzanie wyróżniają się średnim wzrostem. A kto jeszcze cieszy się słusznym wzrostem? Kelner na drugim planie!





Okazuje się, że umiem osuszyć puszkę piwa, nie wyjmując jej nawet z rękawa. Liczę, że ta cenna zdolność przysłuży mi się w przyszłości. Czuję się znakomicie, a następny obraz jeszcze poprawia mi humor. Jest nim bowiem *Śmierć artysty* Malczewskiego. Co ci frajerzy mają w głowach, to ja nie wiem. Na pierwszym planie jakiś dureń całuje śmierdzące giry zgasłego malarza, a cya modelki zwisa z bezbrzeżnego smutku. Ci ludzie naprawdę myślą, że ktoś po nich zapłacze. Gówno, moi mili. Wszyscy odetchną z ulgą — poza rodziną walczącą o spadek.





3.

O Witkacym to nawet sporo słyszałem. Wąchał klej czy coś takiego. Wąchał, a potem malował. Nic dziwnego, że kiedy patrzę na *Kompozycję fantastyczną*, zaczyna kręcić mi się w głowie. Co to ma być, te głowy, diabły, czarodzieje? Na co taka sztuka? Prawdziwy mężczyzna nie wącha kleju, nie bierze żadnych narkotyków, tylko pije alkohole niskoprocentowe. Nagle doznaję olśnienia! Przecież to obraz z perspektywy pijaka leżącego na podłodze. Przechodnie się nad nim pochylają, a on trochę śpi, trochę chce uciekać i nie wie, co jest grane. Dlatego tak dziwnie wyglądają. Szacunek, panie Witkacy, nie był pan wcale taki głupi!



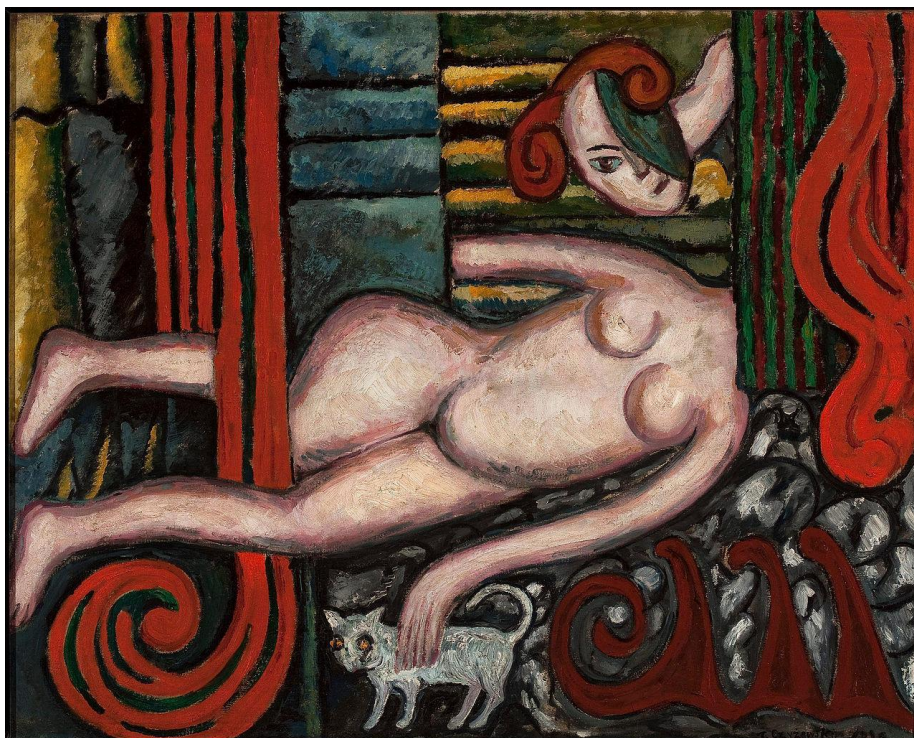
Bez tylu denarków po kieszeniach zwiedza się o wiele przyjemniej. Na ekspozycję poświęconą sztuce współczesnej wpadam gnany niczym nieuzasadnionym optymizmem, który natychmiast gasi Leon Chwistek swoim *Miastem fabrycznym*. Źle oceniam odległość i niewiele brakuje, bym zarył nosem w to arcydzieło. Nie wiem, czy facet kiedykolwiek był w mieście lub widział jakąkolwiek fabrykę, bo te esy floresy kojarzą mi się najwyżej z jajeczną rozlaną na silnik diesla albo pornołem dla Terminatora. Jakoś nie-dobrze mi od tego wszystkiego. Może przez tę żółć. Opieram się o ścianę. Przykładam denarka do czoła. Wciąż chłodny. Wypada więc wypić. Puszka wylatuje mi z dłoni i to-

czy się po posadźce. Czołgam się za nią. Obrazy mają swoją cenę, lecz dobre wychowanie takowej nie posiada.





Pionuję się akurat przed gołą babą. Problem w tym, że jest okropnie brzydka. Obraz nosi tytuł *Akt z kotem*, a Czyżewski, który go namalował, chyba nie miał ręki do kobiet albo lubił właśnie takie enerdowskie pływaczki, z dupą jak szafa trzydrzwiowa i cycem niby pięść. Każdemu co jego, tylko mi jakoś ten obraz się nie klei. Czemu noga sterczy tak dziwnie? Gdzie się podziały dłonie? Czemu łeb tej panienki jest, lekko licząc, jakiś metr od reszty? Przemykam jedno oko i dalej nie wiem — Czyżewski trzasnął knota czy mi denarki za bardzo namieszały w głowie? Oto prawdziwe trudności w percepcji sztuki.



Do tych trudności dochodzą i inne, mianowicie utrzymanie pionu, w czym nie pomaga ostatnia już puszka. Piję bez obciachu, gapiąc się na najstraszniejszy bohomaż na świecie, czyli *W poczekalni u dentysty* Samuela Cyglera. Stoją ci obolali ludzie, czekając na jeszcze większe cierpienie. Przypominam sobie, jak drań konował wstawiał mi jedynki po tym, jak sprali mnie koledzy Karambola. Wolałbym zebrać drugi taki łomot, naprawdę.



Filozofowie, księża i artyści spierają się o istnienie Boga, tymczasem sprawa jest jasna. Ból zęba przesądza. Miłosierny Stwórca nie zafundowałby nam czegoś takiego. Jesteśmy sami na świecie.

Myślę więc o Bogu, o Kutavaggiu i o tym, że postawa pionowa jest stanowczo przereklamowana. Jeszcze trochę i mnie tutaj pochowają. Potrzebuję odpoczynku. Osuwam się przy ścianie, podkurczam nogi, przysięgając sobie, że zdrzemnę się tylko pięć minut. Gdy ktoś mnie trąca, jest już ciemno. To znajoma już sprzątaczką, córka Godzilli i marszałka Żukowa. Mówi, że mam wstawać, bo zamykają. Spoglądam po sobie. Leżę na podłodze. Obok pusta puszka. Z kieszeni wyleciały papierosy. Kac zaraz odgryzie mi głowę.

Stanowczo, choć grzecznie proszę, by dała mi spokój. Muszę tutaj zostać. Należę do ekspozycji.

Jestem dziełem sztuki.

PLYTKI GRÓB

1.

Dziś miasto mówi do mnie.

Zamykam Balaton i idę Francuską. Listopadowy wieczór jest zaskakująco ciepły, choć może rozgrzewa mnie poczucie wewnętrznej potęgi. Nogi niosą bez żadnego wysiłku. W plecy dmucha gorący wiatr.

Mówią do mnie wystawy pełne markowych alkoholi, billboard reklamujący luksusowe wakacje na Malcie, ale i kobiety popijające wino we włoskiej restauracyjce. Słyszę rozkoszny szelest miękkiej pościeli, trzask tasowanych kart, kulkę przeskakującą po wirujących polach ruletki. Brzmi śpiew najwyższych pięter w Novotelu, huk odkorkowanego szampana i brzęk kieliszka roztrzaskanego o ścianę. Słyszę śmiech. Oklaski. Niech żyje Irek Król!

Jeszcze niedawno miasto zwracało się do innych. Do menedżerów pracujących szesnaście godzin dziennie, nawalonych koksem, w kleszczach presji i sukcesu. Do wiceprezów spółek z kapitałem zagranicznym, którzy zapraszają do Balatonu ubogich krewnych, płacą za wszystko i mówią tylko o sobie. Do chciwych rop z telewizora o twarzach tak ponaciąganych, że wyglądają jak bęben od Murzyna. Do Kutavaggia, który uczynił się głuchy na tę kuszącą mowę. Miał wszystko, a żył, jakby nie miał nic.

Skręcam w Walecznych. Już niedaleko.

Miasto mówi do mnie, bo będę miał pieniądze. Skończy się ciulanie na bilet, denarki i ramkę fajek. Wrócą dobre czasy. Jak za Kameralnej. Dziadowałem prawie dekadę. Ale teraz dosyć. W końcu moje nazwisko do czegoś zobowiązuje.

Mogłem zmienić zawód. Mogłem pracować ciężiej. Mogłem wyjechać za granicę, gdzie tyralbym jak frajer. Mowy nie ma.

Przez dekadę od zamknięcia Kameralnej rznąłem głupa. Naprawdę zaś czekałem na okazję, której się chwycę i dostąpię wyniesienia. Pracowałem tylko tyle, ile trzeba, bo nie mam wiary w pracę. Praca zabiera czas i czyni ślepym. Od pracy ma się tylko garba. Pracowitego poznasz po tym, że łązi z nosem przy ziemi. Znajdzie najwyżej miedziaki, po które innym nie chciało się schylać.

Prawdziwe pieniądze są gdzie indziej. Wystarczy cierpliwie czekać. Przyjdą same prędezy czy później. Jak do mnie za sprawą telefonu Kutavaggia.

Dom Janiny jest cichy i ciemny. Z wyjątkiem jednego okna, w którym pali się światło.

2.

Od poprzedniej wizyty minęło parę dni. Opuchlizna zniknęła z tępego ryja Pawełka, limo pod okiem, wcześniej fioletowe, przeszło w żółć. Przypomina mi się obity Ćwiek i zachodzę w głowę, czy będę musiał sprać każdego, kto pozostawał z Kutavaggiem w jako takiej komitywie. Zapraszam smacznie, niedołągi. Zostaniecie przyjęci i fachowo obsłużeni.

Siedzimy dokładnie tak jak wcześniej. Ja na skórzanym fotelu, Janina na biedermeierowskim krześle z plecionką. Pawełek po staremu kursuje z tacką, na której ma butelkę i koniakówki. Idę o zakład, że najdrobniejsza zmiana przyprawilaby Janinę o zawał serca. Takie babiny mają w kuchni swoje ukochane szmatki, którymi wycierają tylko niektóre plamy, żeby nie zużyły się zbyt szybko, i lamentują przez kwadrans nad zatopioną kostką klozetową. Na ciężkim blacie przy Janinie leży skórzana walizka, a obok stoi srebrny świecznik. Nie dałbym głowy, ale wcześniej go tu nie było. Niewiele obchodzi mnie ten szmelc. Zawartość walizki wprost przeciwnie.

Dziękuję za koniak. Janina prosi, byśmy nie bawili się w udawanie. Czas uprzejmości przeminął. Jestem małym, złym człowiekiem, który wykorzystuje sytuację. Telefon nigdy nie należał do mnie. Mówi, że dwanaście tysięcy złotych za aparacik to i tak dużo jak na znaleźne. Ja miałem czelność dopisać do tej kwoty jeszcze jedno zero. Na takie chamstwo

brakuje jej słów. Jakaś kucharka, ulicznica być może znalazłaby takowe. Ale nie Janina. Zmienia temat i pyta, czy napiję się jeszcze koniaku.

Odpowiadam, że ludzie interesu nie muszą się lubić, zaś alkohol najlepiej się pija z nieprzyjaciółmi. Walę koniakówkę na raz. Pawełek napełnia ją znowu. Podnoszę się z fotela. Mijamy to już za sobą. Podchodzę do stołu tuż obok Janiny. Pawełek znieruchomiał nieopodal, pod oknem. Ten facet chyba nie żre, nie pije i nie śpi. Jego paliwem jest głos własnej matki. Wyłącza się, gdy ta milknie na dłużej niż trzydzieści sekund.

Markując wahanie, wyjmuję aparacik. Udaję, że wciąż się waham, i czerpię radość z tej zgrywy. Jeżdżę palcem po ekranie, jakbym czegoś szukał. Nieoczekiwanie Janina pyta, czy naprawdę chcę to zrobić. Czy zabiorę im resztkę pieniędzy. Zadłużyła się przeze mnie. Wydaje się teraz krucha i bezbronna. Odpowiadam, że ja też jestem bez grosza i nawet pożyczyłem parę stówek od Barytona. Bogaty będzie biednym, a biedny bogatym. Równowaga w przyrodzie musi być.

Kładę aparat na stole. Janina pochyla się nad nim jak modliszka, za to mnie interesuje coś innego. Walizkę wypełniają równo ułożone stuzłotówki. Najchętniej zabrałbym, co moje, i poszedł, pamiętam jednak, że ludzie właściwie nie różnią się od siebie. Jestem jak inni. Oni są jak ja. Zaczynam grzebać w tych stówkach i nawet nie czuję zdziwienia. Raczej chce mi się śmiać.

Pod cienką warstwą banknotów leżą pocięte gazety. Biorę ich garść i sypię Janinie na kolana. Ta mruga przestraszona. Tuli do piersi telefon. Pochylam się nad nią. Nigdy nie uderzyłbym kobiety, ale ona o tym nie wie.

Mówię, że wciąż mamy szansę załatwienia tej sprawy. Niech synalek leci po prawdziwą forszę. Ja tutaj poczekam. Wymienimy się bez podawania ręki i znikniemy sobie z radarów raz na zawsze. Jest tylko jeden problem, miła pani Janino, mówię, patrząc jej w oczy i czerpiąc radość z własnych słów. Skoro próbowała mnie oszukać, to teraz kwota wzrośnie. Chcę...

Trzask i ciemność. Co jest grane?

Gdzie jestem? Co się stało. Jezu, ale mnie wałną!

Pływam w czarnej magmie. Zaraz pęknie mi łeb.

Dochodzą mnie słowa, których nie mogę zrozumieć. Ktoś krzyczy. Leżę na czymś twardym. Głowa mi pękła. Naprawdę wierzę, że jest rozłupana jak arbuz.

Ciemność ustępuje. Widzę jak przez mgłę. Leżę na podłodze obsypany przez okrucy szkła.

Janina drze się na Pawelka. Pyta, co mu strzeliło do głowy, że zrobił to, co zrobił. Naprawdę musi być takim durniem? Do niczego się nie nadaje. Pawełek pociąga nosem i chlupie, że przecież tak było ustalone. Miał dzielić mnie w łeb, jak tylko odkryję fortel z pieniędzmi.

Więc to tak. Już ja wam się dobiore do skóry. Tylko jakoś nie mogę wstać. Łupie mnie czaszka. Między łopatkami płynie coś ciepłego. Zabiję was. Zabiję was oboje.

Janina wrzeszczy, że owszem, miał mi przydzwonić, ale świecznikiem, nie butelką koniaku. Butelka pękła. Obrus, dywan, ściana — wszystko zachłapane. Kto to pościera, pomyje? Przecież nie Paweł, bo nie umie i jest głupi. Ona, Janina! Jak tak mógł? Dołożył jej tyle pracy. O niczym nie myśli. Niczego nie szanuje. Nawet nie wie, ile kosztuje taki koniak, dodaje Janina i wybucha płaczem.

Zaraz wstanę i ich zabiję. Wezmę tę staruchę jak drągą i zatłukę nią Pawelka. Albo na odwrót. Zabiję was. Zabiję was oboje.

Ale najpierw muszę poleżeć. Poczekajcie.

To potrwa tylko chwilę.

3.

Dźwięk przypomina odgłos młotka uderzającego w płytę pilśniową zmieszany z trzaskiem kruszonych orzechów. Powtarza się regularnie niby tykanie zegara. Mowa o mojej głowie uderzającej o stopnie. Świat jest ciemny, cuchnący.

Obróciłbym się, ale nie mogę nawet podnieść ręki. Pawełek ciągnie mnie za kostki i sapie. Schody dobiegają końca, lecz wcale nie jest weselej. Boruję nosem mokry grunt.

Nie założyłbym się, ale chyba jesteśmy na tyłach domu Janiny. Paweł mnie puszcza, łapie oddech. Z mojej perspektywy widzę tylko buty tych dwojga i szpadel. Wszystko

to złaczone do kupy wskazuje, że mam drobne kłopoty. Znajduję dość siły, by przekreślić się na bok. Mój wysiłek zostaje nagrodzony kopniakiem w nerki. Paweł też się zasapał. Łapie oddech i wbija łopatę w ziemię.

Janina najwyraźniej próbuje przekrzyczeć wicher. Pyta syna, czy zdurniał do reszty. W miejscu, gdzie zaplanował mój grób, rośnie burak ćwikłowy i jeśli mnie tam pochowa, nie będzie zdrowych sałatek. Pawełek potulnie zmienia miejsce, a jego matka dostaje szału: toż na wiosnę tutaj będą rzodkiewki! Słucham o grochu, sałatce i sadzonkach korzeniowych chrzanu. Zaproponowałbym, żeby porąbali mnie i spalili w kominku, lecz Janina w końcu podejmuje decyzję. Poradzą sobie bez ogórków. Ogórek nie posiada żadnych wartości odżywczych.

Pawełek zabiera się za kopanie. Leżę na plecach. Do ust wlewa mi się deszcz. Pytam Janiny, czy przypadkiem się nie boi. Drugi trup w ciągu paru dni ściągnie uwagę policji. W odpowiedzi Janina lamentuje nad tym, co uczyniłem. Moja chciwość i głupota doprowadziły do tak żalosego końca. Naprawdę chciała, by wszystko skończyło się inaczej, zresztą nie próbowała zabić Płaczka. W tym momencie nadstawiam uszu. Janina pochyła się nade mną. Owszem, wysłała mu pizzę z karaluchami i opłaciła zbira w samochodzie, żeby go nastraszył. Przyznaje się do tej i innych rzeczy. Kutavaggio był jej bratem. Okropnym, chciwym, ograniczonym, niemniej częścią rodziny.

Chciała wpędzić go w paranoję. Kutavaggio miał oszaleć. Wówczas ubezwłasnowolniliby go i przejęła majątek. Janina oburza się, że wziąłem ją za morderczynię. No dobrze, mówię, w takim razie co robię tutaj, w ogródku, nad świeżym grobem? Janina bredzi coś o nadzwyczajnych sytuacjach. Dodaje jeszcze, że bardzo jej przykro. Obok niej wyrasta Pawełek i unosi łopatę.

Przegrałaś, ruro!

I.

Oczy Pawełka mogłyby należeć do skrzywdzonego dziecka, jednego z tych maluchów, których koledzy opluwają przeżutym chlebem i podtapiają w pisuarze. W swoim ciosie zawrze całą nienawiść, jaką chowa do świata. Gdy mnie walnie, będzie myślał o upokorzeniach, których doznał od Janiny, i o tym, jak bardzo jest nikim. Półdebil bez przyszłości uczepiony spódnicy mamusi. Pomyśli o życiu, które mu uciekło, i wtedy mi przywali.

Innymi słowy, mam przegwizdane.

Leżąc, próbuję wyglądać na pokonanego i bezbronnego, co, przynajmniej szczerze, nie jest znów tak dalekie od prawdy. Co z papierosem, pytam. Ostatni papieros należy się każdemu, choćby skazany zjadał dzieci. Chyba mi go nie odmówicie, co? Janina zgadza się skinieniem głowy, w westchnięciu Pawła brzmi rozczarowanie. Wciąż unosi łopatę. Nie pozwala wstać. Leżąc, przetrząsam kieszenie. Znajduję zapalki, zmiętą paczkę szlufów. Wiatr kilkukrotnie strąca płomynek. Szlachta pali drewnem, nie ma co.

W końcu zapalam. Ostatni papieros powinien smakować jakoś szczególnie. Powinien lecieć z rąk. Dym z chesterfielda czochra mi płuca jak zwykle, zresztą nie zamierzam tu umrzeć. Dałem się podejść jak dziecko, ale nie jestem głupi. Na Irka Króla nie ma mocnych.

Pytam Janinę, co planuje zrobić z telefonem. To cholernie cenna rzecz, kosztował dwa życia i jedno pobicie, więc wypadłoby się nim cieszyć. Mina staruchy pozwala sądzić, że ostatni raz radowała się, patrząc, jak Mieszko rżnie Niemców pod Cedynią. Przypomina, że nie zabiła Kutavaggia, nie zleciła też pobicia własnej córki. Za kogo ją mam? Poza tym sam sobie jestem winien. Chce, żebym pospieszył się z chesterfieldem. Do czego mam się spieszyć? Zazwyczaj palę, by palić, teraz jednak delektuję się każdym zaciągnięciem. Niestety każdy, kto odciął się od tego cudownego nałogu, myślę i pytam Janinę, czy sprawdziła już telefon ode mnie. Czy zawiera to, czego szukała? Babina pryska z ogródka, nakazując Pawełkowi, żeby mnie pilnował. Leżę wygodnie podparty na łokciach. Kiwam stopą, wydychając dym nosem, a ten tępak ma minę, jakby się zastanawiał, czy nie przydzwonić szpachłą w środek własnego czoła.

Wesoło mi, bo się zabezpieczyłem. Nie znam się na telefonach. Aparacik od Kutavaggia może jest jedyny w swoim rodzaju, jeśli chodzi o zawartość, ale technicznie nie różni się od innych, sobie podobnych. Więcej nawet. Takimi telefonikami czy można

sobie podbić. Karambol załatwił mi identyczny, za dziesięć procent od tego, co utarguję. Chciał piętnaście. Interes życia, można by rzec.

Do ogródka powraca zasmarkana Janina i wyzywa mnie od najgorszych. Jestem podłym prymitywem, paskudnym kłamczuszką, najnikczemniejszą kanalią, łajzą bez honoru i wielkim wstydem miasta stołecznego Warszawy. Jak mogłem jej to zrobić? Jak mogłem dać jej kopię telefonu bez zawartości tak pracowicie przygotowanej przez Kutavaggia? Przecież była względem mnie w porządku, tak mówi, tymczasem zbieram się z ziemi. Otrzeputę spodnie, żeby wyglądać jak człowiek. Janina nie przestaje gadać. Słyszę, że nie taką starość sobie wyobrażała, że chciała odzyskać tylko dziedzictwo swej wspaniałej rodziny, nic więcej. Gada i gada, nie odrywając ode mnie wzroku. Wyjmuję łopatę z sztywnych dłoni Pawełka i walę go w łeb, biorąc uprzednio słuszny rozmach. Dźwięk, który rozbrzmiewa, daje się porównać do odgłosu blaszanej puszeki ciśniętej w ceglany mur. Pawełek nakrywa się nogami, chwyta za czoło i płacze. Janina klęka obok, jemu współczuje, a mnie przeklina.

Przeskakuję nad dziurą, która miała być mi grobem, i odprowadzany przez płacz i wyzwiska (ty kalafiorze! Krogulcu! Niedobry łotrze! Dziki brutalu! Tyranozaurze niewychowany!) maszeruję w stronę furtki. Nim tych dwoje — wrzeszczący krety i zasmarkana staruszka — zniknie mi z oczu, przystaję, odwracam się i wypowiadam dwa słowa, które trafnie oddają obecną sytuację. Jestem poważnym człowiekiem. Unikam pozostawiania wątpliwości.

Przegrałaś, ruco!

2.

Wchodząc do domu, zaczynam rozumieć względny charakter mojego zwycięstwa. Uszedłem z życiem, co może i jest powodem do radości, lecz chwała z tego żadna. Pijane dziecko wykiwałoby tych dwoje. Wciąż nie wiem, kto zabił Kutavaggia. Mam bezcenny aparat po wspaniałym malarzu. Syna jedynej nabywczynie właśnie zdzieliłem łopatą. Jestem wielkim architektem własnej codzienności.

Myślałbym o tym dłużej, co niestety jest niemożliwe. W mieszkaniu panuje nieład. Książki zniknęły z półek i leżą na podłodze. To samo dotyczy gazet i zestawu do herbaty, który trzymamy na specjalną okazję. Pośrodku tego rozgardiaszu dostrzegam swoją najdroższą rodzicielkę. Okrągłe okulary nasadzone na haczykowaty nos upodobiły ją do wyjątkowo melancholijnej papugi. Siedzi na stołku i wertuje powieść Alistaira MacLeana, przerzucając strony małym palcem prawej dłoni.

Widywałem już takie sytuacje i wiem, jak postępować. Całuję mamusię w spracowane dłonie, otwieram denarka i siadam w fotelu, jak gdyby nigdy nic. Opowiadam o ciężkim dniu w pracy, o Barytonie, który znów pozostawiał zielone ślady na talerzach, o głupich klientach i o tym, że rozmyślałem dziś o sprawach ostatecznych. Mamusia słucha jednym uchem, drugie nastawiła na swój głos wewnętrzny. Prosi, bym dał jej denarka. Tylko na chwilę. Z tego, co pamiętam, ostatni raz wypila alkohol, jak likwidowali jej szczękę na bazarze. Podaję. Mamusia przygląda się puszcze, kręci głową i oddaje mi ją ze słowami, że to trucizna, lecz przynajmniej nasza, rodzima.

Mamusia obwieszcza mi, że trwa piąty rozbiór Polski, straszniejszy niż cztery pierwsze, ponieważ niewidzialny. Wyobrażam sobie Polskę, jak zrzuca z siebie przeпоcone łachy, te czerwone reformy i biały stanik, aż staje przede mną naga, z pomarszczonym biustem opadającym na zmięty brzuch, a mamus trajkocze o bankach i korporacjach kierowanych przez masonów i satanistów. Rozkradają nasz kraj po kawałku i niedługo nie będziemy mieli niczego swojego. Wobec takiego przeciwnika każdy staje się żołnierzem, nawet ona. To także moje zadanie. Ostoja Polski będzie nasz dom. Później przyjdzie czas na inne. Wreszcie odzyskamy ulice. Zburzymy ołtarze Euro i Dolara. Wówczas Wisła oczyści się, a orły powrócą na szczyty Tatr. Już wiem, czemu odzyskałem denarka. Piwo robi polski browar pod szyldem „Tradycja jest najważniejsza”.

Mamusia dzieli książki na zbiory i podzbiory. Rodzimych autorów życzy sobie zatrzymać, resztę zaś odrzuca. Taki los czeka mojego MacLeana. Sprawdza też, czy książka napisana przez Polaka ukazała się nakładem polskiego wydawnictwa. Jeśli nie, mamy do czynienia z czymś gorszym niż publikowanie jakichś Amerykanów lub, o zgrozo, Niemców. Polak pod obcym skrzydłem to zdrada narodowa. Słuchając jej wywodów, zabieram

swoją stertę „Przeglądu sportowego”. Zapytuję mamusię, jak daleko zamierza posunąć się w swoim szaleństwie. Przecież wszystko, co mamy na sobie, uszyły żółtki. Staniemy się nadzy jako prarodzice w raju? Co z telewizorem? Zmontowany w Chinach. Polacy nie robią żadnych telewizorów. To samo dotyczy odbiornika radiowego, który nasycy nasz dom modlitwą. Mamusia milczy chwilę, biedząc się nad odpowiedzią. Wreszcie mówi, że telewizor i radio nastawiła na czyste dobro i to je uświęca. Co innego ten paskudny telefon, który zostawiłem w szufladzie.

Co z telefonem? Denarek wysuwa mi się z dłoni. Mamusia odpowiada, że już nic. Ten przedmiot przyniósł diabła do naszej domowej świątyni. Na szczęście z tym koniec. Mogę nie wierzyć, ale tego dnia tylko raz słońce przebiło się przez chmury, dokładnie w chwili gdy mamusia cisnęła aparat Kutavaggia do śmietnika.

3.

Chyba nigdy nie zleciałem tak szybko po schodach. Łapię głębszy oddech i cwałuję przez podwórko obok kapliczki pod wezwaniem Dubeltowej Matki Boskiej ku kublom. Strach dodaje sił. Spokoju szukam, zachodząc w głowę, ileż to można dostać za matkobójstwo w afekcie.

Śmieciarze tego dnia nie raczyli się stawić, za to uprzedziła mnie konkurencja. Ojciec z synalkiem właśnie ustawili swój wózek ze szmelcem i nurkują w kublach z zapamiętałością właściwą tylko najstarszym i najbardziej otrzaskanym menelom. Wbijam się między nich. Synalek już unosi pięści. Tatuś, jak dotąd zajęty zgniataniem puszek, gasi go jednym spojrzaniem. Mówi, że to nie jest mój śmietnik i mam sobie iść.

Ten facet śmierdzi mokrą ziemią, wodą i najtańszym mydłem, minę ma jednak, jakby sam cesarz podawał mu ogień. Oświadcza, że prawo do śmietnika nabył od Ziułka Esperala w zamian za kosze przy przystanku komunikacji miejskiej „Ząbkowska” i jeszcze dopłacił siedemdziesiąt pięć złotych. Ziułek, dodajmy, wydłubuje wszywki za połowę tej sumy. Dziad powołuje się na święte prawo własności, a jego wzrok świadczy o tym, że przegryzłby mi gardło bez żadnych skrupułów. Jednocześnie synek ustawił się na mojej flance, czeka i dyszy.

Mógłbym rozłożyć ich bez kłopotu, lecz znam ciąg dalszy tej przygody. Stary skrzyknie kumpli i mnie dojadą. Poczekają z miesiąc, aż będę szedł pijany. Walną od tyłu. Zawłoką do bramy. Przejadą tulipanem po policzku albo i gorzej. W świecie walczę pięścią. U mnie, na Pradze, rozum mym orężem i sojusznikiem.

Skoro dziadyga, ten sęp odpadkowy, nabył uczciwie nasze kosze, atakuję go własną uczciwością. Proponuję czasowy dostęp, powiedzmy, kubel w leasing na jedyne dwadzieścia minut. Dam całe piętnaście złotych i dorzucę denarka. Stary, rozważając moją propozycję, rusza ustami, jakby żuł skórę od chleba, za to młody ma chyba więcej rozum niż tatko, bo chce pogrzebać w śmieciach. Bardzo ciekawi go, czegoż tak szukam.

Stary strofuje młodego: nie godzi się tak, skoro wciąż trwają negocjacje. Przypuszczam, że kieruje nim nie tyle szlachetność, ile lęk przed oberwaniem w kły. Niemniej podbija stawkę. Trzy dychy i ani złotówki mniej.

Zapłaciłbym bez mrugnięcia okiem, ale nawet tę piętnastkę muszę z drobizny składać. Nie mam, panie kochany. Stary wzrusza ramionami. Trudno. Niech młody przetrzepie śmietnik. Rozumiem już, co czuła Janina.

Stoję, a jakbym leżał, jakby mi nogi podcięto. Na moich oczach młody zabiera się za kosze. Przyglądam się temu i kipię z wściekłości. Stary opiera się o wózek załadowany kartonami i szczyrzy się drwiąco. Och, starłbym ci z pyska ten uśmieszek, dziadu jeden. Mogę tylko patrzeć — wredny staruch nad dobytkiem życia. I już wiem. Kartony to szare złoto dla tych facetów. Mam inną propozycję.

Dziesięć minut później stoję z telefonem w jednej i denarkiem w drugiej dłoni. Klikam w ekran. Wszystko jest. Przeglądam te obrazki, kwadraciki, czy jak tam to nazywają i widzę coś, co wcześniej mi umknęło. Uruchamiam. Jakby film. Przesuwają się twarze ze zdjęć i portretów. Minie chwila, nim zrozumiem, co łączy te mordy. Zostali otruci. Wszyscy. Co do jednego.

Ojciec z synem wyłaniają się z trzewi klatki schodowej, sapiąc i klnąc. Ciskają na wózek naręcza książkę. Oddałem im moją przetrzepaną przez matkę bibliotekę.

ROZDARTE SERCE BARYTONA

I.

Telefon od Kutavaggia jest jak *Mona Lisa* podprowadzona z Luwru. Jak gar złotych monet z czasów króla Ćwieczka albo martwa dziwka znaleziona w łóżku nad ranem. Piękna rzecz i cenna, lecz nie wiadomo, co z tym zrobić.

Roznoszę sałatkę rzymską i ser topiony z sosem truflowym, rozmyślając tylko o tym, że przeholowałem.

Zawartość telefonu może i jest warta tyle, co furgon złota w sztabkach, lecz nie mam pojęcia, co z nią zrobić. Jeśli pójde z tym do jakiejś galerii, natychmiast mnie zapuszkują. Emek, łasy na aparacik, jest bez grosza przy zaćpanej duszy. Ćwiek może co najwyżej zastawić własną sztuczną szczękę.

Kopnąłem piłkę mocno, lecz niecelnie. Przeleciała nad bramką i wylądowała na trybunach. Być może to cenna lekcja od życia, lecz ja jestem zbyt stary, aby wciąż się uczyć. Ta cała sprawa jest komedią, w której główne role grają martwy bufon, wredna starucha oraz przypadkowy kelner, czyli ja.

Jedynym pocieszeniem w takiej sytuacji, choć marnym, mogą być kobiety, lecz i na tym odcinku jest kiepsko. Przy oknie usadowiła się pulchna kwoczek w piekielnie drogich okularach. Otuliła się szalikiem i chyba uczy się menu na pamięć. Zagaduje. Chce wiedzieć, co mamy dobrego. Chętnie powiedziałbym jej, że wszystko jest wstrętne. W Bałatonie karmimy ludzi odpadkami. W zamian proponuję krewetki duszone w sosie maślano-rybnym, ułożone na liściach szpinaku. To dobra przekąska, akurat by namyślić się nad daniem głównym.

Pulchna kwoczek zastanawia się głośno, czy wszyscy tutaj są tak straszliwie mili. Przypomina mi się dźwięk łopaty uderzającej o Pawelkowy łeb, kłaniam się w pas i stwierdzam, że owszem. Na zapleczu zderzam się z królem sympatyczności wszelkiej, czyli Barytonem.

W naszym kucharzu zaszła jakaś poważna przemiana, lecz potrzebuję chwili, aby ją wychwycić. Już wiem. Baryton jest czysty i pachnie czymś więcej niż czosnkiem i tłuszczem. Oczy mu płoną. Do tego zmienił koszulkę, co należy uznać za wydarzenie na miarę lądowania załogowego na Marsie albo nawet Drugiego Przyjścia. Wenus wynurzającą się z piany zastąpiła ruda wywłoka, czyli *Siedząca kobieta ze zgiętym kolanem* Schielego. Dziewczę to, w oryginale smukła ruchawica, na cielsku Barytona zmienia się w coś pomiędzy smerfetką a balonem meteorologicznym. Baryton oświadcza, że ubierając się w ten sposób, podkreśla kobiecą stronę swojej natury. Zarazem boi się zerknąć na sałkę i chce wiedzieć, czy randka już przysła. Opis kobiety od biedy pasuje do pulchnej kwoczki.





Podekscytowany Baryton opowiada o tym, jak podbił Internet. Macha przy tym łapkami i piszczy. Odkrył jakąś aplikację dla nieśmiałych randkowiczów, wysłał mnóstwo zaproszeń, dostał kilka odpowiedzi i teraz realizuje się w poliamorii. To świetnie, odpowiadam, ale co strzeliło mu do głowy, żeby przyciągnąć ją do naszej restauracji? Baryton mruga ze zdziwienia i mówi, że przecież tu karmią najlepiej. Przygotuje krewetki, jakich świat nie widział, jako zaczyn wielkiego erotycznego sukcesu. Baryton jaśnieje w naszej kuchni, jakby miał eksplodować. Kwadrans później nie jest już tak wesoło. Wyruszą z krewetkami, wystawiam łeb na salę tylko po to, by natychmiast się wycofać. Dwa stoliki od pulchnej kwoczki usadowiła się żyrafa w czerni. Ma sweterek, ciemne włosy zaczesane za uszka i szyję niczym słup trakcyjny. Też studiuje menu i wyraźnie na kogoś czeka.

2.

Na godzinę przed zamknięciem sytuacja prezentuje się następująco. Z Balatonu wyszli już wszyscy klienci płci męskiej, za to liczba kobiet zwiększyła się do trzech. Do żyrafy w czerni i pulchnej kwoczki dołączyła wesoła sówka. Ta nawet jest całkiem do rzeczy. Doi wino z drugiej już karafki i łypie na boki wielkimi oczyma. Okrągłe okulary potęgują wyraz zdziwienia. Wszystkie trzy panie są wyraźnie znudzone, lecz nie zamierzają odpuścić, zapewne dlatego że wciąż donoszą potrawy i przysmaki na koszt naszego drogiego kucharza, który już za chwilę wyjdzie.

Kuchnia sprawia wrażenie opuszczonej. Garnki stygną. Nad zlew zaraz zlecą się muchy. Baryton zatrzasnął się w spiżarni i nie chce wyjść. Słyszę, jak obija się o ściany, żre surową marchew i popiskuje.

Stukam i proszę, żeby wyszedł albo chociaż mnie wpuścił. Póki co próżny to trud. Mówię, że przecież nie wydrapią mu oczu, i chcę wiedzieć, co sobie myślał, kiedy zaprosił wszystkie trzy tutaj na jedną godzinę. W odpowiedzi słyszę wysoki skowyt, a po nim odpowiedź: Baryton umawiał się wielokrotnie, lecz nigdy żadna nie przyszła. Potem odkrył Internet i teraz cierpi od nadmiaru.

Błaga, żebym mu pomógł. Powołuje się na moje doświadczenie z kobietami, a gdy zwlekam z odpowiedzią, godzi się zejść ze swojego procenta od napiwków. Propozycja jest kusząca, lecz każdemu należy się forsą za wykonaną robotę. Składam kontrofertę. Pomogę, jeśli otworzy drzwi do spiżarki. Rozpaczliwe chlipnięcie odbieram jako znak zgody.

Baryton klęczy na podłodze i minę ma, jakby właśnie objawił mu się zastęp wyjątkowo tłustych aniołów. Nawet ręce złączył jak do modlitwy. Sunie ku mnie na kolanach i przeprosza za wszystko. Błaga, bym wyzwolił go z tej kabały. Myślę przez chwilę. Baryton ma ogarnąć się w ciągu pięciu minut. To jedyne podziękowanie, jakiego oczekuję.

Wracam do kuchni. Zgarniam wszystkie papiery, które mamy: gazety, stare kopie menu, ulotki reklamowe. Cały ten szajs, który walał się na najwyższych półkach, ładuję do dwóch garnków pozostawionych na płycie grzewczej. Postawa pionowa wciąż jest za trudna dla naszego Barytona. Podnoszę go z klęczek, trzykrotnie walę w głowę otwartą dłonią. Niech założy kurtkę i czeka. Powinniśmy mieć tylne wyjście na wypadek takich sytuacji.

Baryton biedzi się z powierzonym mu zadaniem. Podpalam papiery w garnkach. Ogień bucha gwałtownie, by zaraz przygasnąć, jak zawsze w takich wypadkach. Za to dym wypełnia kuchnię. Pojawia się też ważniejszy sojusznik — smród. Gdy zjawiam się w sali, wszystkie trzy kobiety są poważnie zaniepokojone. Mówię, że mamy małeńki pożar, i proszę, by natychmiast wyszły. Przepraszam za zaistniałą sytuację i zapraszam znowu, w lepszych okolicznościach. Czarna żyrafa i pulchna kwoczka natychmiast podnoszą się z krzeseł i lecą do wyjścia, natomiast wesoła sówka sądzi chyba, że to doskonały żart. Zamiast pogratulować jej przenikliwości, pozwalam zabrać karafkę na koszt firmy.

Za wesołą sówką zamykają się drzwi dokładnie w chwili, gdy słyszę pełen strachu krzyk Barytona.

3.

Wybija godzina duchów. Siedzę przy stoliku Kutavaggia w Balatonie. Przez otwarte drzwi wdiera się chłód, wyczuwam też wyraźny smród spalenizny. Dobrze znam jego źródło. Są nim moje własne brwi.

Gapię się na menu i telefon, zachodząc w głowę, jakim cudem wszyscy nie splonęliśmy żywcem.

Baryton usiłował podtrzymać ogień. Nie wiedział, biedny, że lepsze jest wrogiem dobrego, i chlusnął olejem wprost na papiery żarzące się w garze. Płomień buchnął pod sam sufit. Mniej więcej wówczas Baryton zaczął wrzeszczeć głosem diwy operowej zmuszonej do spaceru po czerwonych węglach. Wzywał pomocy, lecz na nią nie czekał. Zastałem go, jak szarżował w stronę garnka, unosząc wodę w butli pięciolitrowej. Ryknąłem, by tego nie robił. Rzuciłem się, by wyrwać mu butlę, Baryton jednak okazał się szybki, całkiem jak nie on. No i wałnęło. Pierwszym, co zobaczyłem po odzyskaniu przytomności, był pęknięty garnek i języki ognia pełzające po płycie grzewczej. Zdusiłem je szmatą zaraz po tym, jak ugasiłem własne brwi. Mniej więcej w tym czasie przyszło mi do głowy, że

straciłem kontrolę nad własnym życiem. Wiele mi się jak dotąd zdarzyło, ale pierwszy raz wyleciałem w powietrze. Siedzę teraz i czekam, aż Baryton skończy sprzątanie. Mam nadzieję, że nie połamię sobie palców przy szorowaniu podłogi.

A jeszcze niedawno było tak spokojnie. Można pomyśleć, że Kutavaggio zabrał ze sobą ład i porządek.

Nie jestem myślicielem, ale jak człowiek wyleci w powietrze, zbiera mu się na refleksje. Jeszcze niedawno Kutavaggio siedział właśnie przy tym stoliku i jadł własnymi sztuczkami. Potem wychodziliśmy na papierosa. Zostawiał mi paczkę. A teraz go nie ma. Był durny, śmieszny i zostawił po sobie pustkę.

Przecież pamiętam, jak tuż przed śmiercią zachowywał się jak wariat i jeździł wszędzie tym swoim telefonem. Być może przeczuwał, że kroi się coś niedobrego.

Z kuchni dobiega nawoływanie Barytona. Jęczy, że zrywa z poliamorią. Niewiele mnie to obchodzi, bo przed oczyma mam trzy kobiety, które tutaj przyszły, każdą wpatrzoną w menu. To samo menu, które leży przede mną jako i niedawno przed Kutavaggiem. Jeździł nad nim swoim telefonem.

To, co wzięłam za pusty gest, okazało się sensowne. Wiem, bo patrzę na menu przez ekran aparatu.

Na pierwszej stronie widnieje wytarta reprodukcja *Martwej natury z jabłkami i brzośkwiniami* Cézanne'a. Menu czasem się zmienia, ta karta nigdy. Zdążyłem o niej zapomnieć.





Z kuchni dobiega odgłos spadających garnków. Baryton świszczącym falsetem ślubuje wieczną abstynencję seksualną i znów coś leci z półki. Nic mnie to nie obchodzi. Wiem, kto zabił Kutavaggia.

PRZECIEŻ ZAWSZE CHODZI O SZMAL

I.

Coście, moczymordy, uczynili z Powiślem, kiedy mnie nie było?

Dawniej panowała tutaj cisza i ciemność, a o tej porze, przed pierwszą w nocy, mogłem przejść spod uniwersytetu Obożna aż do Wisły, spotykając co najwyżej pijanego posła wytaczającego się z Harendy. Park Kazimierzowski był ciemny i cichy. Na ławkach bulwarowych pospiesznie pieprzyli się młodzi i wszystko grało jak orkiestra podwórkowa. Ulice ginęły w półmroku. Niekiedy dał się słyszeć szum rzeki. Harendę oblepiają ludzie w puchowych kurtkach narzuconych na kraciaste koszule. Część nosi garnitury, które na ich miękkich ciałach wyglądają jak mokre. Park Kazimierzowski rozświetlono jak na Boże Narodzenie, lecz wali rozmokłym gównem po staremu. Świateł zresztą na starym dobrym Powiślu zrobili od groma. Błyszczą się Obożna, jaśniej Browarna z Topielą, lampy ciągną się Leszczyńską aż do tego idiotycznego centrum technologii, gdzie nawet człowiek z łbem na karku zmieni się w orangutana.

Tak właśnie wygląda nowoczesność, oto pomysł na naprawienie tego wspaniałego kraju. Niech wszystko będzie rozświetlone. Spoglądam na rozbawionych rodaków i aż muszę walnąć setkę w Kafce, żeby mi się polepszyło. Widzę młodych, jak gramolą się Obożną ku Staremu Miastu. Dyszą przy każdym kroku, chwieją się i płaczą im się nogi chudsze od mojego przedramienia. Można by pomyśleć, że zdobywają ośmiotysięcznik albo przynajmniej Gubałówkę. Widzę ich zapach. Widzę ich pustkę.

U zbiegu Browarnej z Topolową zbiega się grupka zagraniczniaków. Tłoczą się, jakby stali na łódce sunącej przez Morze Śródziemne, lecz cieszą się bardziej niż ci biedacy z Syrii. Dosłownie jeden wyłazi na drugiego. Skośnooka młódka taka, wysuwa telefon komórkowy na długim patyku i cyka fotkę tej zbieraninie. Dotąd myślałem, że takie rzeczy nie zdarzają się w Polsce. Robią parę kroków i znów do zdjęcia. To jedyne, co zobaczycie na swoich wakacjach, kretyni: ekranik aparaciku kupionego w abonamencie.

W hamującej gwałtownie taksówce otwiera się przednie okno od strony pasażera. Wylania się fioletowy tłusty łeb i chlusta na karoserię jasną rzygowiną. Inni kierowcy trąbią. Chłopakowi w kapturze leci z rąk szklana lufka. Dziunia w miniówce wali po pysku brodacza w czarnym płaszczu trzy czwarte. Zalana łzami próbuje się dostać do zapaskudzonej taksówki, tyle że z drugiej strony. Taksówkarz próżno tłumaczy, że ma klienta. Odjeżdża odprowadzany przez przekleństwa. To wszystko kiedyś skrywało się w półmroku. Teraz jest pięknie oświetlone. W końcu mieszkam w stolicy, gdzie wszystko musi być nowoczesne i europejskie.

2.

Apartamentowiec na Leszczyńskiej niewątpliwie wyprzedza nasze czasy, choć strzeżony jest lepiej niż średniowieczna twierdza. Bije w niebo lśniąca fasada, drzwi jednak zastają zamknięte. Portier podnosi się po trzecim dzwonku i pyta, do kogo się wybieram. To mówię. Portier robi minę, jakbym mu ojca harmonią zabił, i wpuszcza mnie do środka. Jego twarz nie pozostawia wątpliwości: do Emka przychodzili goście mniej wyszukani niż ja.

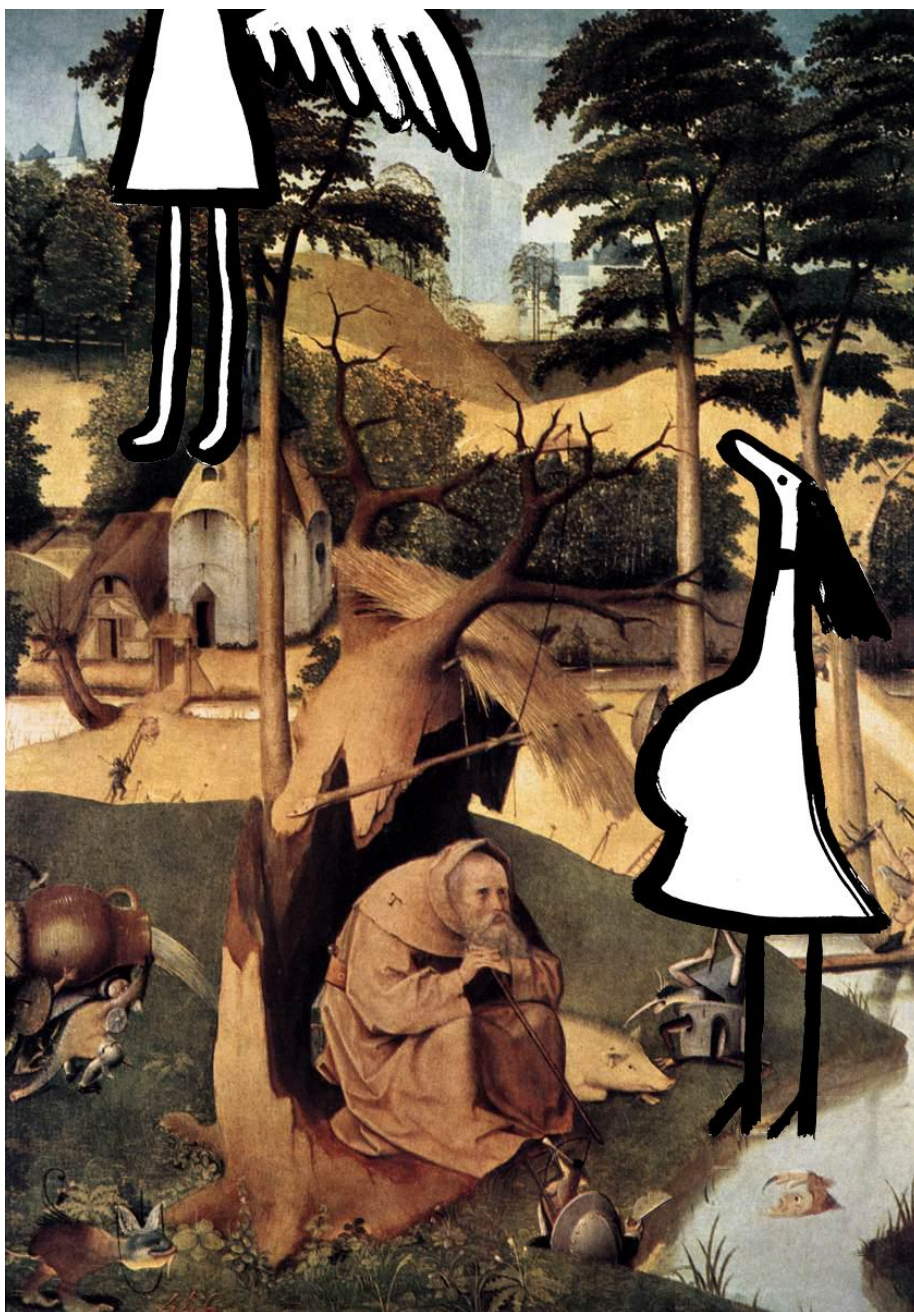
Ściany pokrywa czerwony atlas, stąpam po miękkim dywanie. Mijam podświetlony wodotrysk i owiany lekkim zapachem aptecznym pacham drzwi prowadzące na podwórko. Jaśnieją lampki na podmurówce ogródka. Pod bryłą ze szkła zieleni się basen. Ze ścian można by jeść, a z resztek odgarniętego śniegu ugotować zupę. W szybie bramy na klatkę dostrzegam własną głębę i coś, chyba nie jest najlepiej. Emek, który widzi mnie w kamerze domofonu, też sprawia wrażenie niezadowolonego. Mówi, że jest środek nocy. Radzę, by się zamknął i otwierał. Wejść tak czy siak. Drzwi brzęczą.

Na klatce schodowej podłoga jest czarna i błyszcząca. Ściany pokrywają lustra przecięte przez podświetlone linie. Aż wstyd wchodzić do windy. Drałuję po schodach na drugie piętro. Drzwi Emka poznałbym i bez numeru. Na wycieraczce stoją cztery worki pełne śmieci. Dzwonię.

Otwiera mi Emek w szortach i podkoszulku bez rękawów. Wraz z nim pojawia się woń niedopałków, zaschniętego piwa, brudnych ubrań i gnijącego żarcia — smród getta, doków, cygańskiego namiotu. Nie witam się, nic nie mówię, po prostu wchodzę, popychając zbaraniałego gospodarza w głębi nory, gdzie tak intensywnie cieszył się życiem.

Na mieszkanie składa się pokój z aneksem kuchennym i sypialnia oddzielona kotarą zwisającą smętnie z naderwanego karnisza. Nad łóżkiem wisi ogromna reprodukcja *Kuszenia świętego Antoniego* Boscha. Święty garbi się pod drzewem i wytrzeszcza oczy jak kot srający w sieczkę. W innych okolicznościach zastanawiałbym się, co kierowało tym główniarzem, że to tutaj zawiesił.





Prócz tego Emek ma okna na całą ścianę, wielkie łóżko i błyszczącą mozaikę pod rojem światel punktowych. Nie wiem jednak, gdzie stąpać. Podłogę pokrywa gruba warstwa puszek, butelek i kartonów po pizzy, między którymi walają się niedopalki, bibułki do skrętów, strunowe woreczki i opakowania po lekach na głowę. Najwyraźniej mądry Emek leczy się sam. Ma durnia za doktora. Brnie zanurzony po kolana w tym oceanie w stronę stołu z laptopem, torując mi tym samym drogę.

Na stole jest pełno papierów i liczne kubki służące za popielniczki. Z niektórych sterczą kopce petów. Jedyne w miarę czysty kawałek zajmuje lustro uwalane resztkami koki czy też innego świństwa, którym faszerują się młodzi idioci. Co się stało z tym światem, że wam wódeczka nie wystarcza. Emek chyba nie bardzo wie, co się dzieje. Macha chudym ramieniem, śmieje się i przeprasza, że nie posprzątał. Nie odpowiadam. Pyta, czy czegoś się napiję, i rusza w poszukiwaniu flaszki, nawet nie czekając na odpowiedź. Radosny pisk zapowiada koniec tego trudu i rzeczywiście — spryziula wyławia butelczynę z wiśniówką na trzy palce.

Poczęstunku nie odmówię, życzę sobie jednak czystą szklankę. W oczach Emka odbija się zdziwienie zmieszane z przekonaniem o skandaliczności moich oczekiwań. Brnie jednak do przepelnionego zlewu. Musi stracić kilka naczyń, by oswobodzić kran. Szorowanie kubka trochę mu zajmuje i sam tłumaczy dlaczego. Tydzień temu odcięli mu ciepłą wodę. A może miesiąc? Emek nie pamięta.

Nalane. Wykonuje gest, jakby chciał się stuknąć. Po prostu piję. Niezrażony Emek pyta, jakim cudem go znalazłem. Odpowiadam, że zadzwoniłem do Kryski i dostałem adres, co akurat jest zgodne z prawdą. Emek wpada w słowotok: Krysia, miła Krysia, fajna Krysia, co cały czas gada różne głupoty i przejmuję się dla samego przejmowania. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić, więc została lesbijką. Dla każdego ma dobrą radę. Dobre rady łatwo mieć. Przerywam mu, radzę, żeby się zamknął, i chyba nawet trochę krzyczę, bo Emek osuwa się na krzesło, poci się i trzęsie. Z trudem odstawia szklankę. Pyta, po co przyszedłem. Myślał, że jesteście kumplami.

Po co przyszedłem?

3.

Mówię Emkowi, że wiem. Otruł własnego ojca. Przypuszczalnie robił to przez kilka tygodni niczym zawodowi truciele z dawnych dobrych czasów. Doprawdy nie wiem, jakim cudem starczyło mu cierpliwości i pomysłu. Tak gadam, a Emek zaczyna szlochac. Jego płacz, jak na faceta, który zamordował własnego ojca, brzmi naprawdę wzruszająco. Kładzie się na białce i wali pięściami we własną głowę. Warto dodać, że niezbyt mocno.

Zalany łzami, zasmarkany próbuje wszystkiemu zaprzeczyć. Ojciec był dla niego wszystkim. Kochał go bardzo, a przynajmniej dość, by nie wlewać mu jadu do herbaty przy każdej wizycie. Kutavaggio przychodzący z własnymi sztuczkami do Balatonu i żywo zainteresowany przyrządzaniem potraw nagle wydaje mi się nieco mniej paranoiczny. Proszę Emka, żeby się zamknął. W odpowiedzi Emek wysuwa przed siebie związane pięści i wręcz błaga, bym go zaobrączkował. Chce natychmiast znaleźć się na komendzie. Sędziego poprosi o najsurowszy wyrok. Jest śmieciem, stwierdza, zasłużył tylko na więzienie. Pójdziemy natychmiast, jak tylko dopije swoją banię.

Emek, jakże przenikliwy w ocenie własnej osoby, pod całą przetrwałby może kwadrans. Mówię mu to. Potrząsam chłopakiem, bić nie będę przez litość. Pytam, czy to on kazał natłuc Krystynie — jasne jest, że sam by nie dał rady. Emek gwałtownie zaprzecza. Nawet nie wiedział, że Kryśka wylądowała w szpitalu Przemienienia. Tak się trzęsie, że trudno mu nie wierzyć. Mówię więc, co mam do powiedzenia. Jakby przytomnieje, słucha z uwagą moich słów i rozdziawia gębę.

Na cóż mi Emek w pudle? Jedynie frajerzy dochodzą sprawiedliwości. Kutavaggio był tylko wyjątkowo pretensjonalnym klientem naszej podłej restauracji, słowem, ani myślę pójść na policję. Pod jednym warunkiem. Niech Emek mi zapłaci. Pół dużej bańki w gotówce i będę zadowolony. Mina chłopaka wskazuje, że równie dobrze mógłbym zażądać miliarda dolarów. Kiwa jednak głową. Błaga o dwa tygodnie. Skołuje kasę. Daję mu trzy dni. Może sprzedać mieszkanie. Może zadłużyć się u gangsterów albo, co gorsza, w Providencie. Nic mnie to nie obchodzi. Puszczam nieszczęśnika. Opada na podłogę. Śmieci przykrywają go zupełnie.

EMEK

I.

W pokoju szpitalnym Krystyny zastaję dwa wolne łóżka. Wcześniej było tylko jedno. Dziewczyna przy oknie wciąż stuka w ekranik, jakby dalej pisała tego samego esemesa, istną powieść na telefony przeznaczoną dla frajerów stojących w korku na Puławskiej. Staruszka-złodziejka przywołuje na twarz odruchowy uśmiech, który kwaśniej natychmiast, gdy mnie rozpoznaje. Łóżko, na którym leżała kobieta doczepiona do cewek, stoi puste, a nawet elegancko zaścielone. Sztywny krochmal pościeli mógłby mnie wpędzić w zadumę nad kwestią przemijania i kruchości żywota człowieka, gdyby nie wesoła gęba Kryski. Dziewucha zerwałaby się z posłania, gdybym jej pozwolił. Pochylam się, biorę w ramiona. Ostrożnie. Krucha jak ciasteczko.

Kryśka pachnie odplamiaczem i mokrym ręcznikiem. Z ręki zniknął bandaż, twarz jest mniej opuchnięta, gips pozostał na swoim miejscu. Zamiast pidżamy Kryśka ma na sobie wytarte spodnie dresowe i bluzę, która zapewne należała wcześniej do jakiegoś wyjątkowo rosłego siłacza cyrkowego. Pytam, gdzie takie łachy dają. A ona: wiesz, spotykałam się kiedyś z taką dziewczyną...

Ostentacyjne prychnięcie staruszki-złodziejki tylko podsycza płomień radości. Aż piguła wsadza łeb w szparę między drzwiami a futryną, pyta, co tu za kabarety odchodzą. Znika, nie doczekawszy się odpowiedzi. Nasłuchuję cichnących kroków na korytarzu i wyjmuję prezenty. W kościele powiadają, że chorych należy odwiedzać. Nie wypada jednak z pustymi rękami.

Z reklamówki wyjmuję butelkę wiśniówki wraz z kieliszkiem oraz paczkę vogue'ów slimów. Kryśka aż przykłada rękę do ust. Radosne oczy robią się wielkie jak koła młyńskie, gdy podaję ostatni z prezentów, czyli słoik nutelli. Kobiety są różne, nieraz tępe bądź pełne tajemnic. Stare i młode, wykształcone i wolne od szkół wszelkich, małe i wielkie, z cyckami czy też bez łączy miłość do masła czekoladowego oraz, najczęściej, wstyd z powodu tego zamiłowania. Kryśka jest jednak bezwstydna. Zaraz odkręca słoik, wsadza dwa paluchy i oblizuje po kłykcie. Po wargach staruszki-złodziejki błądzi węzowy język.

Rozmawiamy chwilę o niczym. Kryśka wyznaje, że czuje się całkiem dobrze i nie może się doczekać, aż ją wypuszczą. Na moje trzymają ją, ponieważ szpital dostaje forszę za każdego pacjenta, a z taką Kryśką nie ma wiele zachodu. Dziewucha wyznaje, że pobicie jest jak zły sen, o którym próbuje zapomnieć, i minie trochę czasu, nim odważy się wyjść sama po zmroku. Toż ją odprowadzę, pod warunkiem że napijemy się wódki. Chciałbym pić z nią wódkę, bo jest fajną dziewczyną, dodaję i powtarzam swoją obietnicę: znajdę człowieka, który ją pobije, i nogi mu z dupy powyrywam. Zdaniem Kryśki byłby to całkiem miły gest, ale zadowoli się wódką.

Aby nie było nazbyt wesoło, naprowadzam rozmowę na Emka. Kryśka powinna wiedzieć, zasłużyła. Wyznaję, że byłem u niego w domu i chłopak idzie na dno. Stracił kontrolę nad swoim życiem. Kryśka poważnieje. Odstawia nutellę. Wciska wódkę między materac a ramę łóżka. Jej dłoń krąży w poszukiwaniu papierosa, by w końcu chwycić róg pościeli. Emek nigdy nie miał żadnej kontroli, bo mieć nie mógł. Kryśka zaczyna mówić.

2.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Kutavaggio bujał się z pewną młodą krytyczką sztuki, jedną z tych głupich, pretensjonalnych dziewczuch, które sądzą, że zrobią karierę na plecach potężnego starucha. Widywałem i takie: mają wielkie okulary, tlenione włosy, cycki w fiszbinie i kolorowe ciuchy, słowem, wyglądają jak kanarek, który wleciał na plan filmu pornograficznego. Obojgu układ się opłacał. Dziewucha zyskała kontakty, a ten wyleniały satyr mógł kumplom pochwalić nie tylko sukcesem i forszą, lecz też młodą pannicą. Żarło tak dobrze, aż zdechło. Bowiem pojawił się brzuch.

Jak znam życie, laska wpadła specjalnie, licząc, że usidli Kutavaggia. Ten, dowiedziawszy się o ojcostwie, natychmiast ją przepędził. Skończyły się rauciki i wakacje w Maroku. Nastął czas pampersów i nocy z rozwrzeszczanym juniorem. Kutavaggio postępował przyzwoicie we własnym rozumieniu. Płacił hojne alimenty, a gdy Emek poszedł do przedszkola, załatwił byleję kochance jedną robotę, drugą i dziesiątą. Miał tylko jeden warunek. Nie chciał oglądać swojego syna ani nawet o nim słuchać. Dzieci, jego zdaniem, przeskadzały w tworzeniu sztuki. Lepiej skrzywdzić malca niż kulturę polską.

Emek rósł. Jego matka okrzepla. Pracowała w domu aukcyjnym przy placu Konstytucji, a potem w Zachęcie. Sypiała z dyrektorami i asystentami, co kończyło się źle, jak zawsze, gdy w grę wchodzi dyrektorzy albo asystenci. Gdy jej uroda weszła w stadium schyłkowe, a Emek skończył gimnazjum, poznała pewnego importera fasoli ze Szwajcarii i natychmiast zakochała się na zabój. Ponieważ importer ani myślał przeprowadzać się do Polski, Mahomet pofatygował się do góry. Dziewucha porzuciła wszystko i pomknęła do Zurychu. W efekcie piętnastoletni Emek zameldował się na progu domu Kutavaggia i powiedział coś w stylu: „cześć, tato”.

Kutavaggio zaopiekował się dzieckiem, jak umiał najlepiej: natychmiast kupił Emkowi mieszkanie na Leszczyńskiej, obiecał regularne przelewy i poprosił syna, by ten

odwiedzał go najrzadziej, jak może. Piętnastolatek rozpoczął życie dorosłego, tylko wolne od trosk. Sam pilnował szkoły i tego, by zjeść śniadanie. W efekcie całymi dniami laził głodny i niedouczony. Wolna chata ściągnęła kolegów. Z nimi pojawiła się wódka. Zielsko. Prochy do nosa, do mordy, do żyły — wszystkie razem do dupy.

Tutaj pojawia się Krystyna. Wystarała się o opiekę prawną nad Emkiem. Codziennie przychodziła na Leszczyńską, a później ściągnęła chłopaka do siebie. Robiła mu kanapki do szkoły, pomagała odrabiać lekcje i bez przerwy rozmawiała z nauczycielami, jakby Emek nie był starym koniem, tylko dziesięciolatkiem. Jakoś dotoczył się do matury i gdy wydawało się, że wszystko będzie dobrze — odpuścił. Oświadczył, że chce mieszkać sam, i wrócił na Leszczyńską.

Początkowo jeszcze się trzymał i gdyby mieszkanie znajdowało się gdzieś dalej, na jakimś Bródnie, na Białoleśce, być może Emek by się uratował. Pod nosem miał wszystkie knajpy Powiśla, dziesięć minut marszu dzieliło go od pawilonów, aby dotrzeć na Chmielną, potrzebował kwadransa. Knajpa kosztuje. Człowiek oszczędny w knajpę swój dom przemieni. Kryśka przychodziła do tego otwartego domu, spłacała dilerów Emka i wypędzała blade dziewczuchy, których, jak sama twierdzi, nie tknęłyby, nawet gdyby wyładowała na bezludnej wyspie, mając za jedyne towarzystwo koczkodana i taką wywłokę.

Odbyli tysiące rozmów, wizyt u terapeutów gdzieś drugie tyle, aż w końcu Emek zrobił to, co każdy ćpun robi względem swych najbliższych. Zwymywał Kryskę od najgorszych, mianował wrogiem, niszczycielem życia i przepędził. Zmienił telefon i zamki w mieszkaniu. Kryśka na próżno próbowała do niego dotrzeć, a gdy w końcu zaczęli znów rozmawiać, zrozumiała, że chłopak, którego próbowała wychować, jest już innym człowiekiem.

3.

Kryśka siedzi na brzegu łóżka i ściska dłonie kolanami. Jej zdaniem Emek był wrażliwym dzieckiem i został bardzo zraniony. Mówi, że to wszystko przez matkę i ojca, ale w jej głosie wyczuwam coś innego. Część tej fajnej babeczki naprawdę wierzy, że to, co powiedział Emek, jest prawdą. To ona go zniszczyła. Moim zdaniem solidne lanie na gołą dupę w młodości naprostowałoby smarkacza. Zachowuję tę mądrość dla siebie, zwłaszcza że Kryśka chlipie, a ja mam do powiedzenia coś dużo gorszego.

Obejmuję Krystynę. Do przemowy zabieram się jak dziadek do babki, przełykam ślinę, krztuszę się, aż wreszcie Kryśka sama prosi, bym powiedział, co mi leży na wątrobie. No dobrze, zrzućmy to z wątroby. Emek otrul Kutavaggia, to jest Zbyszka Płaczka. Chodziło o spadek. Przypuszczalnie dosypywał mu małe dawki trucizny do herbaty podczas każdych odwiedzin. Kryśka ani myśli w to uwierzyć, więc mówię, że Emek sam się przyznał. Jak się przyznał, co powiedział? No słowo w słowo nie powtórzę, ale przecież wczoraj z nim rozmawiałem. Nie jestem idiotą. Kryśka ma przeciwne zdanie.

Słyszę, że jestem najgłupszym z ludzi. Cegła w murze przy mnie zasługuje na doktorat. Przecież pobił ją ten sam człowiek, który zabił Kutavaggia. Odpowiadam, że tego akurat nie wiemy. Kryśka macha ręką. Pobicie nieważne! Trucie nieważne! Emek mógł wlewać ojcu jad do zupy przez ostatnią dekadę, co też nie ma znaczenia. Kryśka potrząsa mną i pyta, czy dobrze się czuję. Istotnie, bywało lepiej. W gruncie rzeczy oblewa mnie pot, ręce zaczynają chodzić, a płuca kurczą się do rozmiarów orzecha, co oznacza, że chyba jestem bardzo zdenerwowany. Jak mogłem się tak pomylić? Przecież wiedziałem o tym od początku.

Kutavaggio nie zginął od trucizny. W telewizji mówili, że oberwał w głowę.

PUSTY DOM, PUSTY ŁEB

I.

Na przystanku zaczepia mnie Karambol i pyta, czy już zostałem milionerem. Tego dnia wygląda na wyjątkowo zmaltretowanego. Łachy na nim wiszą jak policzki, wargę ma ciężką, a spojrzanie przytłumione. Oczywiście nie może odpuścić i lezie za mną w stronę Konesera.

Co u ciebie, drogi Karambolu? U niego akurat bez zmian. Karambola frapuje stan mojego portfela. Cały czas mówi o tym, jak strasznie go suszy. W głowie mam Kryskę

i nieszczęsnego Emka, który podłożył się z bliżej nieznanym mi powodem. Być może używki namieszały mu we łbie. Albo chodzi o coś innego. Z zamyślenia wyrzywa mnie nerwowy głos Karambola. Dopomina się o swoje procenty. Dał mi zapasowy telefon z dobrego serca, licząc jednak na zysk. Odpowiadam, że jeszcze to załatwiam, Karambol zaś okazuje się królem kompromisu. Poczekaj na swoje pieniądze, lecz chciałby zaliczki w denarkach. Stoimy pod Koneserem. Dmie lodowaty wiatr.

W taką pogodę kluczowy jest wybór odpowiedniej bramy. Oto sprawdzian człowieka mądrego. Zasuwa Brzeską, przede mną cwałuje podniecony Karambol. Chce skręcać pod piątkę, zaraz za Kijowską, bo blisko i mają zadaszenie w oficynie. Przypominam, że tam nie można, bo na pierwszym piętrze znajduje się melina Kapucyna. Kapucyn wzgardził publicznym szaletem i załatwia swoje potrzeby do wiadra, którego zawartość wylewa przez okno, oczywiście dopiero wtedy, gdy w wiaderku wybrzuszysz się menisk. Jak Kapucyn chluśnie, nie pomoże żadne zadaszenie. Karambol przyjmuje tę argumentację i chce przystanąć dwie kamienice dalej. Tam znów się nie da, bo od dziewiątki do siedemnastki rozciąga się rewir Bandy i Wandy. Wanda ma grupę dziewczuch. Leją chłopów w opór, zabierają forszę, a co gorsza, telefony. Nikt się nie przyzna. Faceci się wstydzą, że dziewczuchy im natłukły.

Karambol proponuje kolejne bramy, a ja je odrzucam. Istnieje obawa, że skończy się nam Brzeska. Zatrzymujemy się niemal przy rogu z Białostocką. Tu jedyne zagrożenie stanowi Żulinek, dziesięcioletnia sierota bez trzonowców, wymuszająca datki za pomocą paralizatora. Na podwórku rdzewieje rama od roweru, lecz próżno szukać Żulinka. Rozpijamy denarki. Zaspokajam ciekawość Karambola, mówiąc, że niedługo ogarnę ten burdel i będę miał mnóstwo pieniędzy. Wcale nie jestem tego taki pewny. Piwo dodaje animuszu. W głowie wydają szmal, którego jeszcze nie zgarnąłem.

W odpowiedzi Karambol częstuje mnie opowieścią. Miał kiedyś kumpla, który trafił szóstkę w totka. Działo się to w dalekiej Bydgoszczy. Pochwalił się niepotrzebnie i wkrótce na jego klatkę schodową przywędrowała cała rodzina, wszyscy koledzy i pół Fordonu. Rada dzielnicy domagała się sfinansowania rewitalizacji osiedla. Kumple domagali się imprezy, no a rodzina jest przecież najważniejsza. Niedawny zwycięzca błyskawicznie osiwiał, dostał nerwicy i w końcu walnął szwagra deską do krojenia. Szwagier powiększył grono aniołków, kumpel Karambola poleciał do pudła, wygraną przejęła żona, poświęcając drobną jej część na złożenie pozwu rozwodowego. Chłop siedzi pod celą, a baba uciekła z pieniędzmi, rzecz Karambol.

Jego zdaniem powinienem uważać. Chciwość mnie zgubi.

2.

Wracam do domu odrobinę podchmielony. Toczę zwycięską walkę z dziurką od klucza, może dlatego że mieszkanie jest otwarte. Wchodzę tylko po to, by znieśc zaatakował mnie próg i poprawił podłogę. To prawda, co mówili o tych wszystkich gwiazdach. Dzień dobry, mamusiu!

Zbieram się nie bez trudu. Szumi w głowie, tłucze się serce, jakby w tej chwili dopadł mnie, prócz pijaństwa, ciężar ostatnich dni: martwy Kutavaggio, pobita Kryśka, ogłupiały Emek. Pocieszenie znajduję w denarku zachomikowanym przed Karambolem. Otwieram puszkę. Wstrząśnięte piwo tryska na kurtkę, spodnie i boazerię. Nie martw się, mamusiu, zaraz posprzątam! Zdejmuję buty bez rozsnurowywania. Na bosaka człapię do kuchni, gdzie spodziewam się znaleźć mamusię. Jej jednak nie ma. Późno już, pewno się położyła. Zabieram szmatę spod zlewu i czyszczę przedpokój. Mama musi mnie słyszeć. Opowiadam, co mnie dzisiaj spotkało. Mówię o Krystynie. Tylko niech mamuś sobie nie myśli, że coś z tego będzie. Kryśka jest, no, inna. Poza tym prawdziwy mężczyzna obywał się bez kobiety.

Zaglądam na chwilę do siebie. Mama nie rozścieliła mi łóżka. Gapię się chwilę na puste półki. Nie martw się niczym, mamuś! Niedługo będziemy pływali w forsie. Kupię nowe książki. Bukiniści sprzedają je na metry, same dobre powieści sensacyjne. Tylko frajerzy chodzą do księgarni. Jeszcze głupszy czytają na telefonach, prawda, mamuś? Odpowiada mi cisza.

Odczuwam lekkie ukucie niepokoju. Jest późno, lecz mamusia ma lekki sen i bez przerwy narzeka na moje człapanie. Pokój z telewizorem jest pusty. Łóżko mamine

zaścielone. Odstawiam denarka. Zalewa mnie fala gorąca, po której przychodzi chłód. Obiegam całe mieszkanie. Zaglądam nawet do szafy. Przysiadam. Natychmiast wstaję. Sprawdzam pod oknem, za łóżkiem, jakbym szukał kota. Co się stało? Matka mi przepadła.

Wybieram jej numer. Po kilku sygnałach włącza się poczta głosowa. Dzwonię ponownie i biegam po mieszkaniu. Nigdzie nie ma jej telefonu.

Nie zwykła wychodzić tak późno, ale sprawdzam podwórko. Nie ma jej pod kapliczką ani po śmietnikach. Zapędzam się na Nieporęcką. Tam pusto. Tylko wiatr miota siatki foliowe. Mam ochotę dobijać się do sąsiadów z pytaniem, czy widzieli moją matkę. Na górę wracam owładnięty dziwacznym przekonaniem, że mama tam będzie, jak zwykle, w swojej podomce, nad herbatą w koszyczku, naładowana mądrością i pretensjami do mojej wspaniałej osoby. Wita mnie pusty stół i odsunięte krzesło. Co się, u diabła, wydarzyło?

3.

Jeszcze nigdy tak szybko nie wytrzeźwiałem. Gniotę puszkę po denarku i ruszam na obchód.

Przy łóżku leży puste etui na okulary. Mamusia bez nich się nie rusza. Co dziwne, pościel jest zmięta, jakby ktoś się na niej kotłował. Odkąd tatko poszedł w długą, przy mamie kręciło się mnóstwo gachów, lecz żaden nie zagrzał miejsca na długo. Znajduję pocieszenie w wyobrazeniu sobie matki na jakiejś gustownej randce przy świecach i kwartecie smyczkowym. Ruszam dalej.

Kurtka wisi na swoim miejscu. Co gorsza, zostały również buty. Mamusia trwa w opinii, że kurtki i trzewiki należy nosić, aż się rozpadną. Oszczędza na wszystkim z wyłączeniem swych nerek i stóp. Gapię się na te trepy jak krowa na kombajn. Klapki też są. Przecież nie poszła na bosaka, nie w taki ziąb.

Włączam i wyłączam radio. Ganim z aparatem po całym mieszkaniu. Malczewski straszy po staremu. Robię zdjęcia i je przeglądam, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc. Spaceruję z nosem przy ziemi. Mdli mnie. Fale zimna i gorąca następują po sobie coraz szybciej. Dławi mnie strach i poczucie własnej bezsilności. Nienawidzę, gdy rzeczy wymykają się spod kontroli. Wszystko, co mogę, to zaciskać pięści.

Dzwoni telefon. To matka.

Odbieram. Gdzie ty jesteś, mamuś, do ciężkiej cholery! Odpowiada mi męski głos, którego początkowo nie umiem rozpoznać. Cedzi głuche, beznamietne zdania.

Mam natychmiast pojechać do mieszkania Płaczka. Sam, bez broni. Muszę zabrać ze sobą telefon. Jeśli zadzwonię po policję, przyprowadzę kumpla albo zrobię cokolwiek innego, moja mama umrze. Pokroją ją na kawałki i wyślą w paczkach za pobraniem. Swoją rodzicielkę odbiorę na pocztę rozparcelowaną i opłaconą. Priorytet polecony. To właśnie słyszę. Wrzeszczę, że pozabijam ich wszystkich. Zadarli z nieodpowiednim facetem. Jestem Irek Król, kurde bele!

Mężczyzna rechocze i przerywa połączenie.

ZARYS CIAŁA WIELKIEGO TWÓRCY

1.

Przez całe życie powtarzałem sobie: żyj zgodnie ze swoim nazwiskiem.

Byłem niezwycięzony i nieśmiertelny. Nigdy nie poniosłem klęski, za to spotkało mnie mnóstwo niepowodzeń. Ich gorycz przeżywałem samotnie, wyprowadzałem kontrę, a potem świętowałem z kumplami. Oko za oko, ząb za ząb. Mało kto mi fiknął, a jak fiknął — żałował.

Naprawdę zawsze można być królem, nawet gdy brakuje królestwa.

W czasach Kameralnej zarabiałem w noc tyle co nauczyciel przez miesiąc. Obsługiwałem Macierewicza i Kwaśniewskiego. Po pracy potrafiłem pojechać taksówką na Okęcie, łapałem samolot i piłem poranny koniak w wiedeńskiej kawiarni. Na weekendy jeździłem do Zakopanego, rwałem dziewczuchy jak świeże wiśnie i zjeżdżałem z Nosala nawalony w pestkę. Gdy zamknęli restaurację, wrzusiłem ramionami, bo takie po prostu jest życie. Wiedziałem, że sobie poradzę. Zamieniłem samolot na autobus, koniaczek na denarka

i wyglądałem swojej szansy. Jeśliby zapytać kogokolwiek na Pradze, kim jest Irek Król, odpowiedziałby, że facetem, który nie daje sobie w kaszę dmuchać. Inni potonęli, lecz jego okręt płynie dalej i prędko nie pójdzie na dno. Irek Król to jest gość. Irek Król jest nie do zajebania. Dobrze, że teraz nikt nie widzi Irka Króla.

Siedzę na brzegu łóżka ze spuszczoną głową. Przede mną — telefon od Kutavaggia. Na nim zegarek. Za pięć minut muszę wyjść. Co ja najlepszego zrobiłem?

Wiedziałem, że nie można mnie skrzywdzić. Podniosę się z każdej kabały. Pilnowałem, by nikogo do siebie nie dopuścić. Żadnych przyjaciół, żadnej kobiety. Wystarczał taki Karambol i starzejące się klientki Balatonu. Bliskość czyni podatnym na ciosy, więc jej unikałem, co było mądre aż do teraz. Mama była ze mną od zawsze. Zapomniałem o niej. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś skrzywdzi staruszkę.

Kiedyś takim ludziom rżnięto policzki rdzawym ostrzem. Teraz chodzą po ulicach.

Mógłbym przeklinać tych skurwysynów, lecz mogę mieć pretensje tylko do siebie. Byłem chciwy. Chciałem za dużo i straciłem rozsądek, choć myślałem, że mam go więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Mogłem wziąć pieniądze od Janiny. Mogłem, kurde bele, nie zabierać telefonu z restauracji, a już na pewno nie powinienem drałować do Emka, żeby podbić stawkę.

Gdybym od razu poszedł na policję, nie stałoby się nic złego.

Emek nie zabił Kutavaggia. Ale wiedział kto.

Gdy mrużę oczy, niemal widzę mamę siedzącą w kuchni nad szklanką herbaty w koszyczku. Mama przy zlewie pucuje naczynia, które jej zdaniem pozmywałem niedokładnie. Mama wyrzuca moje podziurawione skarpetki. Mama walczy o pilota, bo w TV Trwam lecą „Rozmowy niedokończone”. Mama, jak płucze pudełko po jogurcie przed wrzuceniem do śmieci. Mama zapłakana po zgonach księżnej Diany, Perepeczki i Mikulskiego. Ocieram własną łzę. Chowam telefon do kieszeni. Tym razem ten właściwy. Żadnych sztuczek.

Przegrałem. Na własne życzenie.

2.

Przegrałem, lecz zwycięzca wygląda jeszcze gorzej, co stanowi raczej marne pocieszenie.

Kutavaggia znałem przynajmniej od czterech lat. Wcześniej nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, jak mieszka.

Przekraczam biały obrys ciała i idę dalej. Z kąta czerwonym oczkiem lypie na mnie kamera.

Jasny korytarz wiedzie do ogromnego pokoju, pośrodku którego stoi wielki blat kreślarski zawalony papierzyskami i elektroniką. Rozpoznaję skaner i coś, co wygląda jak długopis, niemniej jest podpięte do kabla, no i świeci. W drukarce wielkości małego fiata ugrzęzła kartka papieru zadrukowana na kolorowo. Prócz tego widzę mnóstwo pudełek z ekranikami, myszki komputerowe oraz kubeczki po kawie, chyba ze dwadzieścia, zalegające wszędzie, łącznie z podłogą.

Jeden roztrzaskano. Odłamki wciąż leżą na ziemi, każdy oznaczony numerkiem przez policjantów. Ścianę szpeci ciemnobrązowa plama, osobliwie podobna do dłoni z wystawionym środkowym palcem. Pod białym krzesłem leży rozciąty sznur metrowej mniej więcej długości. Wygląda na bardzo mocny. Obok wała się zmięta szmata.

Chałupa przypomina mieszkanie wariata zakręconego na punkcie nowych technologii, a nie plastyka po siedemdziesiątce. Półkę zapełniają aparaty fotograficzne. Obiektywy jednego jest gruby i długi jak fiut Murzyna. Nogi płączą mi się w kable. Zamiast obrazów na ścianach wiszą ekrany. Niektóre małe, inne wielkie niby prześcieradło. Dostrzegam inne kamery. Przypuszczam, że Kutavaggio obserwował samego siebie na tych ekranach. Tak strasznie siebie kochał, a teraz jest martwy. Ja siebie nienawidzę. Czy to znaczy, że będę żył długo? Gdzie mama? Co się z nią stało? Emek nie kwapi się z udzieleniem odpowiedzi. Tylko stoi i się trzęsie. Wygląda jeszcze gorzej niż przy ostatniej okazji. Ma koszulkę z różą i pistoletem, workowate spodnie i skarpetki w barwną kratę. Nie śmie na mnie spojrzeć. Obejmuje się, jakby było mu zimno. Mam ochotę mu przywalić, wiem jednak, że ktoś jeszcze bierze udział w tej grze.

Emek przeprasza. Przysięga, że nie chciał tego wszystkiego, ale za bardzo dążyłem i musiał coś zrobić. Pytam więc, czy to moja wina. Kuli się chłopaczek, zaprzecza ruchem głowy i zaczyna siebie przeklinać. Nic nie umie, do niczego się nie nadaje. Jest głupim ćpunem, który zniszczył sobie życie. Udusi się własnymi rękami. Zrozumie, jeśli zabije go na miejscu. Z nosa zwisa mu szmaragdowy śpik. Popycham go lekko, żeby nie runął. Kości jak z papieru, skóra sucha, pytam: gdzie, do kurwy nędzy, jest moja matka?

Śpik odrywa się od czerwonego kinola i ląduje między kablami. Emek wycofuje się, spoglądając za siebie. Pcham go przez pokój. Kątem oka widzę sypialnię z łóżkiem zakrytym jedwabiami czy innym szajsem. Powyżej migoczą ekrany. Dziwne, że ten stary cap nie pozawieszał ich jeszcze na oknach. Emek chrząka przepraszająco. Kładzie dłoń na kłamce drzwi prowadzących zapewne do łazienki. Wyraźnie się waha, czy je otworzyć, więc podejmuję decyzję za niego. Doprawdy, chłopak ocenił się nazbyt surowo.

Na taran nadaje się doskonale.

3.

Emek wstaje z kafelków i krztusząc się, dziękuje, że potraktowałem go tak litościwie. Przysięgam, zaraz urwę mu głowę, bo w wannie leży moja mamusia. Ma związane ręce i nogi oraz knebel w ustach. Na mój widok zaczyna machać głową. Próbuje coś powiedzieć. Idę o zakład, że przeklina.

Chcę lecieć w jej kierunku, gdy coś podcina mi nogi, a świat wywraca się do góry nogami. Walę głwą o kafelki, jak Emek ciut wcześniej, lecz mam więcej sił od niego. Próbuję wstać i niech to krew zaleje — jakby ktoś mnie podpalił. Płomyki biegną od źródła ognia, ulokowanego w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. I jeszcze raz! Chrystusie brodaty! Znam to aż za dobrze z czasów, kiedy często zbierałem manto na komendzie.

Tylko jeden człowiek z tej bandy popaprańców ma łatwy dostęp do paralizatora. Przed moją twarzą wyrastają wojskowe buty. Wyrastają na twarzy, jeśli chodzi o ścisłość. Jak mogłem nie wziąć tej mendi pod uwagę? Ochroniarz po raz trzeci traktuje mnie paralizatorem i mówi, żebym wstawał, nie widząc sprzeczności między jednym a drugim. Przysięgam, że go zabiję. Mogę sobie przysięgać, bo teraz on jest u władzy, zwalisty, wielki i tęp jak troll spod mostu, w uniformie służbowym, z pałką w jednej i paralizatorem w drugiej dłoni. Aż mlaszcze z tego tryumfu. Wstaję. Trąca mnie paralizatorem i mówi, żebyśmy wracali do pokoju. Emek zostanie tutaj. Przypilnuje mamy, która przestała już się rzucać i tkwi nieruchomo w wannie. W jej oczach próżno szukać smutku, rozpacz i troski. Jest wyłącznie wściekłość. Przegryzłaby gardła tym dwóm, gdyby tylko mogła.

Na razie czerwona, tłusta grdyka tego bydlaka jest bezpieczna. Paralizatorem popycha mnie do pokoju, każe usiąść pod ścianą, schować ręce za siebie i podać sobie telefon. Pytam, jak u diabła mam pogodzić jedno z drugim. Próbuję zacząć rozmowę. Zamiast ochroniarza gada paralizator. Wyjmuję ten pieprzony telefon i podaję na wyciągniętej dłoni. Ochroniarz wpycha pałkę do kabury. Sięga. Telefon zaczyna pisać.

Ekrany uruchamiają się jednocześnie. Wyświetlają widok z kamery na przedpokój. Minie chwila, nim połapię się, w czym rzecz. Nie ma jeszcze obrysu trupa.

Nagranie zrobiono wcześniej.

OJCIEC I SYN

I.

Ochroniarz mówi spokojnym, beznamiętnym głosem. Oto, co się wydarzyło.

Emek rzeczywiście truł ojca. Po części wcale mu się nie dziwię, bo sam parę razy chciałem zamordować Kutavaggia, zwłaszcza jak stał w kuchni z rękami skrzyżowanymi na piersi i próbował wsadzać nos do gara. Nie można mu jednak odmówić odrobiny rozsądku.

Być może Emek ma jakieś zalety, lecz próżno wśród nich szukać odwagi i rozsądku. Jak go znam, poczytał o truciznach w Internecie, szukając czegoś, co zabija na raty, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Stawiam diamenty przeciw orzechom, że wybrał α -amanitynę. Nazwa brzmi dziwacznie, lecz chodzi o pocziwego muchomora. Karambol kiedyś przy-

niósł z lasu kopiasty kosz borowików szatańskich. Gdyby mnie nie spotkał po drodze, brałby teraz w zastaw aureole od aniołów mających problem z hazardem.

Wydestylowana fiołka położy trupem słonia, Emek zachowywał jednak tyle ostrożności, ile umiał, czyli i tak niewiele. Najpierw zaczął odwiedzać ojca, bredząc coś o wadze relacji pomiędzy ojcem a synem. Może liczył, że tatko zmięknie, sygnie szmałem i nie będzie musiał dodawać mu jadu do kawy? Kutavaggio siedział na forsie jak smok na złocie, więc jego synek przystąpił do dzieła.

Za każdym razem, gdy przychodził, wlewał ojcu do kawy kroplę α -amanityny, licząc, że staruszkowi wysiadzie wątroba. Nikt by go nie podejrzewał. Kutavaggio był dobrze po siedemdziesiątce, słowem, stał jedną nogą w grobie. Należało tylko wsadzić tam drugą. Plan zapewne powiódłby się, gdyby wziął się zań ktoś inny, a nie Emek. Mówimy o wychudzonym patalachu z oczami jak pięcioletówki natarte lojem, o pozostawionym samemu sobie tępym smyku, który nawet nie zyskał szansy na zostanie mężczyzną. O gnojku, co zamknął się w kolorowej celi ze słuchawek i ekraników, o potykającym się o własne nogi lumpie, o smarku, który pomyliłby taboret z lamborghini, zdolnym co najwyżej do wrzucania własnych zdjęć do tego gównianego Internetu. Nie muszę sobie nawet wyobrażać, jak Kutavaggio nakrył Emka. Podtruwany musiał czuć się źle, obserwował syna, korzystając z systemu kamer, i złapał go nad kawą z buteleczką trucizny w bladej dłoni.

Kutavaggio się wściekł i z tej złości prasnął kubkiem o ścianę. Zdemaskowany Emek rzucił się na niego, licząc, że położy dziada. Nie wiedział, że stary pieniądz jest lepszy niż nowy, dawna muzyka bije na głowę tę dzisiejszą, dziad zaś natłucze młokosa. Słaby, wykończony wódką, narkotykami i bezsensownością Emek padł pod ciosem krzepkiego tatuśka. Kutavaggio zwyciężył jak Ruskie pod Maciejowicami. Nie wiedział jednak, co z tym zrobić. Przyzwyczajenie drugą naturą człowieka, a pełny żołądek sprzyja dobrym pomysłom. Kutavaggio związał syna i wsadził mu szmatę w usta. Dochodziła pierwsza, więc zrobił to, co zawsze o tej porze. Zabrał Emkowi telefon, wziął też swój i poszedł do nas, do Balatonu.

2.

Z więzów można uwolnić się na wiele różnych sposobów. Krępowany Houdini napinał wszystkie mięśnie, jak tylko potrafił, by później je rozluźnić. Więzy okazywały się mniej ciasne niż wcześniej.

Można unieść dłonie najwyżej, jak się da, a potem gwałtownie opuścić, rozprostowując jednocześnie ramiona. Niekiedy wystarczy po prostu obrócenie nadgarstków.

Emek był chudy i mokry, o drobnych dłoniach. Przypuszczam, że to wystarczyło. Oswobodził się bez większych trudności. Okazało się jednak, że ma inny kłopot.

Kutavaggio związał go po łebkach, lecz wcale nie musiał się starać. Jego mieszkanie było fortecą o antywłamaniowych oknach i żaluzjach — trudno było się do niego nie tylko dostać, ale też z niego wyjść. Drzwi, pancerne i zbrojne w zamki, mogłyby bronić wstępu do pałacu sultana czy też innego Rockefellera. Emek uwolnił dłonie, wypuścił szmatę. Dalej jednak tkwił w więzieniu.

Zdenerwowany Kutavaggio jadł ostatni w życiu obiad i nagrywał informacje na swój telefon, a Emek miotał się po mieszkaniu, szukając wyjścia z kabały, w którą sam się wpakował. Telefon zabrał ojciec. Stacjonarnego nie było. Hasła w komputerach uniemożliwiły połączenie się z Internetem. Emek zrobił jedyną rzecz, jaka mu przyszła do głowy. Walił w szyby i wzywał pomocy. Zaalarmował ochroniarza.

Dławiąc się obiadem, Kutavaggio już podjął decyzję. Domyślał się tylko jaką. Tacy jak on nie wybaczą. Zjadł i poleciał do siebie, zostawiając telefon, od którego zaczęła się ta cała awantura. W tym samym czasie ochroniarz zobaczył Emka przez okno i poszedł pod drzwi. Nie mógł ich jednak otworzyć.

Ochroniarz miał klucze do bramy, piwnicy, śmietnika i na klatkę schodową, lecz nie do mieszkania. Rozmawiali przez drzwi. Nie ulega wątpliwości, że Emek poczęstował go bezładnym monologiem o potwornym dzieciństwie i oceanie krzywdy, który musiał przepłynąć. Jako truciiciel nie chciał żadnej policji. Prosił, by go wypuszczono. Ochroniarz tłumaczył, że nie może. Emek błagał na nowo.

Tak gadali, aż na klatce schodowej pojawił się Kutavaggio.

3.

Ochroniarz mówi, że nie chciał zabić Kutavaggia. Nie wygląda na wstrząsanego wyrzutami sumienia. Dłubie językiem w zębie i trąca mnie końcówką paralizatora.

A było tak, że Kutavaggio otworzył drzwi, za którymi stał struchlały Emek, i wpuścił ochroniarza do środka. Tam opowiedział o truci i złożył kontrpropozycję. Mówił, zaciskając zęby, jakby żuł wyjątkowo twardy kawałek suszonego mięsa. Oczy mu błyszczały, a palce zaciskały się na pasku od spodni. Emek chciał go zabić, więc teraz niech ochroniarz zabije jego. On, Kutavaggio, planował samemu załatwić tę sprawę, tylko Emek się uwolnił i jeszcze wezwał pomoc. Zasłużył na śmierć. Jest niewdzięcznym sukinsynem, niedoszłym ojcobójcą, zresztą zawsze robił tylko kłopoty. Dodał, że ma dużo pieniędzy, a będzie miał jeszcze więcej, kiedy Emek pożegna się z tym światem. Liczy też na pomoc w pozbyciu się ciała. Za taką kompleksową usługę zapłaci po królewsku. Powiedział to wszystko zimnym, obojętnym głosem, jakby składał skargę na hałasującego sąsiada.

Naszemu ochroniarzowi trochę brakuje do troskliwego misia, ale nawet on nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Cóż, sam jestem zaskoczony. Wymyśliliśmy dla bydłaka nazbyt łagodne przezwisko. Ochroniarz rozważył sprawę w swoim zomowskim sumieniu i odmówił. Syn, który truje ojca, tatko wołający o głowę własnego dziecka — od takich ludzi lepiej trzymać się z daleka. Powiedział, że wyprowadzi Emka poza osiedle i spróbuje zapomnieć o całej sprawie, do czego przyda mu się przynajmniej pół litra, jeśli nie krowa. Kutavaggio nie przywykł chyba do tego, że mu się odmawia. Nazwał ochroniarza idiotą, dostał szalu i rzucił się na Emka. Walnął w pysk i zaczął dusić.

Przerażony Emek próbował się bronić. Bił ojca po rękach i próżno próbował dosięgnąć twarzy. Tatko gniótł mu gardło i wrzeszczał coś o niewyskrobkach. Mniej więcej w tym momencie ochroniarz zrozumiał, że to nie są żarty. Wylądował w złym miejscu i czasie. Trochę za późno, żeby się wyslizgać. Zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Chwycił za pałkę i skoczył ratować Emka.

W przedpokoju zwały się trzy nietuzinkowe charaktery: stara, nienawistna pierdoła, chciwy narkoman i zwały baran w granatowym uniformie. Skoro przy granacie — należało tam jakiś rzucić. Byłoby po kłopotcie. Wypadki pobięły jednak odmiennym torem. Kutavaggio tak zapamiętał dusił syna, że nie dał się odciągnąć. Ochroniarz skorzystał więc ze swojego jedyne go talentu. Walnął chłopca pałką. Szkoda tylko, że w głowę. Kutavaggio puścił Emka i zwałił się na podłogę.

Emek zjechał po ścianie i walczył o oddech, tymczasem ochroniarz pochylił się nad nieruchomym Kutavaggiem. Obrócił go na plecy i próbował cucić. Równie dobrze mógłby reanimować Wenus z Milo. Zbychu Płaczek strzelił w kalendarz. Wyciągnął kopyta. Legł bez duszy. Powiększył grono aniołków. Skończyło się dziadka sranie, jak to mówią. Dwóch chłopów przyszło i już po Zbyszku! Adios amigo!

Chłopakom nie było jednak do śmiechu. Emek jakoś się pozbierał. W pewien sposób osiągnął swój cel, niemniej nie wyglądał na zadowolonego. Chyba bał się, że ochroniarz pójdzie za ciosem i sprzątnie też świadka. Tamten jednak był przerażony i pewno nawet o tym nie pomyślał. Znaleźli się w klinczu. Jeden zabił, drugi zabić próbował. Taką popularnością cieszył się nasz zacny Kutavaggio.

Nie wiedząc, co dalej zrobić, panowie zawarli sojusz związany milczeniem.

Sojusz ten trwał w najlepsze, dopóki nie wtaraabiłem się ja. To wszystko przeze mnie, mówi ochroniarz i włącza paralizator.

MANTO

1.

Człowiek zaprawdę jest wspaniałym stworzeniem. Przyzwyczajają się niemal do wszystkiego. Więźniowie godzą się z oglądaniem słońeczka przez kraty. Starcy żyją z prostatą, sztuczną szczęką, ale za to bez nerki. Królowa angielska jakoś idzie przez życie ze swoją migreną, a i ja nawykłem do podłego piwa i kanapek z mortadellą. Ale postrzał z paralizatora zawsze smakuje tak samo jak pierwszym razem. Zwłaszcza w brzuch.

Przysięgam, jestem o krok od zawału serca. Głowę mam gorącą, a nogi lodowate. Pełnę przy ścianie. Ocieram ślinę z gęby i pytam, to znaczy próbuję spytać tego bydłaka,

czego jeszcze chce. Ma swój pieprzony telefon. Przecież go nie zakabluję, ja nie z tych. Ochroniarz gapi się na mnie i znów dziabie paralizatorem. Przestań, człowieku!

Proszę o litość i pełnę po podłodze. Plotę byle co, lecz pełnę rozumnie, niby w bok, a naprawdę w stronę mojego prześladowcy. Potrzebuję tylko, aby moja noga znalazła się poza jego stopą. To wszystko.

Pytam o mamę. Co z nią? Chyba dość wycierpiała. Niech ją wypuści. Powinienem mu wystarczyć. Patrzę na tego typa i już wiem, że nie będzie lekko. Gość niemal puchnie, a uśmiech dochodzi mu do uszu — tak raduje go władza nad drugim człowiekiem. Dawno nie było demonstrantów do pałowania, co?

Pochyla się i przyciska paralizator do mojego policzka. Mówi, jak będzie. Zaraz zaniesie „tę wiedźmę” do samochodu, a ja zyskam zaszczyt towarzyszenia jej w bagażniku. Podróż będzie długa, niewygodna i zakończy się w lesie. Tam wykopię dół, nie — dwa doły! Ochroniarz poprawia się i rechocze. Chyba nie pozwolę, żeby moja własna matka wymachiwała łopatą?

Wystarczy spojrzeć. Gość gada serio, próbuję jednak obrócić sprawę w dowcip i dalej przesuwać się w jego kierunku. Już niedaleko. Mówię, że troszeczkę przeholował. Ludzie na pewno będą nas szukać. Z jednego trupa jakoś się wywinie, z trzech — już niekoniecznie. W odpowiedzi ochroniarz pyta, czy przypadkiem nie mam innych zmar-twień. Jasne, stary, pełna zgoda.

Paluch mojej lewej nogi zawędrował już za piętę ochroniarza. Próbuję zagrać telefonem. Czy wie, co tam jest? Otóż ja wiem i chętnie wytłumaczę. Ten bajer jest wart fortunę, pod warunkiem że znajdzie się kupiec. Akurat mam wyśmienitego, mówię, a pod powieki wjeżdża mi zafrasowana morda Karambola. Chętnie was umówię. W przekrwio-nym oczku ochroniarza błyska coś jakby chciwość. Cisnę: to twoja życiowa szansa, czło-wieku!

Ochroniarz ma dla mnie cudowną wiadomość. Nie chce tego telefonu i otrzymam go z powrotem. Będę mógł klikać do woli w ciemnym grobie. Strasznie bawi go własne poczucie humoru i nagle informuje mnie, że żarty się skończyły. Co dziwne, ma rację.

Nie zauważył manewru ze stopą. Udaję, że chcę się podnieść, i kopię go w udo. Jed-nocześnie druga noga, ta za jego piętą, gwałtownie jedzie na wysokość kolana. Naprawdę wystarczy prosta dźwignia, by posłać chłopa na deski. Dźwięk upadku jest ogluszają-cy. Jakby cały ten dom wariatów runął mi na głowę. Jak echo brzęczy paralizator, który wypadł ochroniarzowi z dłoni.

2.

Podrywam się tak szybko, jak ochroniarz upadał. Leży na plecach podobny do żółwia złośliwie obróconego na plecy. Już chce się zbierać. Niedoczekanie, kolego! Łąduję na nim, dociskam kolanami barki i heja, leję w czerwony pysk. Raz i drugi, frajda lepsza niż na karuzeli. Masz, bydlaku! Za mamusię! Za mnie! Wiesz co? Tak dobrze mi idzie, że nawet za Kutavaggia ci przypier...

Obrywam w nerki. Sukinsyn znalazł sposób i tłucze mój korpus serią krótkich ciosów. Niech bije, co mnie to. Umiem odpłacić. Unoszę pięść wyżej niż ostatnio i nagle widzę, że to błąd, któremu nie zdołam zapobiec. Sekundę później nie widzę już nic. Władował mi palce w oko!

Tyle wystarczyło. Ochroniarz zrzuca mnie z siebie, wstaje i chwyta za fraki. Moje dłonie szukają drogi do jego gęby. Równie dobrze mógłbym próbować zerwać księżyc z nieboskłonu. Ochroniarz ciska mną o ścianę. Wali w brodę. W szyję otwartą dłonią. Nie wiem, co się dzieje. Nogi mnie nie trzymają, a łajdak wykręca mnie jak dziewczuchę w tańcu i pcha gdzieś, unosząc za fraki. O w mordę, tylko nie to!

Trzask, ból i ciemność, która połyka mnie i zaraz wypływa na światło. Wsadził mnie, gnój, w telewizor. Krew leci z policzków. Moje ciosy stają się słabsze. Biję tylko po to, żeby bić, bo mężczyzna nie może odejść bez walki.

Mężczyzna umiera z mieczem w dłoni, jak nasi wielcy pradiadowie.

Jeśli jakiś przodek patrzy teraz z góry, mam nadzieję, że jest choć odrobinę dumny.

Ochroniarz ciska mną o stół. Nogi łamią się z trzaskiem, blat uderza o podłogę, więc cios, który otrzymałem jest, jakby to rzec, dubeltowy.

Mam okazję zobaczyć toner drukarki z bliska. I znów o ścianę. Ochroniarz ciągnie mnie przez pokój. Stopami roztrącam odłamki czarnego szkła. Cios wydaje się lekki, a lecę przez pół pomieszczenia. Nie czuję już bólu. Nie mogę podnieść ręki, zaraz runę i ledwo co widzę poprzez krew. Tę jedną, najważniejszą rzecz dostrzegam jednak ze straszliwą jasnością.

Ochroniarz bierze ciężki aparat uwieszony na długim skórzanym pasku. Znajduje odpowiedni uchwyt i zaczyna wywijać. Zatacza zamazyste koła i znów się śmieje. Canon czy inny tam kodak zmienia się w czarną smugę wirującą po okręgu o średnicy mniej więcej półtora metra. Widzę to doskonale, choć wszystko inne pozostaje zamazane. Przecież jak mnie grzmotnie tym ciężkim sprzętem, to sam będzie musiał kopać dół w lesie, chyba że zaprzęgnie Emka. Szukam jakiegoś ratunku. Sił starcza, by nie upaść.

Ochroniarz zbliża się do mnie, wywijając aparatem. Przypomina barbarzyńcę bawiącego się maczugą. Czuję zimny podmuch na twarzy. Nadludzkim wysiłkiem próbuję chwycić za taśmę, lecz dłoń trafia w próżnię.

Przymykam oczy i czekam na cios.

3.

Gdy czekamy na cios, ten nigdy nie pada i tak jest też tym razem. Po prawdzie mógłbym tkwić tutaj aż do Zielonych Świątek, oklepamy jak druhna po weselu. Rozwieram spuchnięte ślepia, mgła się rozwiewa i widzę ochroniarza leżącego na podłodze bez przytomności. Znam się na tym i wiem, że prędko nie wstanie. Czuć lekki swąd spalenizny.

Nad ochroniarzem w pozycji wojownika — lekko ugięte nogi, prawa stopa wysunięta, korpus wysunięty — tkwi moja ukochana matuś, ściskając paralizator. Z korytarza zafrasowany Emek wystawia mokry nos. Pytam, co się stało. Mój głos brzmi nierzeczywiście, jest pełen brudu. Oberwałem paralizatorem z pięć razy i jakoś żyję. Ochroniarz złożył się od razu.

Mamusi odpowiada, że poraziła go tam, gdzie każdego mężczyznę boli najbardziej. Odrzuca paralizator w kąt i już jest przy mnie. Całuje po oczach, bierze twarz w dłonie i lamentuje: co ten niedobry człowieczyna zrobił jej synusiowi?! Jak mógł?! Gdzie tacy się rodzą?! Tak mówi i ściska coraz mocniej mój opuchnięty pysk. Próbuję się uwolnić, tylko sił brakuje. Mamusiu, to boli!

Odkakuje ode mnie. Leci do łazienki, gdzie wciąż leżałaby związana, gdyby nie Emek. Wraca z rolką papieru i perfumami Kutavaggia. Pewno kosztowały średnią krajową. Matuś nasączyła nimi papier jak wodą utlenioną i rwie się, by przemyć mi głowę. W międzyczasie Emek pochyła się nad nieprzytomnym ochroniarzem. Martwi się, czy wstanie. Mamusia ma dobrą radę: niech Emek weźmie drukarkę i roztrzaska mu ją na głowie. To powinno pomóc.

O dziwo, Emek wręcz pali się do tego zadania. Muszę go powstrzymać. Proponuję, byśmy natychmiast stąd poszli. Mamusia nie chce o tym słyszeć. Zaraz zadzwoni po policję, pogotowie, straż miejską i pożarną oraz, przypuszczalnie, Gwardię Szwajcarską. Odpowiadam: tak nie można. W tej chałupie był już jeden trup. Ten gość tutaj ledwo dycha. To nie jest miejsce dla porządných ludzi.

Nie czekam na odpowiedź. Stawiam pierwszy krok. Chyba wszystkie nerwy powyłaziły na wierzch, noga tak spuchła, że zaraz rozsadzi nogawkę wranglerów. Brakuje sił, żeby schylić się po telefon Kutavaggia. O dziwo, podaje mi go Emek. Proszę o pomoc. Daje mi swoje ramię. Mamusia ujmuje mnie z drugiej strony.

Włokę się, holowany przez staruszkę i narkomana.

DWIE KOBIETY

I.

Niestety, nie obyło się bez wizyty w szpitalu i na komendzie. Prześwietlono mnie, nałożono szwy i poczęstowano dobrą radą: powinienem położyć z tydzień na obserwacji. W moim wieku trzeba się bardziej oszczędzać. Neurolog który wygłosił tę mądrość, wyróżniał się kaskadą podbródków malowniczo opadających na pękaty kałdun. Zapytałem, czy jego zdaniem dostałem łomot na własne życzenie. Posadzili mnie na łóżku. Przez

godzinę udawałem, że potrafię złączyć ze sobą dwa własne palce, i wypisałem się do domu.

Z policją nie poszło już tak różowo. Próbowali mnie przestraszyć. Sugerowali nawet, że to ja zabiłem Kutavaggia. Dzień, w którym zginął, spędziłem w Balatonie na oczach klientów i poliamorycznego Barytona, więc mogli mi skoczyć. Przeszli do rozpiarduchy w mieszkaniu Kutavaggia. Otóż nie mam pojęcia, odpowiedziałem. Piłem przez ostatnie dni, film mi się urwał i jeszcze oberwałem w głowę. Kto mnie sprął i gdzie, tego niestety nie wiem. Mówiłem tak, patrząc w oczy zmęczonego policjanta, który nawet nie udawał, że mi wierzy, tak jak ja nie udawałem, że mówię prawdę. Tę wersję powtórzyłem jeszcze kilkakrotnie i wreszcie pozwolono mi odejść. Już w drzwiach gliniarz pogroził mi zadbanym paluszkiem i wymamrotał, że jeszcze mnie dopadnie. Życzyłem mu powodzenia. Wróci do domu, napije się taniej whisky i spróbuje zapomnieć. Przecież mu nie zależy. Co zrobiła policja w całej tej historii?

Nie potrzebowali mojego zeznania, gdyż w pokoju obok produkowała się mamusia, ciesząc się uwagą, której brakowało jej na co dzień. Umiłałem sobie czas, obserwując, jak zaafektowane krawężniki donoszą jej herbatkę i delicje szampańskie. Nie mam pojęcia, co im powiedziała, ale jak ją znam, rozwodziła się nad każdym szczegółem swojego porwania, widząc w tym szok, tragedię oraz urozmaicenie monotonnej codzienności. Z pewnością wspomniała o tym, że ją uratowałem, i próbowała wybronić Emka. Zresztą mamusiuś wmówiłaby tym mundurowym sierotom, że porwało ją UFO. Nikt nie łże tak pięknie jak staruszkowie. Doskonali się w kłamstwie przez całe długie życie.

Ochroniarz trafił do szpitala, a stamtąd do aresztu. Zrezygnowany przyznał się do zabójstwa, wskazując jednocześnie na okoliczności łagodzące, w tym uroczy charakter naszego Kutavaggia. Wiem to i owo o wyrokach. Za nieumyślne zabójstwo, porwanie mamy i pobicie Krystyny dostanie jakieś piętnaście lat w pudle. Wyjdzie po dziesięciu. Obaj będziemy koło sześćdziesiątki, w sile wieku bądź na progu starości. Zależy, jak spojrzeć. Kto wie, może zejdziemy się i wyjaśnimy sobie to, co pozostało do wyjaśnienia. Będę czekał.

Pod komisariatem mignęła mi Janina. Musiała dowiedzieć się, że zatrzymano mordercę jej brata. Postarała się gwałtownie i jest teraz zrezygnowaną starowinką o zaniebanych włosach, w rozpiętym płaszczu, wsparta na lasce i ramieniu syna. Popatrzyła w moim kierunku. Spodziewałem się złości, nienawiści, ale w jej oczach dostrzegłem tylko smutek.

Najlepiej na sprawie wyszedł Emek. Nie wątpię, że podczas zeznań spruł się jak stara skarpeta, wyśpiewał wszystko, co wiedział, i błagał o miłosierny wyrok. Musiał się zdziwić, gdy gliniarze powiedzieli, że wyroki wydaje sąd, a nie oni. W międzyczasie przyszedł jakiś kurator, frajer z opieki społecznej czy inny ekspert od wyciągania za włosy z bagna, i wyjaśnił Emkowi, że pójście na odwyk na pewno spodoba się sędziemu. W ten sposób Emek wylądował w pokoju bez klamek. Łazi po ścianach i je własne palce. Za pół roku wyjdzie czysty, przemaglowany przez terapeutów, a w środku — taki sam, jaki wchodził. Ludzie naprawdę się nie zmieniają. Nie znajdziesz lepszej terapii nad butelkę.

2.

Wypisałem się ze szpitala. Ktoś inny za wszelką cenę chce tam zostać.

Mamusia zachwyciła się kolejnym dniem hospitalizacji. Siedzi w pościeli i zajada się ptasim mleczkiem. Na jej łóżku walają się egzemplarze „Naszego Dziennika”, broszurki o świętych oraz kolorowe gazety, w których piszą wyłącznie o tym, jak gwiazdy łamią wszystkie dziesięć przykazań, najlepiej jednocześnie. Radio nadaje pobożne pieśni. Dźwięki te irytują młodkę z nosem w ekranie, za to bawią Krystynę.

Nie przypuszczałem, że obie panie wylądują na tej samej sali. Prawdopodobieństwo było mniej więcej takie jak zderzenie się dwóch Voyagerów w przestrzeni kosmicznej. Jak narodziny byczka o czterech głowach. Jak pięć asów w rozdaniu pokerowym i tak dalej. Marny ze mnie myśliciel, ale chyba najmniej prawdopodobne wydarzenia są najbardziej pewne.

Przychodzę. Witam się z mamą i Krystyną, pilnując kolejności. Jednej przynoszę czekoladki, drugiej, po staremu, szlugi i wiśniówkę. Staruszka-złodziejka chciwie patrzy w ich kierunku. Wyciąga rękę i zaraz ją cofa. Mamusia mówi jej, żeby uważała. Przypomi-

na, że w sekundę rozłożyła potężnego chłopca, więc bez problemu poradzi sobie z rąbłą o lepkich paluszkach. Staruszka-złodziejka mało nie nakryje się kołdrą. Kryśka polewa mamie wiśniówki. Ta odwdzięcza się ptasim mleczkiem i czekoladkami. Spotkanie zyskuje na uroku za sprawą taniej kopii Kossaka *Siostra miłosierdzia na linii bojowej pod Warszawą*. Czuję się, jakby Kutavaggio siedział tutaj z nami. To nie jest miłe wrażenie. Zaczyna się paplanina.





Temat rozmowy jest najszlachetniejszy z możliwych. Obie panie interesuje wyłącznie Irek Król. Gadają jednak, jakby mnie tu nie było. Mamuś opowiada, jak kiedyś zgubiłem parasol, pożyczyłem drugi od niej, żeby szukać pierwszego, i ten drugi też zgubiłem. Kryśka dławi się ptasim mleczkiem, a ja gryzę wargi: po pierwsze, to nieprawda. Po drugie, byłem wtedy najwyżej w drugiej klasie zawodówki. Czego wymagacie od smarkacza? Milczę jednak i słucham opowieści Krystyny, której bardzo podoba się sposób, w jaki udaję trzeźwego. Jej zdaniem zaczynam mówić bardzo wolno, a i tak polykam głoski. Mamusia aż klaszcze z zachwyty. Podziela tę obserwację. Pochyla się w kierunku Kryśki i wyraża nadzieję, że będzie często do nas przychodzić. Bardzo się cieszy, że wreszcie nie jestem sam. Gdy wyobraża sobie swoją synową, przed oczyma staje jej Kryśka.

Z Kryśką wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia. Cóż, kiedyś będziemy musieli powiedzieć prawdę tej mojej mamusi. Ale może jeszcze nie dziś.

Pozwalam im gadać i myślę o wydarzeniach ostatnich dni, układających się w sekwencyjne manto, w wielkie niepowodzenie, w klęskę Irka Króla. Zamiast kasy za telefon dostałem centralny łomot. Już nic mnie nie ocali przed orką w Balatonie. Nie wrócą poranne koniacki w Wiedniu i weekendy w Zakopanym. Ugrzęzłem na Pradze. Zatone w złotym denarku. Kutavaggio nie żyje, jak nie żył, i muszę sam sobie kupować chester-

fieldy. Zaraz pójde zapalić. Póki co, siedzę, słucham mamy i Kryśki, a tylko Kryśce się przyglądam.

Forsy nie zdobyłem, zadowolę się więc nagrodą pocieszenia. Przyjaźń jest daniem, którego nigdy nie próbowałem. Zobaczymy, z czym to się je.

3.

Przyjaciółka, nowa i jedyna, zapewne śpi teraz w szpitalnym łóżku, a ja zadowolam się towarzystwem kolegi. Karambol nie wierzy w lesbijki. Uważa, że to kolejna moda nakręcona przez amerykańskich Żydów, którzy wcześniej wymyślili psychoanalizę i powiększanie się dziury ozonowej. Podając denarka, pytam, czy jego zdaniem Kryśka bierze po cichu stypendium zza Atlantyku. Raczej się u niej nie przelewa. Karambol przypomina, że kobiety kłamią, nawet rozmawiając o pogodzie. Pomysł ze stypendium bardzo mu się podoba. Jego zdaniem Kryśka nie pójdzie ze mną do łóżka, gdyż musiałaby je zwrócić.

Moje mieszkanie po trzech dniach samotnego urzędowania niebezpiecznie zbliża się do stanu Emkowej nory. Przysięgam sobie, że z rana posprzątam. Póki co zajmuję miejsce mamusi przy kuchennym stole, zaś Karambol usadowił się tam, gdzie zazwyczaj siedzę ja. Opowiadam mu wszystko, co się wydarzyło. O telefonie. O tym, że groziły mi aż dwa pogrzeby: jeden w lesie, drugi na Saskiej Kępie. Karambol słucha, kiwając głową. Gdy kończę, przygląda mi się badawczo, próbując ocenić, czy nie kłamię. Jest tak nagrzmocony, że można by mu wcisnąć drogie ubezpieczenie od końca świata. Wreszcie pociąga solidny łyk z puchy i wyraża swoje zdanie. To całkiem fajna historia, mówi.

Co z tego, pytam, skoro nie mogę jej nikomu opowiedzieć? Telefon nie zawierał żadnego dzieła sztuki, jak sądzili Emek z Janiną, tylko parę cyfrowych gryzmołów. Kutavaggio wiedział, że ktoś dybie na jego życie. Aparat służył mu jako teczka na dowody. Bał się, że umrze. Chciał zostać pomszczony. Zostawił mi go specjalnie czy przez przypadek? Tego już nigdy się nie dowiem.

Karambol wypowiada się na temat mojej wiedzy dotyczącej Internetu, używając słów powszechnie uznanych za obelżywe. Pyta, czy może zobaczyć ten telefon. Jeszcze wczoraj by go nie dostał, teraz jest mi wszystko jedno. Weź go sobie, chłopie. I tak wiszę ci trochę forsy. Karambol nie chce o tym słyszeć, zdumiewając mnie tym aktem wspaniałomyślności. Klika trochę w ekranik i prosi, żebym się nachylił. Powoli wyjaśnia, w czym rzecz. Mogę wrzucić tajemnicę Kutavaggia do Internetu. Mogłem od samego początku. Wystarczy nacisnąć w miejscu wskazanym przez brudny, połamany paznokieć Karambola. Zdjęcia, filmy, dziwne rzeczy zobaczą nawet w Honolulu. Zastanawiam się jeszcze, bo co Kutavaggio może obchodzić jakichś mudżahedinów? W końcu był artystą. Niech ma. Przynajmniej Janinę z Pawelkiem krew zaleje.

Skoro ja nie zarobiłem, nikt nie zarobi. Zemsta, złośliwość i rozczarowanie nakręcają ten świat. Warto o tym pamiętać. Karambol chce, żebym ja kliknął w ikonkę. Czuję się jak generał z palcem nad guzikiem atomowym. Klik. I już. Stało się. Dokumentacja Kutavaggia rozpoczyna rajd po telefonach, komputerach i innych takich. Jak komuś się spodoba, niechaj pcha dalej. Bo mnie to, mówiąc szczerze, obchodzi tyle co zeszłoroczny śnieg. Popijam denarka, palę i cieszę się życiem w moim małym królestwie. Od jutra znów czekam na swoją wielką szansę.

Ale jeszcze nie dziś.

Koniec.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orbitowski-manto>

Tekst opracowany na podstawie: Łukasz Orbitowski, Jacek Świdziński, #Manto, 2020.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Katarzyna Makaruk, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5845-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.